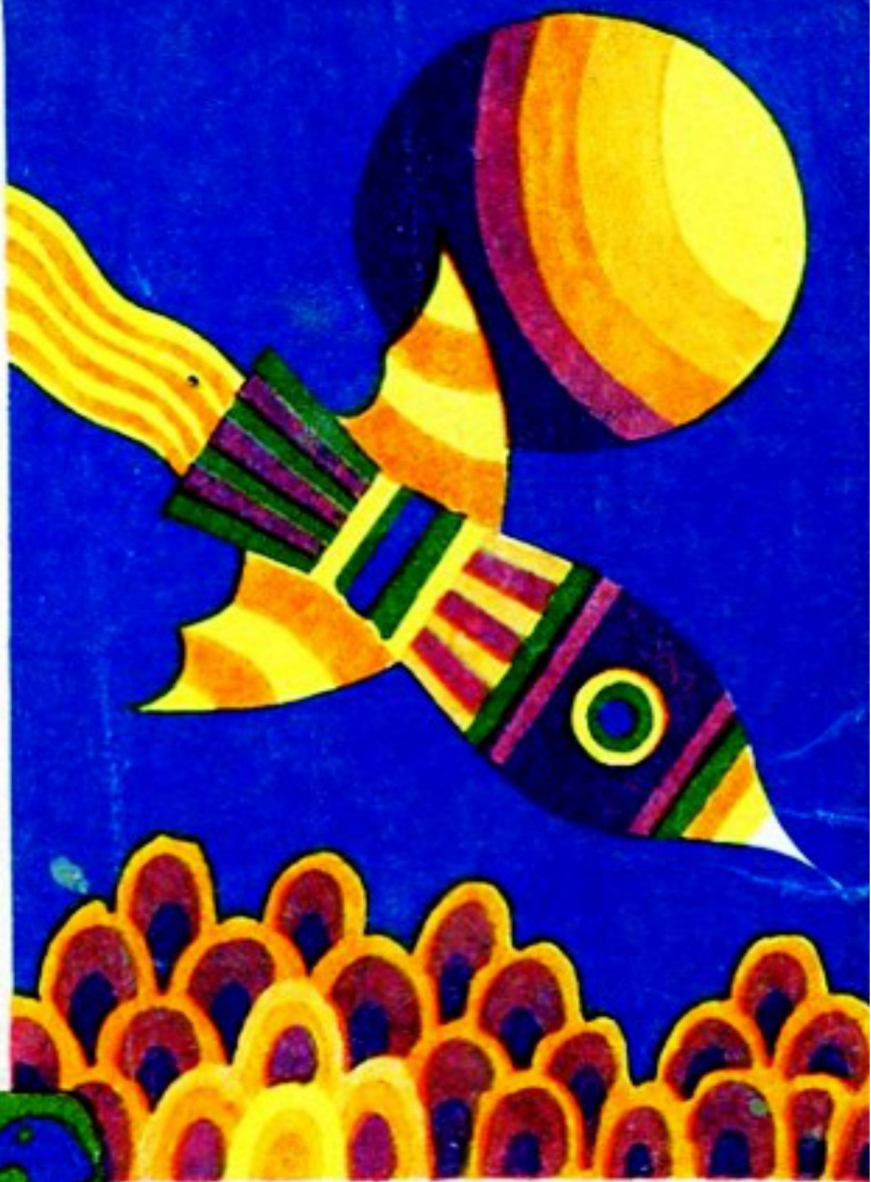


221

.....



BOHDAN PETECKI

# W POŁOWIE DROGI

CZYTELNIK

lesiojot

**BOHDAN PETECKI**

**W POŁOWIE DROGI**



**WARSZAWA . CZYTELNIK 1971**

## ROZDZIAŁ I

Ann Thorson usiłowała balansować, uginając nogi w kolanach, ale ściągnięta potężną siłą runęła na podłogę, pokrytą w tym miejscu jedynie cienką warstwą pianolitu. Zdążyła wyrzucić przed siebie ramiona i unieść nieco głowę, kiedy statkiem targnęła nowa seria wstrząsów. Potton, który rozluźnił uchwyty swojego fotela chcąc przyjść jej z pomocą, poleciał do przodu, odbił się od ściany tuż pod głównym ekranem neuraksa i pochwywszy poręcz siedzenia Batuzowa, zawisł w powietrzu. Jego nogi opisały szeroki łuk, trafiając po drodze w prawy bark Leny Sakadze. Twarz Leny skurczyła się z bólu, ale jej krzyk zginął w piekielnym jazgocie czujników i zgrzycie powłoki. Mogło się zdawać, że jakieś gigantyczne kleszcze drą na wąskie pasy cały korpus rakiety.

Nagle wszystko ucichło. Jeszcze trwali bez ruchu, kurczowo zaciskając palce na poręczach i uchwytach, oszołomieni i potłuczeni, przygotowani na najgorsze.

Ekran y zajaśniały spokojnym, równym blaskiem, błękitne oko wariomatu wypłynęło na środek tarczy, cyfry i linie w okienkach automatów nawigacyjnych, które przed chwilą pędziły jak oszalałe stapiając się w migocące pasy, zwolniły, jakiś czas jeszcze falowały, wreszcie przystały.

Usłyszeli głos pilota, Andrzeja Batuzowa. Cały czas podawał współrzędne. Jego słowa tonęły dotychczas w straszliwym hałasie.

- zero i osiem, dwadzieścia jeden,
- zero i siedem, dwadzieścia jeden,
- zero i sześć, dwadzieścia,
- zero i pięć, dwadzieścia,
- zero i cztery, dziewiętnaście,
- zero i cztery...

Automaty sterownicze wyrównały tor lotu, jednak rakietą ospale, jakby niechętnie reagowała na ich manewry.

Zero i cztery – wartość wychYLENIA przestała się zmniejszać.

– Zostaw, Andrzeju, nie trzeba – powiedziała Ann – jesteśmy na torze.

Piotr porównał wskazania automatów.

– Odrzuciło nas o cztery stopnie od płaszczyzny orbity lądowania – powiedział. Pochylił się nad pulpitem neuraksa. Za chwilę w głównym ekranie ujrzeli obraz kontrolny węzłowych połączeń systemu napędowego i układu nawigacyjnego statku.

– Łączność?

– W porządku – odpowiedział Batuzow. – Kamery całe, rozrząd działa sprawnie.

– Poczekaj, pomogę ci – Potton wstał, spojrział podejrzliwie w okienka wskaźników i pochylił się nad Ann, ciągle jeszcze klęczącą na podłodze. Podtrzymał ją, ulokował w fotelu nawigatora i sięgnął po paczuszkę z opatrunkiem uniwersalnym.

– Jak się czujesz?

– Już dobrze, dziękuję – Ann nadrabiała miną, ale równocześnie zaciskała wargi z bólu. Była dotkliwie poturbowana, nad okiem twarz zaczynała już puchnąć.

Lena Sakadze, cybernetyk, sekretarka naukowa Instytutu Kaukaskiego rozcierała drętwiejący bark.

– Co to mogło być?

– Nie spuszczałem wzroku z ekranów – powiedział Andrzej. – Ani neuraks, ani czujniki do ostatniego ułamka sekundy nie sygnalizowały żadnych przeszkód. Potem, oczywiście, zaczęły się miotać jak opętane, ale myślę, że raczej pod wpływem piekielnego tańca statku, niż jakichkolwiek impulsów z zewnątrz.

– Ciekawa jestem, czy odczuliście to tak samo jak ja – odezwała się Ann. – Kiedy leżałam na podłodze wydawało mi się, że słyszę uderzenia w spód rakiety. Jakby z dołu do nas strzelano...

– Może to były salwy powitalne. A ludzie mówią, że na Marsie nie ma cywilizacji – zażartował Batuzow.

Nikt nie odpowiedział,

Potton spoglądał w czarno-niebieskie ramki wskaźników i

tarczę wariomatu. Ann i Lena odruchowo pochyliły się nad ekranami kamer, wycelowanych w powierzchnię planety.

Horyzont wypełniała ogromna, wklęsła tarcza Marsa. Tylko niewielka jej część błyszczała w słońcu, jak gigantyczne, rogalikowate zwierciadło. Cała niemal widoczna powierzchnia czwartej planety układu słonecznego tonęła w mroku.

Od trzech godzin przygotowywali się do lądowania. Od trzech godzin w czołowych ekranach błyskały sinozielone płomienie, wyrrywające się z wylotów silników hamujących. Ciśnienie na powierzchni Marsa jest dziesięciokrotnie mniejsze od ziemskiego. Na skutek małej siły przyciągania gęstość atmosfery nie maleje z wysokością tak szybko, jak na naszej macierzystej planecie. Na wysokości dwustu dwudziestu tysięcy metrów, na jakiej leciała teraz rakietą, ciśnienie atmosferyczne było znacznie większe niż na tej samej wysokości nad ziemią. Dlatego z taką uwagą śledził kierownik ekspedycji, Piotr Potton, astrofizyk, aparaturę kontrolną silników hamujących.

– Trzeba by przeanalizować to, co się nam przydarzyło... – powiedziała niezdecydowanym głosem Ann.

– Konfrontacja? – podchwyciła Lena. – Zaczynaj, Piotrze.

– Później. – Potton, wpatrzony w ekran, manewrował przyciskami w pulpicie neuraksa.

– Za cztery minuty będziemy nad biegunem. Zeszliśmy trochę za szybko w czasie tego tańca. Na następnej orbicie możemy już być za nisko. Popatrzcie w dół. Tutaj będziemy lądować. Andrzej, sprawdziłeś wyrzutnie?

– Wszystko gotowe.

– Uwaga – będę podawał czas.

Potton wpatrzył się w różowy prostokąt z boku ekranu, w którym widniał model planety. Dokoła spłaszczonej kuli nawijały się czarnymi niteczkami kolejne orbity drogi, przemierzanej przez ich statek.

W momencie, kiedy wirujący powoli model globu do tknął białym biegunem skrzyżowanych w środku pola współrzędnych, Piotr zaczął liczyć:

– siedem,

- sześć,
- pięć,
- cztery,
- trzy...

Wtedy właśnie Potton szarpnął czerwoną gałkę regulacji ciągu silników hamujących. Ekran pojaśniał, zniknęły pasma płomieni buchających dotychczas z czołowych dysz. Statek, jak gdyby pozbawiony nagle ciężaru, uniósł się lekko, nieznacznie zmieniając orbitę.

- jeden,
- zero,
- start!

W kabinie rozległo się krótkie, głębokie westchnienie, tak to usłyszeli. Przez główny ekran przemknęła błękitna smuga. Kopernik – taką nazwę nosiła rakietą na śnieżnobiałym, helokoksowym dziobie – wystrzelił stacjonarnego satelitę komunikacyjnego. Zawieszony na wysokości stu kilometrów nad bazą miał im zapewnić nieprzerwaną łączność telewizyjną ze stacjami na orbicie okołoziemskiej. Program badań był wprawdzie obliczony na pełnię lata, ponieważ jednak jeden rok marsjański ma siedemset dni, ich położenie względem Ziemi musiało zmienić się w tym okresie tak znacznie, że bezpośrednie połączenie ze stacjami macierzystymi byłoby, jeśli nie niemożliwe, to w każdym razie bardzo utrudnione.

Piotr odepchnął ponownie czerwoną rączkę i silniki hamujące podjęły przerwana pracę. Operacja nie była prosta – w czasie wystrzeliwania sond i satelitów na małej wysokości trzeba wyłączać automaty kontrolne układu nawigacyjnego, termostaty i silniki hamujące. Gazy wyrzucane z dysz dziobowych mogłyby zniekształcić orbitę satelity. Z kolei nie można było tak blisko powierzchni planety stopować generatorów hamujących, nie wyłączwszy przedtem bezpieczników, rakietą przedzierała się przez gąszcz cząstek i automaty same blokowały wyłącznik układu hamującego.

Manewr przebiegł pomyślnie. W ciągu dwóch sekund widzieli jeszcze w bocznym wizjerze oddalający się płomień dopalaczy sterujących satelity, potem minęli biegun i lecieli

dalej nad półkulą wschodnią, w oślepiającym blasku słońca.

Piotr spojrział na zegarek.

– Za trzy godziny lądujemy – powiedział – przygotujcie się do transmisji.

Codziennie od sześciu dni, to znaczy od dnia startu, ośrodek telewizyjny Agencji Astronautycznej Narodów Zjednoczonych przeprowadzał bezpośrednie transmisje z kabiny Kopernika w programach całej półkuli wschodniej. Mieszkańcy drugiej półkuli, pogrążeni wtedy we śnie, mogli oglądać retransmisje tych programów w dowolnej porze dnia, dzięki sieci odbiorników, połączonych systemem zwrotnych z automatyczną stacją zapisów krystalicznych, centralnej ziemskiej agencji informacyjnej.

Dochodziła godzina dwudziesta ziemskiego czasu środkowoeuropejskiego, zbliżał się więc termin codziennego programu. Andrzej Batuzow, pilot i "szef łączności" Kopernika na Ziemi, jeden z najzdolniejszych konstruktorów zakładów lotniczych w Madrasie, sprawdzał sterowanie kamer przed fotelami załogi. Na monitorze kontrolnym zmieniały się obrazy dziennika telewizyjnego.

– Siadaj, Ann – powiedział Piotr.

– Naprawdę nie wiem, o czym dzisiaj mówić... – Ann Thorson, szczupła brunetka o dużych, pięknych oczach i gładkiej, matowej cerze, badała przy pomocy lusterka guz nad okiem, dzierżąc w drugiej ręce pożyczony od Leny grzebień. W wieku dwudziestu, ośmiu lat była już znanym i cenionym pracownikiem Instytutu Biochemii Bałtyckiego Ośrodka Medycyny Kosmicznej.

Andrzej włączył podśluch.

Z głośnika pod monitorem popłynął głos spikera telewizyjnego, prowadzącego dziennik. Ekran był zasnuty dymem. W kłębach rudej pary ukazywał się co kilkanaście sekund cieniutki błysk. Komentator relacjonował kolejny etap budowy wielkiego kombinatu chemicznego na Antarktydzie. Była to szósta tego rodzaju inwestycja na tym kontynencie, dostarczającym już czwartą część światowej produkcji koncentratów spożywczych z chlorelli.

Głos z Ziemi był czysty i donośny, mogło się wydawać, że mówi ktoś oddalony o kilka kroków:

– ...metodą remutacji plazmy. Nowe emitory fotonowe, najmłodsze pokolenie popularnej rodziny laserów, organizują czwarty stan materii w kierunku idealnie zgodnym z wolą budowniczych.

Spiker zrobił pauzę i uśmiechnął się.

– Komunikat Działu Koordynacji Księżycowego Ośrodka Meteorologicznego: – dziś w nocy temperatura na półkuli wschodniej będzie wynosić siedemnaście stopni. Uprzedza się jednostki pływające, że w związku z koniecznością oczyszczenia łowisk na Zachodnim Atlantyku, w ciągu najbliższych sześciu godzin wiać będą wiatry o sile czterech stopni, od czterdziestego do dziesiątego stopnia długości wschodniej.

Spiker odłożył kartkę.

– Komunikat astronawigacyjny podamy w następnym wydaniu dziennika. – Uśmiechnął się ponownie. – A teraz zapraszam państwa na kolejną wizytę w kabinie statku Kopernik, którego załoga zatknie tej nocy porządek Narodów Zjednoczonych na powierzchni Czerwonej Planety.

Na ekranie ukazała się plansza wywoławcza. Błękitna flaga i godło Planety: splecione, kolorowe koła symbolizujące kontynenty oraz stylizowane promienie słoneczne, załamujące się w otwartych dłoniach. Specjalnie dla nich wprowadzono do tego obrazu postać kosmonauty, opuszczającego raketę z wiązką kwiatów, rosnących w różnych ziemskich klimatach.

Minęli równik. Rakietę opuszczała się stosunkowo szybko. Za kilka minut na czołowym ekranie miał się ukazać pokryty jeszcze cienką warstwą śniegu biegun pomocny. Powierzchnia planety nie była już tak bezkonturowa jak przed chwilą. Można było odróżnić ciemniejsze pasy, porośnięte zbadanymi przez kilkadziesiąt sond kosmicznych, marsjańskimi roślinami.

Ann Thorson pośpiesznie skończyła toaletę i wzięła się do segregowania kolorowych negatywów widm cząstek, wydalanych przez tutejszą roślinność. Piotr poprawił się w fotelu i zmienił położenie głównego ekranu, by nie tracić go z pola widzenia w czasie transmisji. Lena uśmiechała się do



Batuzowa, który obserwował lampkę sygnalizacyjną w pulpicie swojej centrali komunikacyjnej.

Zapłonęło nikłe, żółte światełko.

– Uwaga, sygnał – powiedział Andrzej. Po chwili dodał szeptem: – Mów, Piotrze.

Potton uśmiechnął się do kamery, przywitał widzów i zrelacjonował im pokrótce drogę rakiety, przebytą od czasu poprzedniej transmisji.

Następnie Ann zademonstrowała wyniki swoich fotoanaliz i obiecała pokazać w następnej audycji oryginalne marsjańskie rośliny. Podzieliła się z widzami odkryciem nad zielonymi pasmami – słowo "zielonymi" zostało użyte w znaczeniu symbolicznym – większego niż w pustynnych rejonach planety stężenia tlenu. Potwierdzało to hipotezę mówiącą o istnieniu na Marsie pewnych – jak byśmy to powiedzieli na Ziemi – mikroklimatów. Procent tlenu w tutejszej atmosferze jest bardzo nikły, szesnaście razy mniejszy od tego, jakim przywykł oddychać człowiek. Marsjańskie powietrze, to głównie azot i dwutlenek węgla. Trudno sobie wyobrazić istoty, które mogłyby się czuć ukontentowane taką mieszkanką. Zresztą, od dawna było już wiadomo, że na Marsie nie ma żadnych wyżej zorganizowanych zwierząt.

Po Ann Thorson mówiła Lena.

Opisała wystrzelenie stacjonarnego satelity i przedstawiła słuchaczom system łączności między ich przyszlą bazą na powierzchni planety a stacjami ziemskimi.

Następnie skierowała obiektyw kamery w stronę ekranu.

– Cała nasza kabina – mówiła – jest zalana jaskrawym blaskiem. Z ekranów bucha światło podobne do płomieni plazmowych automatów spawalniczych. Słońce wyglądało w czasie naszej podróży jak płaska tarcza. W próżni nie dostrzega się promieni, nie widać także korony słonecznej. Po przeciwnej stronie – zmieniła położenie kamery – idealnie czarne, aksamitne niebo...

Uśmiechnęła się.

– Mówiono kiedyś, że najgroźniejszym wrogiem astronautów będzie obok cząsteczek twardego promieniowania –

monotonia. Trudno nam dzisiaj mówić o podróżach międzygwiazdnych, ale mogę państwa zapewnić, że w czasie naszej wyprawy nie nudziłyśmy się ani przez chwilę.

Rakieta leciała teraz nad biegunem i Andrzej skorzysta z tego, aby zademonstrować telewizjom jego śnieżną czapę. Przy okazji omówił średnie temperatury marsjańskiej atmosfery. Latem temperatura dochodzi do dwudziestu stopni. Zimą na całej półkuli panują dziewięćdziesięciostopniowe mrozy.

Kopernik obniżył się już do wysokości siedemdziesięciu tysięcy metrów. Rakieta minęła biegun. Za kilka minut miała ponownie przeciąć punkt, w którym w czasie poprzedniego okrążenia natrafiła na przeszkody, jakąś grawitacyjną "pralkę". Andrzej opowiedział oględnie, co im się przydarzyło. Żartując, zademonstrował guz nad okiem Ann. Jeszcze raz spokojnie omówił system automatycznych bezpieczników sterowniczych rakiety. Właśnie chciał oddać głos Piotrowi, aby ten, jako szef ekspedycji, pożegnał widzów, kiedy statkiem targnął potężny wstrząs. Amortyzatory ich foteli nie były w stanie osłabić uderzenia. Z zerwanego przewodu tlenowego buchnął strumień gazu, pulpity neuraksa rozjarzyły się sygnałami alarmowymi. Rakieta przekoziolkowała w locie raz i drugi, gwałtownie przyhamowując, to znowu rwąc do przodu, gnana pełną mocą swoich szesnastu silników. Ekran dziobowy płonął światłem wybuchów jądrowych, nad śluzą zawyła ostrzegawczo syrena termostatu. Straszliwe siły odśrodkowe wgniatały im głowy i ręce w oparcie foteli, w kabinie latały z szybkością pocisków ciężkie przedmioty. Batuzow dostrzegł kątem oka zbliżającą się kamerę zdmuchniętą przed chwilą ze stanowiska koło pulpitu przekładni. Statek targnął do przodu. Andrzej chciał zasłonić się przed ciosem, ale nie pozwoliła na to trzymająca go jak w kleszczach siła przyśpieszenia. Poczul bolesne uderzenie i stracił przytomność.

Na Ziemi, w pociemniałych ekranach telewizyjnych skakały przez jakiś czas splątane linie i rozbłyski, wreszcie pojawiła się ponownie plansza wywoławcza. Po dobrej chwili oddano głos spikerowi, który oznajmił, że transmisja została przerwana ze względów technicznych. We wszystkich instytucjach i ośrodkach

współpracujących przy realizacji programów kosmicznych ogłoszono stan pogotowia. W rzeczywistości był to alarm.

Poza transmisjami, przeznaczonymi dla publiczności, stałą łączność ze statkiem utrzymywały trzy bazy orbitalne, sprzężone z ośrodkami naziemnymi. Centralna Rozdzielnia, która w ostatnich latach rozrosła się w duże miasto, pływające po Oceanie Indyjskim, ogłosiła ciszę radiową. Wszystkie obserwatoria, zespoły satelitów wzmacniających, wszystkie księżycowe stacje przekaźnikowe, wycelowały swoje najczulsze anteny w miejsce, skąd dobiegły ostatnie sygnały Kopernika.

W ciągu kilkunastu sekund gigantyczne zwierciadło Rozdzielni odbierało jeszcze słabe, zniekształcone echo automatycznego urządzenia namiarowego, zainstalowanego przy silnikach statku. Potem ucichło i to.

Profesor Bo Loren, Sekretarz Naukowy Rady Astronautycznej Narodów Zjednoczonych, zwołał nadzwyczajną sesję Rady. Wezwano wszystkich specjalistów, którzy uczestniczyli w realizacji programu marsjańskiego.

Upłynęło czterdzieści pięć minut od momentu przerwania transmisji z pokładu Kopernika. Ogromna, amfiteatralna sala Pałacu Astronautów pod Neapolem była wypełniona do ostatniego miejsca. Z trzydziestu dwóch eskalatorów jeden tylko był jeszcze w ruchu. Pozostałe zatrzymano równocześnie z gongiem, obwieszczającym początek obrad.

Kiedy Paweł stanął w bocznych drzwiach trzeciego piętra, Sekretarz już przemawiał. Usiadł w fotelu, włączył automat strojenia swojego fonoptyka i umieścił w aparacie wizytówkę, czarny kryształek, opleciony miniaturową anteną. Wśród osób siedzących w pobliżu nie dostrzegł nikogo znajomego. Byli to prawdopodobnie inżynierowie, konstruktorzy i cybernetycy miejscowego ośrodka. Poczul się niepewnie, jak zwykle w towarzystwie ludzi, mających bezpośredni wpływ na kształtowanie materialnego oblicza świata, dla których wielkie systemy matematyczne i logiczne nie były źródłem wiedzy o człowieku, a jedynie tworzywem służącym do konstruowania narzędzi i metod jego ekspansji w Kosmosie. Luminarze nauki, których znał przynajmniej z widzenia, siedzieli na dole,

niedaleko stołu prezydialnego. Oto Adam Rankon, syn Filipa Rankona, kierownika pierwszej stałej stacji księżycowej. Jego ojciec zginął w czasie próbnego wodowania kabiny wenusjańskiej na Pacyfiku. Adam Rankon był pierwszym człowiekiem, który postawił stopę na powierzchni "Planety mgieł" – Wenus. Ze strony pozostałych członków załogi był to z pewnością gest symboliczny, hołd, złożony pamięci jego ojca – chociaż Adam, twórca krzyżowego układu napędów antygravitacyjnych, który to układ zredukował ryzyko związane z lądowaniem w atmosferze praktycznie do zera, sam dobrze sobie na to wyróżnienie zasłużył.

Obok niego siedział Lew Krotin, z bujną białą czupryną i równie białą brodą. Gdyby choć część krążących o nim legend była prawdą, to Krotin z pewnością zasługiwałby na miano "rycerza astronautyki". W ciągu dwudziestu czterech lat nie opuszczał niemal pracowni w laboratorium kaukaskim, gdzie badał własności aerodynamiczne i termiczne nowych, komponowanych przez siebie powłok statków kosmicznych. Jego dzieckiem był helokoks, "Powłoka Krotina", z której zbudowano między innymi korpus Kopernika. Na oko materiał sprawiał wrażenie najmniej odpowiedniego do powlekania nim statków, pięciokrotnie szybszych od pierwszych rakiet księżycowych. Śnieżnobiały helokoks przypominał sztywną gąbkę o ogromnych porach lub nieregularny plaster, w którym mogłyby gromadzić zapasy jakieś monstrualnie wielkie pszczoły. Nie sposób było dotknąć tej powłoki nieuzbrojoną ręką. Niezwykle ostre strzępy najtwardszego ze wszystkich znanych materiałów przecinały skórę, zanim w ogóle poczuło się go pod palcami.

Lew Krotin, obecnie profesor aerodynamiki w Instytucie Kaukaskim po opublikowaniu wyników doświadczeń stał się z dnia na dzień światową sławą. Ogromne poruszenie wywołał jego wywiad dla Agencji Astronautycznej, w którym oświadczył, że zastrzega sobie prawo pilotowania pierwszej rakiety, powleczonej helokoksem. Wszystkie kluby astronawigatorów, zespoły konstruktorskie, a przede wszystkim Zrzeszenie Pilotów, podniosły nieopisaną wrzawę. Zarzucano Krotinowi fanfaronadę, sobkostwo – była też mowa

o "mentalności chłopca, bawiącego się w kosmonautę".

Niechętna postawa specjalistów ustąpiła miejsca nie-  
kłammanemu zainteresowaniu dopiero po oświadczeniu nestora  
pilotów przestrzennych, Teodora Botowa, u którego, jak się  
okazało. Lew Krotin od półtora roku uczył się "po cichu"  
pilotażu.

Toteż kiedy dotarł na Ziemię meldunek, że rakieta "Wenus 9"  
wylądowała na powierzchni planety po locie niemal  
dwukrotnie krótszym od dotychczasowych i że jej pilot Lew  
Krotin potwierdza wyniki teoretycznych badań konstruktora  
Lwa Krotina, najzagorzalsi wrogowie uczonego wystosowali do  
niego pełne szczerego szacunku i podziwu depesze  
gratulacyjne.

W drugim rzędzie, zaraz za Krotinem, zauważył Paweł  
swojego profesora, Cortona, kierownika Instytutu Historii  
Współczesnej przy Ośrodku Bałtyckim. Paweł Kulski, adiunkt  
tego, instytutu, świeżo upieczony doktor historii, "kronikarz  
próżni" jak nazywali go koledzy, poczuł się pewniej. Zresztą  
rezerwa, z jaką Kulski odnosił się do przedstawicieli nauk  
technicznych, wynikała w znacznej mierze z jego charakteru,  
pewnej nieśmiałości. Paweł nigdy nie był pewien, czy jest przez  
nich właściwie rozumiany, poza tym jego własne osiągnięcia  
wydawały mu się znikome wobec dorobku znanych  
konstruktorów i innych obecnych w tej sali specjalistów.

Uruchomił aparaturę rejestrującą i zaczął się wsłuchiwać w  
słowa Sekretarza.

Bo Loren omawiał poszczególne etapy realizacji programu  
marsjańskiego. W tej chwili przekazywał zebranim wstępne  
wyniki badań materiałów dostarczonych z pokładu Kopernika.  
Doszedłszy do ostatniej transmisji telewizyjnej przerwał i  
sięgnął po karafkę z wodą. Po chwili z głośników ponownie  
popłynął jego równy, spokojny głos:

– Ośrodki naukowe, wykorzystując wszystkie systemy  
komunikacyjne stojące do dyspozycji ludzkości, usiłują  
odzyskać łączność z pierwszym statkiem marsjańskim.  
Zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby pomóc jego załodze,  
o tym zapewniać nie trzeba. Depesze tej treści przesłaliśmy

przed rozpoczęciem obrad do rodzin Leny Sakadze, Ann Thorson, Andrzeja Batuzowa i Piotra Pottona. Wierzimy, że będziemy mogli powitać ich w naszym gronie z radością i szacunkiem, na jaki zasłużyli. Sytuacja wymaga jednak energicznego działania. Musimy wziąć pod uwagę wszystkie możliwe warianty tego, co spotkało załogę Kopernika.

Trzeba powiedzieć otwarcie – statek uległ katastrofie, której rozmiary i skutki nie są nam znane. Świadcami wypadku byli wszyscy widzowie z półkuli wschodniej. Widzieliśmy, że nastąpił w ostatniej fazie lotu, w warunkach, w których nic nie zapowiadało zakłócenia przebiegu lądowania. To właśnie jest dla nas najbardziej niepokojące. Analizując przyczyny katastrofy na podstawie skąpych niestety danych, jakie posiadamy, doszliśmy do wniosku, że należy wykluczyć awarię silników statku czy też jakichkolwiek ważnych urządzeń pokładowych. Dzięki kamerom telewizyjnym i innym środkom przekazu obserwowaliśmy wspólnie z załogą wskazania czujników neuraksa. Jest przypuszczeniem nie mieszczącym się w granicach prawdopodobieństwa, by neuraks, zespół najdoskonalszych ze znanych ludzkości systemów elektronowego myślenia, nie uprzedził o takiej awarii uruchomieniem sygnalizatorów alarmowych. Z tych samych względów możemy wykluczyć błąd nawigacji i błąd pilotażu.

Teoretycznie – ciągnął dalej Sekretarz – nie sposób sobie także wyobrazić przeszkody zewnętrznej, która mogłaby ujść uwagi neuraksa. Nie ulega jednak wątpliwości, że nie są nam jeszcze znane wszystkie siły materii, które ujawniają się w przestrzeni międzyplanetarnej. Trzeba więc, drogą eliminacji, przyjąć hipotezę, że Kopernik natrafił na nie znaną naszej nauce przeszkodę, która pozbawiła go łączności z Ziemią i zakłóciła lot rakiety.

Nie chcę przedstawiać wszystkich prawdopodobnych skutków wypadku. Być może statek uległ zniszczeniu, a jego załoga zginęła. Być może w wyniku katastrofy uszkodzona została wyłącznie aparatura łączności. W pierwszym przypadku wszelka pomoc z naszej strony będzie bezskuteczna – w drugim – niepotrzebna, ponieważ korzystając z uniwersalnych

automatów pokładowych sprawę komunikacji załoga prędzej czy później rozwiąże sama. Musimy jednak wziąć pod uwagę wariant trzeci. Musimy założyć, że statek uległ częściowemu zniszczeniu, w każdym razie uszkodzeniu, które uniemożliwi mu powrót na Ziemię, a jego załoga znalazła się w trudnych do wyobrażenia warunkach, zdana wyłącznie na pomoc z naszej strony. Proponuję, aby wykluczyć z naszych rozważań wszystkie inne warianty jako bezprzedmiotowe.

W tej sytuacji – kończył Bo Loren – jedynym skutecznym rozwiązaniem wydaje się wysłanie w ślad za Kopernikiem drugiego Załogowego statku marsjańskiego. Oddaję głos kierownikowi Zespołu Koordynacyjnego programu marsjańskiego – profesorowi Georgiemu Sakadze.

Ukazanie się na mównicy wysokiego, szpakowatego mężczyzny, przyjęła sala cichym szmerem. W tym momencie Kulski uzmysłowił sobie, że profesor Sakadze jest ojcem Leny, jednej z czworga osób stanowiących załogę Kopernika.

Praca Pawła nie polegała, rzecz prosta, na gromadzeniu i poddawaniu analizie tego rodzaju faktów. Nie da się jednak zaprzeczyć, że właśnie one były dla młodego historyka najbardziej istotnymi przesłankami roli i uroku wybranej przez niego gałęzi wiedzy.

Georgi Sakadze mówił krótkimi zdaniem, zwięźle, niemal sucho. Jego zdaniem statek można by wystrzelić w kierunku Marsa w ciągu kilku tygodni. Zaistniały jednak okoliczności przemawiające za odroczeniem wyprawy. Zespół techniczny programu opracował mianowicie nowy system automatycznego bloku bezpieczeństwa dla statków typu Kopernika. Podzespoły tego systemu przechodzą obecnie próby, które muszą jeszcze potrwać co najmniej cztery miesiące. Wszystko wskazuje na to, że nowy system będzie bardziej skuteczny od tego, jaki zastosowano w pierwszym pojeździe marsjańskim. Powstaje więc pytanie: czy ryzykować wysłanie rakiety wyposażonej w system, który nie zdał już egzaminu w wypadku Kopernika, czy też, decydując się na czteromiesięczną zwłokę, dać załodze drugiego statku większe szanse, poprzez zainstalowanie w nim nowej aparatury.

Paweł zjeżył się wewnątrz. – Za cztery miesiące – pomyślał – wynajdą znowu coś nowego.

Sakadze przerwał na moment, rozejrzał się po sali i powiedział zmienionym głosem:

– Wiecie wszyscy, że tam jest moja córka. Każdy z nich zostawił wśród nas bliskich i przyjaciół... Tak... Oczywiście – podjął znowu normalnym głosem – nie ma pewności, że nasz nowy system okaże się bardziej skuteczny wobec sił, które spowodowały katastrofę Kopernika. Wiem, że warunki w jakich znajduje się załoga mogą być bardzo trudne. Nie można niestety wykluczyć, że czteromiesięczna zwłoka przekreśli szansę ratunku.

Tym niemniej sędzę, że mamy obowiązek zapewnienia maksimum bezpieczeństwa wszystkim, którzy lecą poza orbitę naszego globu. W Koperniku zastosowaliśmy najlepszy ze znanych nam wtedy systemów bezpieczeństwa. Teraz dysponujemy bardziej skutecznym. Będziemy go mieć za cztery miesiące. To, moim zdaniem, zobowiązuje.

Sekretarz otworzył dyskusję.

Członkowie Rady Astronautycznej, konstruktorzy, cybernetycy, lekarze, każdy ze swojego miejsca, starali się w kilkuminutowych wystąpieniach zająć stanowisko wobec kluczowego problemu: wysłać statek ratowniczy jak najprędzej, kiedy tylko będzie to możliwe, czy też czekać na nowy system bezpieczeństwa.

Kulski przysłuchiwał się ich. rzeczowej, logicznej argumentacji z rosnącą niechęcią. Nagle na pulpicie jego fonoptyka zapłonęło żółte światelko.

Wyłączył się z sieci ogólnej i podniósł słuchawkę.

– Pawle – poznał głos swojego profesora – czy w najbliższym czasie będziesz bardzo zajęty? Masz jakieś pilne prace?

Kulski przygotował do publikacji swoją pracę doktorską i obecnie na dobrą sprawę zastanawiał się dopiero, który z poruszonych w niej problemów wybrać jako temat dalszych badań.

– O co chodzi, profesorze? – zapytał.

– Odpowiedz mi najpierw.



– Nie, w tej chwili nie mam nic pilnego... Żółta lampka zgasła. Aparat automatycznie przeszedł na odbiór z sieci ogólnej.

– Zanim poddam wniosek pod głosowanie, przedstawię zebranym skład Zespołu Koordynacyjnego, odpowiedzialnego za przygotowanie drugiego statku marsjańskiego. Przypominam, że zgodnie z kodeksem astronautycznym, z tego zespołu zostanie wyłoniona załoga. Wśród sześćdziesięciu nazwisk wymienionych przez Sekretarza Paweł, z największym zdumieniem, usłyszał swoje własne. Zrozumiał teraz rozmowę z Cortonem. Przycisnął guzik w pulpicie i wybrał klawiszami numer miejsca profesora.

– Dziękuję – powiedział. – Będę się czuł jak kopciuszek wśród tych wszystkich znakomitości...

– Dobrze, dobrze – zabrzmiało z głośnika – życzą powodzenia.

– Poza kolegą Kulskim – mówił Bo Loren, Paweł poczuł nagle niemiłe ciepło na policzkach – wszyscy członkowie Zespołu Koordynacyjnego wypowiedzieli się w zakończonej przed chwilą dyskusji. Opinie kolegów są w zasadzie zgodne z wnioskiem profesora Sakadze dotyczącym odroczenia wyprawy ratunkowej. Zgodnie z regulaminem proszę o przegłosowanie wniosku. Przypominam, że głosują wyłącznie członkowie Zespołu Koordynacyjnego, spośród których wyłoniona zostanie załoga drugiego statku.

– Kto jest za odroczeniem wyprawy?

– Dziękuję.

– Kto jest za wysłaniem wyprawy ratunkowej – najwcześniej, jak to będzie możliwe, także bez nowego systemu bezpieczeństwa?

– Dziękuję.

– Kto się wstrzymał?

– Dziękuję.

Sekretarz pochylił się nad swoim pulpitem i wezwał cybernetyka, który pełnił dyżur w centrali kontaktowo-obliczeniowej. Po chwili otrzymał wynik, wyprostował się i uśmiechnął.

– Proszę kolegów – powiedział – członkowie Zespołu Koordynacyjnego wypowiedzieli się zgodnie z moimi przewidywaniami...

Ktoś na wyższym piętrze zaczął bić brawo. Po chwili cała sala rozbrzmiała oklaskami.

Bo Loren ruchem ręki poprosił o ciszę.

– Podaję wyniki głosowania:

Sześćdziesiąt głosów padło za wysłaniem wyprawy ratunkowej najwcześniej, jak to będzie możliwe, bez uzupełnienia zespołów automatycznego bloku bezpieczeństwa.

Za odroczeniem wyprawy – zero głosów.

Wstrzymujących się – zero.

Paweł odetchnął z ulgą. Poczul się zawstydzony. Nie ma żadnych racjonalnych powodów uważać się za obcego wśród tych ludzi, tak mu teraz bliskich.

– Zamykam obrady – powiedział Bo Loren.

Nikt nie ruszył się z miejsca. Sekretarz uśmiechnął się.

– To wszystko – powiedział po chwili. – Dziękuję.

## ROZDZIAŁ II

To było morze, okrutne, bo nieruchome, chociaż przemieszczające się z każdym ich krokiem bezkonturowe cienie wydm dawały mu pozory życia. Bezpromienne słońce stało w zenicie, naszyte na granatowy firmament; właśnie ten granat, dniem i nocą roziskrzony gwiazdami, a raczej jego martwy, matowy refleks upodabniał pustynię do niemożliwego, bezwodnego morza. Wrażenie było niesamowite, bo piaszczyste garby, żwir, zwały pyłu, wszystko, co ich otaczało, miało właściwie barwę palonej cegły. Ów granat wyzierał gdzieś z głębi gruntu, tak właśnie jakby cienka, oleista warstwa czerwieni tłumiała fale płynnego, niebieskiego bazaltu. Opuścili raketę przed wschodem słońca, kiedy ruchliwe stożki reflektorów torowały im drogę w mroźnym mroku, dając mimo wszystko złudzenie czegoś znajomego. Ciemność jest wszędzie podobna, tylko obecność promieni światła daje człowiekowi

prawo wstępu do obcych światów.

Z nadejściem dnia, a świt wstaje tu bez przejścia, gwałtowniej niż na Ziemi w strefie równikowej, raptem oblało ich bezkresne, dwubarwne morze. Przez pierwsze minuty stopy odruchowo wzdragały się przed śmielszym stąpieniem, szli jak po cienkim lodzie, czekając, kiedy jego ruda, półprzezroczysta powłoka strzeli im pod nogami i zostaną wessani przez granatową maź, bez nadziei na ocalenie. Była to jednak tylko pustynia, nieznośna, zawiana grubym pokładem drobnoziarnistego pyłu, w którym z rzadka ciemniały łachy ostrego żwiru niby rumowiska starych ceglanych budowli.

Byli już na trzydziestym kilometrze. Natychmiast po opuszczeniu komory śluzowej Kopernika wzięli kurs na północ, tam skąd przylecieli w ostatnim okrążeniu planety. Okrążeniu, którego orbita została złamana, jakby była cienką, drewnianą obręczą. Wzrok przywykał powoli do otoczenia, ustąpił mimowolny lęk przed rozwierającą się pod nimi pozorną głębią, kroczyli pewnie, z rosnącym w miarę zmęczenia trudem dźwigając ciężkie buty o metalowych podeszwach, wciąż głębiej pogrążające się w pyle.

Księżyc. Tam chodzi się naprawdę lekko. Poprawiając niecierpliwym podrzutem pasy stelaża butli tlenowych, Ann Thorson przypomniała sobie nagle swoją pierwszą wyprawę z bazy w kraterze Ptolomeusza. Trzy... nie, cztery lata temu. To było wspaniałe, te skokoloty, kilku czy nawet kilkunastometrowe. Chwilami wydawało się człowiekowi, że opuszcza kabinę orbitującej rakiety. Oczywiście, wszyscy nowicjusze leżeli co kilka kroków. Wobec znikomej siły przyciągania, owe gwałtowne upadki odczuwało się jednak jak lądowanie na stercie kostek pianolitowych albo poduszce powietrznej.

– Halo, Ann, co z tobą? – głos Piotra przywołał ją do rzeczywistości. Wysforował się przed nią, a raczej to ona została w tyle, bezwiednie pogrążając się w przeszłości.

– Nic, nic, idę – przyśpieszyła kroku. Podchodząc do niego usiłowała się uśmiechnąć, on jednak zmierzył ją tylko przelotnym spojrzeniem i bez słowa ruszył dalej. Chwilę szli

milcząc obok siebie, potem Ann znowu zaczęła zostawać w tyle. Bolały ją wszystkie kości. Krzyż i ramiona, opięte pasami, piekły jak oparzone za każdym poruszeniem głowy, każdym krokiem. Bielizna pod skafandrem zaczęła się kleić do skóry, po szyi spływał pierwszy strumień potu, tymczasem w krtani i niżej w okolicy serca tkwił jeszcze paralizujący chłód nocy, pierwszych godzin marszu. Wyładowane ogniwa nie zasilają dostatecznie wewnętrznej sieci klimatyzacyjnej skafandrów.

– Daleko jeszcze? – spytała bez sensu.

Potton nie odpowiedział. Zresztą mógł nie słyszeć. Ich nadajniki nie spisywały się najlepiej w środowisku atmosfery marsjańskiej. Przed startem mówiono wprawdzie, że nie byłoby źle wyposażyć ekipę we wzmacniacze, podobne do tych, jakie stosuje się na Księżycu. Na przeszkodzie stanął ich ciężar, który nie odgrywał żadnej roli w warunkach minimalnej siły przyciągania satelity, ale który tutaj w poważnym stopniu krępowałby swobodę ruchów grup badawczych.

– Mówiłaś coś? – wycelował w jej stronę stożek swojego hełmu.

– Pytałam, czemu stanąłeś?

– Odwrócił się. Przez chwilę wodził zmęczonym wzrokiem po okolicy, wreszcie powiedział:

– To musi być w tej stronie... – zatoczył ręką szeroki łuk. Sam tracił już chwilami nadzieję, zaczynało w nim wzbierać przeświadczenie, że cały ich wysiłek jest tylko oszukiwaniem się, że nie ma tutaj nic poza powtarzającymi się po kres horyzontu kopulastymi garbami. Nie myślał już o Ziemi, o pozostawionych w rakiecie Lenie i Andrzeju. Lenie, nieprzytomnej jeszcze po kontuzji odniesionej w czasie katastrofy, i Andrzeju, który z obandażowaną głową i usztywnionym ramieniem usiłował teraz zapewne doprowadzić do stanu używalności pokładową aparaturę energetyczną. Wiedział tylko, że muszą to znaleźć, że nie wolno im wrócić z pustymi rękoma.

Mieli szczęście. Kopernik uderzył w jakąś przeszkodę, której nie dostrzegła w porę pokładowa aparatura alarmowa, i został gwałtownie wybity z orbity lotu. Spadali niemal pionowo.

Powłoka rakiety rozgrzała się do dwóch tysięcy czterystu stopni, przynajmniej na tej wysokości urwał się zapis termografu, i automat alarmowy neuraksa przerwał obwody zasilające stosu. Znajdowali się już tysiąc osiemset metrów nad powierzchnią, kiedy Potton zdołał odpalić pierwszą serię ratunkowych ładunków antygravitacyjnych. Na następne zabrakło już czasu. W ekranie czołowym mignęły pasma spadochronów, wyszarpniętych przez ostatnią z raket.

Poszły oczywiście w drzazgi, zanim zdążyły się rozwinąć. Ludzie nie zdawali sobie sprawy z tego, co się dzieje, działali podświadomie, tocząc rozpaczliwą walkę z miażdżącymi siłami odśrodkowymi.

Owa spóźniona seria rakiet i rozmięcione od razu w drobne strzępy spadochrony uratowały jednak statek i załogę. Kopernik, lecąc pionowo w dół z szybkością dwudziestokrotnie większą od szybkości dźwięku, na ułamek sekundy przed zetknięciem się z czerwoną pustynią zadarł nagle dziób, sprasował ich w piekielnym łuku i wylądował jak na poligonie, całą swoją boczną płaszczyznę nacierając na powierzchnię planety. Skapotował kilkanaście razy, po czym zamarł w bezruchu, sześć kilometrów od punktu, w którym po raz pierwszy dotknął gruntu. Upłynęło kilkanaście minut zanim Piotr Potton, jako pierwszy, odzyskał przytomność.

Wszystko to zdarzyło się zaledwie wczoraj. Teraz wydawało im się, że od ostatniej łączności z bazami naziemnymi, ostatniej przerwanej katastrofą transmisji, dzielą ich już tygodnie. Szli, starając się nie myśleć o przyszłości, brodzili w pyle rudogranatowej pustyni, koncentrując uwagę na linii horyzontu. Co kilkanaście minut Potton przystawał i czekał na Ann. Podchodziła i uśmiechała się. Przez pierwsze trzydzieści kilometrów marszu zamienili może cztery zdania.

Stos był nieczynny. Przed ewentualną próbą ponownego rozruchu należało sprawdzić rozrząd, chłodzenie, układ zasilający, dziesiątki kilometrów kabli i – przede wszystkim – pochłaniacze promieniowania. Potton nie sądził, by udało się tego dokonać przed upływem tygodnia, dziesięciu dni. Wtedy dopiero będą mogli naładować baterie łączności, uzupełnić

zapas tlenu, uruchomić pozostałe zespoły klimatyzacyjne i – co najważniejsze – nawiązać kontakt z Ziemią. Wszystko to zależało od dopływu energii, której podstawowym źródłem był stos. Ogniwa ocalały, ich rezerwy energetyczne, wystarczające w zasadzie do uruchomienia nadajnika, nie były już w stanie zapewnić emitowanym sygnałom mocy niezbędnej dla nawiązania bezpośredniej łączności z księżycowymi, a tym bardziej orbitalnymi stacjami przekaźnikowymi. Fale grzęzły po prostu w atmosferze Marsa, potrzebny był stacjonarny satelita komunikacyjny. Ten, którego wystrzelili wczoraj, wisiał teraz trzy tysiące kilometrów dalej, nad hipotetycznym miejscem lądowania. Odległość była za duża.

Brak dopływu energii ze stosu odczuwali boleśnie nie tylko ze względu na utratę łączności z Ziemią. Zmuszeni do oszczędnego gospodarowania rezerwami nie mogli sobie pozwolić na pełne ładowanie baterii pokładowego systemu komunikacyjnego. Thorson i Potton, opuszczając raketę, umówili się z Batuzowem, że łączność radiową nawiążą jedynie w ostateczności. Z tych samych względów nie uzupełniali ogniwo swoich kieszonek aparacików nadawczo-odbiorczych. Gdyby nie to, Ann nie miałyby powodu tęsknić do ciężkich wzmacniaczy, wspominając swoje pierwsze eskapady księżycowe. Tak jednak, jak rzeczy miały się w tej chwili, musieli do swych wbudowanych w głowice hełmów mikrofonów mówić bardzo głośno, jeżeli nie wręcz krzyżeć. Im rzadsza atmosfera, tym gorzej czują się w niej fale głosowe.

Szli znowu obok siebie. W pewnym momencie Potton pochylił się i ujął jej dłoń między swoje szorstkie, gąbczaste rękawice. Odsunęła się, łagodnie oswobadzając rękę, i potrząsnęła głową. Miało to zapewne oznaczać, że nic jej nie jest, nie czuje zmęczenia i nie rozumie, dlaczego on usiłuje dodać jej otuchy.

Ich wyprawa stanowiła przeciwieństwo tego, co można by nazwać wielką, radosną przygodą uczonych, dokonujących pierwszego zwiadu na nieznaną planetę. Żadne z nich nie umiało sobie nawet wyobrazić sił, które spowodowały katastrofę statku, a których obecność uszła uwagi najczulszych

alarmowych "oczu" neuraksa. Cała ich teoretyczna wiedza, poparta wieloletnim doświadczeniem buntowała się przeciw akceptacji takiego faktu. Z faktami trudno jednak polemizować.

Jedno wydawało się pewne: czymkolwiek to było, wyjaśnienia należało szukać tutaj, na powierzchni planety. Gdyby sprawca przybywał z obszaru systemu słonecznego,

go, obojętnie czy z jakiegoś skupiska grawitacyjnego, czy z pozornej próżni, sondy kosmiczne i radioteleskopy powinny były zarejestrować jego obecność. Chyba że pojawił się w przestrzeni, jako echo potężnego wybuchu radioaktywności dosłownie tuż przed katastrofą. Chociaż, jeżeli zdołał uspić czujność neuraksa...

Tak czy owak trzeba było przeczesać pustynię w największym możliwym promieniu od punktu, nad którym nastąpiło zderzenie. Obecność potężnych sił, skądkolwiek by nie pochodziły, w sąsiedztwie ich bezbronnej, niezdolnej do startu rakiety stanowiła groźbę, której nie wolno było zlekceważyć. Siły te mogły przecież reagować na materiał, użyty do budowy statku. Być może aktywizowały je pola, powstające w czasie pracy stosu. Należało także zbadać, czy natężenie tych pól ma wartość stałą, czy też przechodzącą okresowe przypływy i odpływy mocy, a gdyby tak było, to jakie skutki dla załogi Kopernika mógłby mieć wzrost ich aktywności.

Z ust Ann wyrwał się głuchy okrzyk. Stała jak wryta, zaciskając kurczowo palce na ramieniu Pottona. On jednak dostrzegł to już także. W pierwszym odruchu sięgnął do kabury miotacza. Była pusta. Awaria stosu pozbawiła ich także broni.

W odległości dwustu metrów, za grzbietem wydmy, która wyłoniła się przed chwilą w perspektywie pylistego morza, strzelał pionowo w górę słup rozszarzonego powietrza.

Stali chwilę bez ruchu, dwie małe, śmieszne figurki, rzucone na bezkresną, pokrytą wielbłądzimi garbami wydmy pustynię. Wreszcie wolnym, odmierzonym krokiem bez słowa skierowali się w stronę szczególnego wzgórza.

Przeszedłszy kilkadziesiąt metrów Potton zatrzymał się nagle. Czerwone oko czujnika promieniowania pod okapem

hełmu zabłysło raz i drugi. W słuchawkach odezwał się charakterystyczny stukot Geigera. Zaterkotał krótko i zamilkł. Potton odczekał kilkanaście sekund, po czym ruchem ręki nakazał Ann pozostać na miejscu, a sam postąpił kilka kroków do przodu. Przystanął. Uspokojony odwrócił się, żeby przywołać towarzyszkę. W tej samej chwili nad okiem rozbłysło czerwone światelko, tuż przy uchu zawarczał sygnał licznika.

– Co u licha – mruknął. – Zabawa w ciepło – zimno?

Kątem oka pochwycił nagle jakąś ciemną plamę u podnóża rudej wydmy, w odległości około stu metrów. Przechodzili tamtędy, tuż koło tego miejsca. To ciemne ukryło się przed ich wzrokiem za którymś ze wzgórz albo przegapili je po prostu, wpatrzeni stale w linię horyzontu. Ruszył szybko w tamtą stronę. Po chwili wahania Ann podążyła za nim.

Stali nad brzegiem prostokątnego wykopu. Ponad poziom pustyni wznosił się szczyt zamontowanej w centralnym punkcie zagłębienia smukłej, stożkowatej wieżyczki. Wieńczyła ją przezroczysta kula wielkości piłki.

Po raz pierwszy w historii swojej rasy stanął człowiek oko w oko z tworem obcej cywilizacji. Co do tego nie mogło być wątpliwości. Rzecz osobliwa, w pierwszej chwili przyjęli to jako coś nader zwyczajnego, jak przyjmuje się wieść o jakimś odkryciu lub urodzeniu dziecka. Coś, czego w gruncie rzeczy wszyscy się spodziewali.

Oczywiście, nie przypuszczali, że to będzie już teraz, a tym bardziej tutaj, na jednym z najlepiej zbadanych kosmicznych sąsiadów Ziemi. W tej pozornej obojętności było zresztą coś więcej niż proste spełnienie długo piastowanych nadziei. Bo przecież, chociaż nikt tego nigdy nie powiedział na głos, cała astronautyka jest niepokalanym płodem tęsknoty i uczucia osamotnienia ziemian. Oczywiście, w innej sytuacji towarzyszyłyby tej chwili bez porównania silniejsze emocje, głębsze wzruszenia. Tak jak się sprawy miały, na refleksje nie mieli po prostu czasu.

Potton zaczerpnął garść żwiru i cisnął w dół. Nic się nie stało. Ziarenka toczyły się jeszcze, osiadając u podstawy stożka, kiedy Ann zeskoczyła do wykopu. Podeszła do kuli – wznosiła się na



wysokości jej głowy – i wyciągnęła rękę. W tym samym ułamku sekundy odskoczyła, a raczej potoczyła się do tyłu, gwałtownie odepchnięta. Z wieżyczki wzbił się potężny szum. Jednym skokiem Potton znalazł się na dole, ale zanim zdołał dotrzeć do Ann, coś powaliło go na ziemię i przygniotło.

Ściany kuli rozchylały się jak płatki, rozciętej pomarańczy. Z jej wnętrza wypełził pionowo w górę cienki, lśniący pręt. Piasek zawirował nagle, buchnęły chmury pyłu. Usłyszeli głębokie, dudniące brzęczenie. Zebrał się do skoku, z nadludzkim wysiłkiem usiłując przewyciężyć spowijający całe ciało ciężar, targnął się w stronę Ann. Na próżno. Działanie paraliżującej siły nie było bolesne, nie było nawet w gruncie rzeczy przykre, po prostu obezwładniające, jakby w tym właśnie miejscu nastąpiło nagle zwielokrotnienie przyciągania grawitacyjnego planety.

Raptem wszystko ucichło. Potton odczuł taką ulgę, że odruchowo zanurzył rękawice w piachu, jakby bojąc się ulecieć w atmosferę. Coś podobnego czuje alpinista, zrzucając z grzbietu wyladowany plecak. Wprostował się, rozejrzał nieufnie, objął Ann ramieniem i przygarnął ją do siebie. Klęcząc obserwowali poczynania stożkowatej konstrukcji. Nie ulegało wątpliwości, że mają do czynienia z urządzeniem automatycznym, które reaguje na ich obecność zgodnie z zainstalowanym programem.

Pył opadał. Stożek błyszczał teraz w słońcu, splukany strumieniami piasku. Wydawał się wyższy niż przedtem, pył i żwir, zalegające dno wykopu, zostały dokładnie wydmuchane. Odsloniła się okrągła podstawa wieżyczki, wbudowana w kwadratową, białą płytę. Nagle cała ta konstrukcja drgnęła i łagodnie spłynęła pod ziemię. W płycie ział kolisty otwór półtorametrowej średnicy.

Potton pochylił się i zajrzał ostrożnie do odsłoniętego szybu. Pierwszą rzeczą, jaka przykuła jego uwagę, były proste, kwadratowe stopnie. W tej chwili nie dotarła do jego świadomości cała niezwykłość owego odkrycia. Schody wiodły do głębokiej, prostokątnej, jak się zdawało, komory, której ściany poświęcały bladym, różowym blaskiem.

- Schodzimy? – Ann zbliżyła się do otworu. Pokręcił głową.
- Nie. W każdym razie nie teraz.

Co minutę, półtorej, odzywał się Geiger, błyskało alarmowe światelko.

Częstotliwość sygnałów nie zmieniła się w czasie ruchu wieżyczki i burzy pyłowej. Zatem to nie ów stożkowaty automat był sprawcą pojedynczych, ale silnych, o czym świadczyła intensywność, rozbłysków, ataków twardego promieniowania.

Potton znał okoliczności, w jakich czujniki zachowywały się podobnie. W bezpośrednim sąsiedztwie potężnych akceleratorów jądrowych najwydatniejsze nawet ekrany absorpcyjne nie chronią pomieszczeń laboratoryjnych przed inwazją miliardowego ułamka rozpędzonych cząstek. Tam właśnie, co kilkadziesiąt sekund, aparaty alarmowe sygnalizują przelot zabłąkanych odprysków śmiercionośnych strumieni. Jak długo ich częstotliwość utrzymywała się w tych granicach, można było spokojnie ignorować zrzedliwe pobekiwanie czujników. O ile jednak w laboratoriach wiązki cząstek, ujęte w potężne koryta kierunkowe, nie groziły żywiołowym wybuchem aktywności, o tyle tutaj charakter i działanie sił ujawnianych rozbłyskami alarmowych lampek były wielką niewiadomą.

– Wrócimy z automatami – powiedział Potton. Ann spojrzała na niego niepewnie, wreszcie z nie tajonym żalem skinęła powoli głową. Miał rację. Nie mogli ryzykować zapuszczania się w głąb szybu, pozbawieni praktycznie łączności i środków obrony. Poza tym neuraks czerpał energię bezpośrednio ze stosu. Jak długo ten ostatni nie pracował, owa najdoskonalsza z maszyn naśladowujących procesy myślenia, była bezużyteczna. Po uruchomieniu stosu wróć tutaj, uzbrojeni w automaty, które będą przekazywać neuraksowi ich obserwacje. Błyskawicznie działające analizatory pozwolą wyeliminować niektóre pochopne wnioski jeszcze w trakcie rozpoznania. Próba eksploracji bez pomocy neuraksa oznaczałaby po prostu stratę czasu.

A czas naglił. Częstotliwość sygnałów świadczyła, że ze strony wieżyczki, zamykającej otwór szybu, na razie przynajmniej nic załodze Kopernika nie grozi. Te same sygnały ostrzegały

jednak, że potencjalne zagrożenie istnieje. Jego źródeł nie należało więc szukać w bezpośrednim sąsiedztwie wieżyczki, ale też i nie nazbyt daleko.

Potton wspiął się niezgrabnie na brzeg wykopu i wyciągnął rękę do Ann. W momencie kiedy oboje stanęli na górze, rozległo się znowu dudniące brzęczenie. Wieżyczka wracała do poprzedniego położenia. Równocześnie zamykała się wieńcząca jej wierzchołek kula. Po upływie kilkunastu sekund wszystko wyglądało jak wtedy, kiedy pierwszy raz stanęli nad wykopem. Tylko oczyszczone starannie z piasku i żwiru dno zagłębienia świadczyło, że to, co przed chwilą przeżyli, wydarzyło się naprawdę, że nie było tylko mirażem, osobliwością marsjańskiej Sahary.

Stali bez ruchu spoglądając nieufnie na sterczący z piachu stożek.

– Kto to zbudował? – spytała wreszcie Ann. Potton wzruszył ramionami.

– Nie my – powiedział. – I nie Marsjanie. Upłynęło już blisko dwieście lat od definitywnego orzeczenia nauki na temat ewentualnej cywilizacji marsjańskiej. Ewolucja biologiczna na tej planecie nigdy nie wytworzyła form, zdolnych do świadomego działania.

– Goście – powiedziała cicho Ann.

– Co mówisz?

– Nic takiego... – podniosła głos – powiedziałam, że to zbudowali nasi goście. Myślisz, że ich spotkamy?

– Myślę, że musimy jak najprędzej uruchomić stos. – Uśmiechnął się. Nie był to uśmiech pogodny. Ani dobrotliwy. Ann skuliła ramiona, w nagłym przyływie lęku.

– Nie chcesz chyba... – wykrztusiła.

– Chodźmy .tam – przerwał, wskazując miejsce, z którego bił w górę drgający słup atmosfery.

Ziemia dudniła głucho. Potężne basowe pianie opuszczało się chwilami w rejestry niedostępne dla ludzkiego ucha.

Z bliska wyglądało to jak osadzona pionowo, gigantyczna szklana rura, płynna, pulsująca szybkim, zmiennym rytmem. Jej podstawę otaczały koła, naniesione z pyłu, podobne do fal

rozchodzących się po stojącej wodzie, w którą rzucono kamień. Szczyt rury czy raczej pionowego przezroczystego tunelu był niewidoczny, biegł tak wysoko, jak tylko dało się okiem sięgnąć, w pozbawioną chmur atmosferę. Geiger odzywał się jakby częściej, w dalszym ciągu jednak nie dość często, by przyczyna jego alarmów mogła zagrozić ludziom. Za to lampka błyskała bez porównania ostrzejszym światłem, chociaż i jej sygnały nadal nie trwały dłużej niż ułamki sekund.

W centralnym punkcie podstawy drgającego słupa widniał czarny, jajowaty przedmiot wielkości średniego reflektora. Z niego to rozchodziły się owe regularne, unieruchomione fale piasku.

Zatrzymali się kilka metrów przed pulsującą ścianą.

– Głowica...? – spytała Ann, wskazując głową ciemny kształt, wynurzający się z pyłu, podobny do porzuconego dawno wraku.

Nie odpowiedział. Po dobrej chwili pochylił się, zaczerpnął garść piasku i cisnął z całej siły w przezroczystą obręcz. Przez mgnienie, setną, może tysięczną część sekundy wydawało im się, że widzą, jak małe, twarde ziarenka porwane pionowym prądem znikają w górze, poza zasięgiem wzroku.

– Tak... – mruknął, jakby do siebie – głowica. Głowica emitora...

– Znaleźliśmy, prawda... – chciała powiedzieć, że nareszcie; po tylu godzinach koszmarnego marszu mają przed sobą to, czego szukali, ale głos uwiązł jej w krtani. Zresztą słowa były zbyteczne. Wiedzieli oboje, domyślali się, nie rozumiejąc, że ten pionowy nurt, jakby wiązka gigantycznego lasera, a raczej masera, bo przecież nie były to promienie światła, utrzymywane w ryzach jakimś niewiarygodnym polem o budowie tunelowej, bije przez całą atmosferę planety i dalej, w próżnię. Ze podchodząc do lądowania, dwukrotnie zawadzili o to pole, koryto, którym pędził prąd cząstek rozpędzonych do granic fizycznych możliwości materii, przy czym za pierwszym razem otarli się jedynie o jego przezroczysty pancierz, natomiast za drugim... Rozejrzeli się odruchowo. Pustynia stała w martwym bezruchu. Zimna, niesamowita kolorystyka

otoczenia zdawała się mówić, że nigdy, od czasów narodzin plazmowego embriona planety, nie spoczął na kolumnach tego bezkresnego, zastygłego pochodu rudogranatowych garbów wzrok istoty myślącej.

A jednak ktoś tu był...

Potton zmarszczył nagle brwi. Nie spuszczać wzroku z zagłębienia, uzbrojonego w obcy automat, tam, skąd przed chwilą przyszedł, gestem nakazał Ann pozostać na miejscu, a sam ruszył szybko z powrotem. Naliczył pięćset czterdzieści kroków, zanim znalazł się nad krawędzią wykopu z wejściem do szybu. Ominął go i szedł dalej, licząc ponownie od zera. Przeszedłszy pięćset kroków wypatrzył w bocznej ścianie wydmy, nieco wyższej od sąsiednich, ciemny prostokąt. Zatrzymał się nad wykopem bliźniaczo podobnym do pierwszego. Utkwił wzrok w przezroczystej kuli, wieńczącej stożkową wieżyczkę.

Stał dobrą chwilę, zamyślony, wreszcie odwrócił się powoli. Drgająca pionowo rynna była niewidoczna. Wyraźnie natomiast rysowała się postać Ann, czekającej u jej podstawy. Dokładnie w połowie drogi, którą przeszedł, na tle białej sylwetki w skafandrze, widniało zagłębienie z pierwszą odkrytą wieżyczką. Pokiwał głową. Gdzieś tam, w głębi, przebity w niby-granatowej caliznie, ciągnie się korytarz, tunel biegnący od potężnego emitora w linii prostej na północ. Można się było spodziewać, że idąc dalej, oddalając się od wyrzutni, spotkają niejeden jeszcze wykop z automatyczną klapą zamykającą otwór wjazdu. Układały się w ciąg stacji, klimatyzatorów bądź awaryjnych szybów wejściowych.

W drodze powrotnej Potton pilnie śledził zachowanie licznika i alarmowej lampki. Sygnały powtarzały się w nieregularnych odstępach czasu, ale ich częstotliwość nie ulegała większym wahaniom. Natomiast im bliżej emitora, tym ostrzejszym światłem błyskała lampka, głośniejszym, jakby bardziej nerwowo terkotał Geiger.

Doszedłszy wreszcie do Ann, zawrócił bez słowa pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i zaczął się oddalać, idąc znowu prosto przed siebie, tym razem na wschód. Wkrótce jaskrawe

rozbłyśki alarmowej lampki przygasły, stały się bardziej matowe. Powtórzył eksperyment, odchodząc kolejno na południe i zachód, zawsze z podobnym skutkiem. To dało mu pewność, że źródłem promieniowania niepokojącego czujniki jest nie co innego jak ów drgający, pionowy nurt.

Czekając na Pottona Ann usiadła wygodnie na krótkim, łagodnym zboczu wydmy. Nieznośne pulsowanie w skroniach ustępowało powoli, z chaosu myśli, tysiące różnych kombinacji i pytań, które przelatywały przez jej umysł jak okruchy wirującego kalejdoskopu, zaczęły się wyłaniać nieśmiałe załączki logicznych konstrukcji, pierwsze dokończone zdania. Zdała sobie nagle sprawę, że tym, co dominuje w niej nad wszystkimi innymi emocjami, jest zwykła ludzka ciekawość. Ktoś przyleciał na Marsa, najbliższego ich sąsiada, który, zdawałoby się, został zbadany przez naukę od zewnętrznych warstw atmosfery do planetarnego jądra. Kto, skąd, dlaczego świat nic o tym nie wiedział? Co kryją te podziemia i dokąd pędzi emitowana z nich gigantyczna wiązka promieniowania? Tym jednak, co w tej chwili najbardziej ją frapowało, były owe niewiarygodne siły utrzymujące wiązkę w wąskim stosunkowo korycie. Gdyby przestały działać chociażby na tysięczną część sekundy, rozpędzone cząsteczki rozpierchłyby się po planecie z szybkością światła i energią przekraczającą wielokrotnie wybuch najpotężniejszej bomby jądrowej. Siedziała u stóp najstraszniejszego wulkanu, bezpieczna na razie dzięki wiedzy i umiejętnościom technicznym przybyszów, istot, które to wszystko zaprogramowały i zbudowały.

Poczuła się już na tyle lepiej, że mogła dokonać wstępnych pomiarów, przy użyciu najprostszej aparatury optycznej, jaką dysponowali. Siup cząstek utrzymywał się w idealnym pionie, jego średnica w najdalszych dostrzegalnych warstwach atmosfery była taka sama jak tu, na powierzchni pustyni, u podstawy. To właśnie, że wiązki nie rozszerza się z wysokością na kształt gigantycznego lejka, chociażby nieznacznie, budziło największe zdumienie i podziw. Najcieńsze snopy promieni wystrzeliwane z potężnych miotaczy laserowych, półprzewodnikowych, a nawet arsenowych, przecież rozwidlają

się stożkowato; jednościeżkowa, prosta linia wiązki dalej pozostaje nieziszczonym marzeniem ziemskich fotoników i konstruktorów. O pionowym, Unijnym locie tak szerokiego nurtu cząstek, nosicielek energii, żaden z nich nie mógłby nawet pomyśleć. Nie mówiąc już o pompach elektronowych czy wzmacniaczach, zdolnych wymusić tego rodzaju promieniowanie.

– To musi być wspaniała cywilizacja – powiedziała podnieconym głosem do Pottona, który zbliżał się właśnie, ukończywszy swoje "manewry". Nie odpowiedział. Podszedł całkiem blisko, pomógł jej wstać i utkwiał ponure spojrzenie w jajowatym reflektorze, nazwanym przez nich głowicą emitora.

– Oby tylko nie zanadto wspaniała – mruknął wreszcie półgłosem, jakby do siebie.

W zapadającym szybko zmroku biały korpus Kopernika rysował się ostrymi konturami. Uwagę wracających przykuł głęboki wykop pod dolną parą wysuniętych z rufy dysz wylotowych. W czasie upadku rakieta wryła się w pylistopiaszczysty grunt na głębokość trzech metrów. Widocznie Batuzow, przystępując do prac przygotowawczych, które miały poprzedzić rozruch stosu, postanowił w pierwszej kolejności przejrzeć i przedmuchać dysze.

Rakieta leżała przechylona nieznacznie na bok, kłapa włazu znalazła się w ten sposób półtora metra nad ziemią. Rano, opuszczając statek zeskakiwali po prostu, bacząc, by nie uszkodzić sterujących zaworów butli tlenowych. Teraz do płyty zamykającej komorę śluzową wiodła pochylnia, usypana z dobrze ubitego żwiru. Batuzow rzeczywiście nie tracił czasu.

Potton uruchomił nadajnik. Rozległ się niemiły zgrzyt. Do mechanizmu wejściowego musiały przeniknąć w czasie katastrofy ziarenka pyłu. Wewnątrz, w akustycznym

pomieszczeniu śluzowy, zgrzyt zasuwaną się kłapy zabrzmiał przeraźliwie, włókna nerwowe ludzi od pięt do zębów przebiegło zimne, odrętwiające mrowie. Minęło kilkanaście sekund i nad wewnętrznym włazem zapłonęło zielone światelko. Po wyrównaniu ciśnienia i składu powietrza drzwi powinny były ustąpić same, jednak brak dopływu energii

zmusił załogę do rezygnacji z wielu podzespołów automatycznych.

Lena odzyskała już przytomność. Pół siedząc, pół leżąc w łódkowatym fotelu uśmiechała się do wchodzących i położyła palec na ustach. Idąc za jej wzrokiem natrafili na białą plamę bandaża, spowijającego grubymi pasmami głowę Batuzowa. Siedział, odwrócony do nich plecami, zgarbiony nad pulpitem centralki komunikacyjnej. W pierwszej chwili nie zorientowali się, o co chodzi. Nagle usłyszeli głos popularnego spikera:

"...wiadomości. Trwają próby przywrócenia łączności z pierwszym załogowym statkiem marsjańskim. Dziś rano, w wywiadzie udzielonym Północnoafrykańskiej Agencji Telewizyjnej, profesor Gloden z Instytutu Atlaskiego podjął polemikę z hipotezą, wysuniętą przez Sekretarza Rady Astronautycznej ONZ na ostatnim, nadzwyczajnym posiedzeniu. Zdaniem Glodena przyczyną katastrofy mógł być błąd konstrukcyjny w układzie hamującym statku."

Spiker zrobił pauzę, usłyszeli szelest odwracanego arkusza folii. Po chwili odezwał się ponownie zmienionym, poważnym głosem: "Przeczytam teraz oświadczenie Rady Astronautycznej Narodów Zjednoczonych. – Dwa dni temu, jedenastego grudnia dwa tysiące osiemdziesiątego drugiego roku, po raz ostatni przekazaliśmy światu na falach eteru głosy ludzi, którzy jako pierwsi w historii ziemskiej cywilizacji mieli stanąć na powierzchni Marsa. Nie tracimy nadziei..."

Batuzow przekreślił energicznie kontakt, wzruszając ramionami. Obejrzał się i ujrawszy przybyłych wstał szybko, gwałtownie odrzucając oparcie fotela.

– Co znaleźliście? – rzucił, podchodząc do Ann. Ta spojrzała odruchowo na Pottona.

– Zaraz wszystko powiem – powiedział Piotr, podchodząc do promiennika. Przypomniawszy sobie, że jest nieczynny, mruknął niechętnie, machnął ręką, po czym zrezygnowany, sięgnął do płaskiego metalowego pudła i wydobył kilka kostek koncentratu.

– Słyszeliście? – powiedziała z niewesołym uśmiechem Lena – już nas oplakali. Swoją drogą, to niesamowite, tak wszystko



słyszeć i nie móc im dać znać... chociażby tyle tylko, że żyjemy.

– Nawiążemy łączność zaraz po uruchomieniu stosu – odrzekł pogodnym tonem Batuzow.

– Jak się czujesz? – Ann Thorson usiadła koło Leny.

– Teraz już dobrze. Andrzej karmił mnie cały dzień tą obrzydliwą papką – uśmiechnęła się. Spała dwadzieścia godzin. Kiedy zorientowali się, że przeszła lekki wstrząs mózgu, utrzymywali ją we śnie łagodnie działającymi środkami chemicznymi. W tej chwili wyglądała już znacznie lepiej, policzki jej się zaróżowiły, spoglądała na Ann i Pottona szeroko otwartymi oczyma, niecierpliwie czekając na relację.

– Wygląda na to – kończył Potton – że rejon tych urządzeń jest opuszczony. Może siedzą pod ziemią. Diabli wiedzą. Zresztą, nie śpieszyłbym się tak bardzo. Nie mając energii na naładowanie baterii przeciwpoła jesteśmy właściwie bezbronni...

Chwilę wszyscy milczeli. Wreszcie Batuzow wyprostował się powoli, sięgając odruchowo do bandaża.

– A więc wpakowaliśmy się w taką armatę – powiedział wstając. Podszedł do głównej tablicy rozdzielczej i omiół spojrzeniem tarcze fotonowych liczników stosu. Były szare, wszystkie wskazówki stały w pozycji "zero".

– Jeżeli mówicie – odezwała się z namysłem Lena – że ta wiązka porywa piasek i kamienie, to znaczy że mamy do czynienia z generatorami nie znanymi ziemskiej technice.

– Nie wiemy, czy porywa – przerwał Potton. – Wszystko, co dostanie się w ten nurt, po prostu znika. Tylko tyle.

– Dla mnie wystarczy – zażartował Batuzow. Potton spojrział na niego niechętnie, jakby rozdrażniony.

– Dla mnie też – rzucił. – I nie tylko dla mnie. Dla miliarda naszych statków, leżących jak ryby wyrzucone z wody na obcych planetach...

– Dajcie spokój – przerwała Ann. – Też znaleźliście sobie temat do kłótni. Konfrontację poglądów proponuję odłożyć do czasu, kiedy już nic innego nie będzie do roboty. Na razie nam to nie grozi.

– Na razie – podchwycił Potton – nie wiemy, co nam grozi.

Musimy być przygotowani na każdą ewentualność.

– Nawet na atak?

– Nawet na atak.

– To może powiesz, co rozumiesz pod słowem "przygotowani"? – zaperzyła się Ann. – Czym ich powstrzymasz? Siłą woli?

– Dobrze, dobrze – wycofał się niechętnie Potton. – Oczywiście, to tylko wrażenie, które w żadnym wypadku nie może być dla nas miarodajne, ale nie wydaje mi się, by ze strony tego emitora mogło nam teraz zagrozić jakieś poważniejsze niebezpieczeństwo. Urządzenia, ich działanie sprawiają wrażenie – jak by to powiedzieć – czegoś bardzo ustabilizowanego. Poza tym dzieli nas jednak od nich te trzydzieści kilka kilometrów.

W miarę jak mówił, wzrok Ann łagodniał. W pewnym momencie odruchowo poprawiła włosy.

– Cząsteczki radioaktywne przenikają przez ekrany emitora i co tam jeszcze jest, bardzo rzadko – powiedziała spokojnie. – Wieżyczki w wykopach są do połowy zasypane. A przecież nie ma tu żadnych huraganów ani burz piaskowych. Wyglądają, jakby od dawna nikt do nich nie zaglądał. Mogę wam jeszcze powiedzieć... –

zawahała się.

– Dokończ wreszcie – niecierpliwiła się Lena. Usiłowała wstać, ale Batuzow przytrzymał ją łagodnie w fotelu.

Ann uśmiechnęła się, jakby przepraszająco.

– Pamiętajcie, co Piotr mówił o tym jakimś ciężarze.. tej sile, która nas unieruchomiła, kiedy wieżyczka zaczęła działać? Więc... to nie było właściwie przykre Czuliśmy się obezwładnieni, nic poza tym. Otóż teraz myślę, że chodziło o nasze bezpieczeństwo...

– Bezpieczeństwo? – krzyknął niemal Batuzow.

– Czekaście – Potton wstał nagle i zaczął chodzić po kabinie.

– W tym coś jest... – mruknął półgłosem.

– Przypomnij sobie – ciągnęła Ann, zapalając się – byliśmy unieruchomieni na czas, jeśli tak można powiedzieć, robienia porządków. Ta chmura pyłu, tuman piasku i żwiru, wicher.

Wszystko to stało się wtedy, kiedy ze szczytu wieżyczki wypełził ten jakiś pręt. To musi być oczyszczacz, ale w czasie kiedy działa, automat uruchamia dodatkowo urządzenie zabezpieczające. Na przykład pole siłowe stwarzające na ograniczonym obszarze warunki zwielokrotnionej grawitacji. Istoty, które zbudowały te konstrukcje i korzystają z nich, muszą wiedzieć, że przed odsłonięciem wejścia nie wolno wchodzić do wykopu. Na wypadek, gdyby któraś z nich się zapomniała, mają taki... hamulec bezpieczeństwa. Pamiętasz? Kiedy podstawa wieżyczki była już oczyszczona z pyłu, pręt się cofnął, a my odzyskaliśmy swobodę ruchów.

– Jest jeszcze jedna rzecz, na którą nie zwróciliśmy uwagi – powiedział z namysłem Potton – schody...

– Właśnie! – Batuzow zerwał się z miejsca, jak uderzony – schody!

– Schody...? – Lena nie mogła się połapać, o co im chodzi. – No to co, że schody...? Potton uśmiechnął się ironicznie.

– Nie umiem sobie wyobrazić – powiedział powoli – do czego mogłyby służyć schody komuś, kto nie ma nóg lub porusza się na czworakach.

– A więc oni... ależ to wspaniale! – zrozumiała wreszcie Lena.

– Ta przezroczysta kula – gorączkowała się Ann – tam musi być automat uruchamiający całą konstrukcję. Rozwarła się, kiedy do niej podeszłam. Pewnie jakaś fotokomórka albo coś w tym rodzaju. Pomyślcie. Jeżeli tak reaguje na naszą obecność, to oni, ich ciała muszą być zbudowane z bardzo podobnej substancji.

– I są mniej więcej naszego wzrostu – wpadł w tok jej rozumowania Batuzow. – Skoro mówicie, że schody były podobne do naszych. – Zatrzymał się przy pulpicie neuraksa, wodząc wzrokiem po szarych, matowych tarczach ekranów, jakby czekając aż zapłoną w nich świetliki sygnałów potwierdzających łączność z Ziemią. Po chwili, nie odwracając głowy, dodał półgłosem:

– Jak to powiedziała Ann? Mamy gości... Potton sięgnął po nową paczkę koncentratów i wrócił na fotel.

– Gości, tak – rzucił po chwili, przez pełne usta. –

Nieproszonych.

Nikt się nie odezwał.

– Przypadek przypadkiem – dodał, uporawszy się z twardą kostką – ale nie zapominajcie, że pierwszy kontakt naszych cywilizacji, a raczej pierwsze zetknięcie, zakończyło się katastrofą statku... ziemskiego.

– Równie dobrze – zirytowała się Ann – mógłbyś oskarżyć budowniczych wieżowca, o który rozbił się samolot.

– Znowu? Dajcie spokój – powiedział pojednawczym tonem Batuzow.

Dłuższą chwilę panowało milczenie. Przerwała je w końcu Lena.

– Co teraz zrobimy?

– Po pierwsze – odparł zdecydowanym tonem Potton – naprawimy wszystko, co się da, uruchomimy stos i nawiążemy łączność z Ziemią. Po drugie zbudujemy bazę i zaktualizujemy program badań. Trzeba to zrobić tak, żeby wykonać wszystkie zadania, opracowane przed startem, traktując równocześnie jako pierwszoplanowe rozpoznanie, możliwie pełne, wszystkich istniejących na planecie obiektów wzniesionych przez obcą cywilizację. Sami wiecie jak to wygląda... ale nie stało się na razie nic takiego, co mogłoby nam uniemożliwić realizację tego planu.

– Zrobiłem obliczenia – odezwał się po chwili, stłumionym głosem Batuzow. – Trzeba przejrzeć sto jedenaście kilometrów przewodów. Rozrząd jest cały, to najważniejsze. Poza tym oczyściłem dysze...

– Widzieliśmy – powiedziała szybko Ann. – Musiałeś pracować bez przerwy cały dzień. Nie powinienesz być. Twoja głowa...

Batuzow machnął ręką. – Nic mi nie jest – mruknął.

– Tak mi przykro – Lena rozłożyła bezradnie ręce – nie macie ze mnie żadnego pożytku. Jutro biorę się do pracy.

– Nie bądź dzieckiem – zaprotestował Potton.

– Będziesz się do nas uśmiechać i opowiadać nam bajki – zażartował Batuzow.

– Właśnie – roześmiała się Ann. – O Gwiazdorze i

Planetnikach...

– O Kopciuszku – powiedział nieoczekiwanie poważnym głosem Batuzow. Pochwyciwszy ich zdziwione spojrzenia, dodał:

– Serio. Automaty nawigacyjne wyglądają jak mak zmieszany z popiołem. Cała sterownia... – machnął ręką.

– To rzeczywiście bez Kopciuszka ani rusz – powiedziała wesoło Lena. – Nareszcie i ja do czegoś się przydam.

– Jest jeszcze inne wyjście – Ann obrzuciła Pottona zjadliwym spojrzeniem – Piotr weźmie do niewoli kilkadziesiąt Marsjan i będzie stał nad nimi z emitorem przeciwpola...

– Jak widzę humory wam dopisują – stwierdził Batuzow, prostując się.

– To dobrze. Bo z tymi automatami nic nie da się zrobić. Nie wystartujemy...

Zapadła cisza. Gdzieś spoza rufowej grodzi dobiegł stłumiony plusk spadających kropli. Głowa Leny opadła na oparcie fotela. Usłyszeli metaliczny syk pianowej materii.

– Wrócimy?...

Nikt nie odpowiedział. Minutę, może dwie, panowało milczenie. Przerwał je wreszcie Potton.

– Przylecą po nas – w jego głosie brzmiała pewność – bliźniaczy statek miał stanąć na wyrzutni za dwa miesiące. Zrobią teraz wszystko, żeby przyspieszyć budowę. Będą postępować tak, jak my postępowalibyśmy w ich sytuacji. Czy ktoś ma jeszcze wątpliwości? Nie? Wobec tego idę spać. Wam radzę zrobić to samo. Mamy przed sobą ładny kawałek roboty...

Odwrócił się na pięcie i szarpnął zieloną zasłonę, opasującą kabinę umywalni. Bezwiednie śledzili spojrzeniami jego ruchy. Widzieli, jak się pochyła, ustawia regulator, jak wkłada głowę w strumień gorącego, oczyszczającego gazu.

Wstali przed piątą, miejscowego czasu. Poranna toaleta. śniadanie, pierwszy szkic harmonogramu robót, wszystko to zajęło im niewiele ponad godzinę. Słońce nie wyjrzało jeszcze zza linii horyzontu, kiedy przystąpili do pracy

Kabiny załogowego statku badawczego typu Kopernika nie

można żadną miarą określić mianem przestronnej sali. W stocznii, na czas remontu, rakieta jest opróżniana z podręcznych automatów, foteli, pulpity sterowniczych, pokładowej aparatury łączności. O tym nie mogli nawet myśleć. Ciasnota poważnie komplikowała sytuację, spiętrzała trudności, których pokonanie i bez tego przekraczało niemal fizyczne możliwości załogi. Aby sobie nawzajem nie przeszkadzać, podzielili się na dwie dwójki. Podczas gdy Ann i Potton sprawdzali centymetr po centymetrze ciągłość przewodów, pozostała para z mrówczą cierpliwością podłączała do aparatów pomiarowych końcówki kabli coraz to nowych zespołów neuraksa.

Po obiedzie zamienili się rolami. Z kolei Lena i Batuzow, zawieszani pod stropem w pajęczynie uplecionej na prędcie z włókien azbestowych badali przewody i łącza, zbrojni w automatyczne opornice. Zapalili wszystkie światła. Powolny, ale widoczny postęp prac natchnął ich optymizmem. Pewni, że uruchomienie stosu jest kwestią najbliższych dni, jeśli nie godzin, nie oszczędzali energii.

Czas biegł szybko. Wieczorami, przed zaśnięciem, niekiedy w ciągu dnia, podczas krótkich przerw w pracy ten i ów łapał się na podświadomym trwożnym nasłuchiowaniu. Nieco silniejszy poryw wiatru przynosił chrobot nadjeżdżającego pojazdu gąsienicowego, w ciszy, kiedy słyhać było osypujące się po panczerzu ziarenka piasku, dolatywały nagle z pustyni echa czyichś, kroków. Wszystko to okazywało się złudzeniem, tworamii rozigranej wyobraźni. Dni mijały. Obcy, kimkolwiek byli, jeżeli znajdowali się na planecie, to albo nie dostrzegli ich obecności, co było raczej niemożliwe, z uwagi na okoliczności towarzyszące "ładowaniu" Kopernika, albo ją po prostu ignorowali. Także ta ostatnia hipoteza mogła budzić niepokój, gdyby chcieć wejrzeć w motywy takiego postępowania. Nie rozmawiali o tym, unikali wszelkich dyskusji, które nie dotyczyły bezpośrednio prac remontowych. W każdym razie mieli spokój, którego tak bardzo teraz potrzebowali.

Dziewiątego dnia stos ruszył. Pierwsze o czym pomyśleli, to była kąpiel. Popędzali się i nawoływali, czekając na swoją

kolejkę przed zasłoną małej kabiny. Gorąca parówka, masaż i inhalacja ozonowa zrobiły swoje. Rzucili się na paczki z koncentratami nie bacząc na protesty Batuzowa, który wyczarowywał wyszukane specjały w czynnej nareszcie kuchni.

Potton zarządził przegląd lekarski. Wszyscy po kolei wciskali się w pancerz kontaktowy zespołu diagnostycznego neuraksa. Po kilkunastu sekundach delikwent otrzymywał "receptę", perforowany płat folii. Wprowadzali te programy do pokładowej apteczki, która otwierała posłusznie kulisty pojemnik, podobny do średniowiecznej przyłbicy i wydzielala każdemu porcję leków. Potton nie dostał nic. Wzruszył ramionami z udanym rozczarowaniem.

– Do bani te automaty – burknął. – Każdy przyzwoity lekarz zaleciłby mi tygodniowy urlop i wyjazd na wyspy Oceanii.

– A każdy bardziej przyzwoity lekarz – podchwyciła Ann – wyprawilby cię w bieg dookoła Księżyca.

Była to najmodniejsza konkurencja sportowa, dostępna na razie dla nielicznej garstki biegaczy. Dorocznym wyścigiem emocjonowały się miliony widzów. Trasa, wytyczona wzdłuż siódmego południka omijała wprawdzie skaliste ściany i rozpadliny, jednak bieg wymagał od zawodników nie ludzkiej kondycji i hartu. Powiedzieć komuś, że powinien wziąć udział w wyścigu dookoła Księżyca znaczyło mniej więcej to samo, co dwieście lat temu odesłać go do karczowania puszczy w Kanadzie.

Po przełączeniu na bezpośredni odbiór z sieci bloków zasilających wszystkich podzespołów klimatyzacyjnych, temperatura w kabine wzrosła o kilka stopni. Uruchomili stacyjkę filtrów i przyspieszyli cyrkulację powietrza. Z komory śluzowej dobiegał monotony szelest sprężarek, przystosowanych do poboru tlenu z marsjańskiej atmosfery.

– Najgorzej będzie z wodą – powiedziała Ann, przeglądając na okrągłym, przypominającym kolorowy wiatraczek ekranie widma minerałów zawartych w próbkach okolicznej gleby.

Syntetyzatory uzupełniały wprawdzie nieustannie poziom wody w zbiornikach, jednak szczerze mówiąc, ów chemicznie czysty zlepek, znakomity skądinąd jako ładunek komór

chłodniczych stosu, w smaku przypominał wywar ze starych opon.

– Wybierzemy się na północ – odrzekł beztrąsko Batuzow. – Mamy wiosnę. Tam leży jeszcze śnieg.

– Zajrzałeś do komara? – spytał Potton.

– Siedział między grodziami. Nic mu się nie stało – powiedział Batuzow.

Komar był pojazdem księżycowym, nieznacznie przekonstruowanym dla potrzeb ekspedycji marsjańskiej. Swoją nazwę zawdzięczał ośmiu wielkim kołom umieszczonym na niezwykle długich i smukłych amortyzatorach. Kabina wznosiła się dwanaście metrów nad poziom gruntu. Zapas energii, jaki mieściły baterie komara wystarczał na czterdzieści godzin jazdy. Zresztą, dość było zatrzymać się na jakiś czas w nasłonecznionym miejscu, by naładować ogniwa.

Batuzow rozjaśniał ekrany. Otoczyła ich barwna panorama bezkresnej, pofałdowanej pustyni.

– Jutro ruszamy – powiedział Potton. Nastąpiła chwila ciszy.

– Wiecie co – zaśmiała się nagle Lena – zachowujemy się jak dzieci.

Zdali sobie naraz sprawę, że od momentu uruchomienia stosu, dysponując już niewyczerpanym źródłem energii i kompletem automatów pokładowych, jak gdyby półświadomie odwołają chwilę, na którą tak czekali.

Batuzow wyprostował się powoli i podszedł do centrali komunikacyjnej. Jedna kamera była nieczynna. Pozostałe pracowały normalnie. Zajaśniał monitor. Na ekranie ukazały się góry. Wśród lodowych nawisów i kęp zieleniejącego już mchu, huczał potok. Usłyszeli muzykę. Była to suita karpacka Molaia.

– Tam jest bardzo ładnie... – powiedziała Lena niskim, stłumionym głosem. Zrozumieli, że mówi o Ziemi.

– Nadajnik – rzucił ostro Potton. Drgnęli. Batuzow wcisnął klawisz i podał Piotrowi mikrofon.

– Sygnał.

– Sygnał – powtórzył Batuzow. Automat nadajnika potwierdzał emisję sygnału wywoławczego. Upłynęło kilka



minut, długich jak wieczność.

– Nic?

– Nic. Nie rozumiem... – Batuzow co kilkanaście sekund zmieniał pozycję wzmacniacza.

Już od kilkunastu minut płynął w kierunku Ziemi pełny kod sygnałowy Kopernika. Wiedzieli, że wszystkie najpotężniejsze anteny stacji i przekaźników satelitarnych, księżycowych, a także naziemnych są nieustannie wycelowane w środek tarczy Marsa. Czekali jeszcze dziesięć, jeszcze dwadzieścia minut. Na próżno. Najśłabsze

choćby echo radiowe nie zapowiadało hasła, potwierdzającego odbiór sygnału.

– Przejdź na namiar – powiedział Potton. Zaczął nerwowo krążyć po kabinie.

Batuzow przełączył antenę na automatyczny nadajnik namiarowy, zainstalowany przy dyszach rakiety. Wstał również, jak urzeczony wpatrując się w okienka wskaźników swojej centralki. Nagle Potton rzucił się w stronę głównego pulpitu neuraksa. Nie siadając, nisko pochylony, przerzucał manipulatory, co chwila sprawdzając coś w ekranach kontrolnych. Ann stanęła tuż za nim, śledząc niespokojnym wzrokiem wszystkie te gorączkowe zabiegi.

– Co robisz? – spytała wreszcie.

Nie odpowiedział. Powtarzał całą operację od nowa. Skończył, stał chwilę nieruchomo, wreszcie przetarł ręką czoło i odetchnął głęboko, jakby z ulgą.

– Powiedźże coś... – zniecierpliwiła się Lena. Wzruszył ramionami.

– Jasne – mruknął, odwracając się do nich tyłem... Nagle Batuzow zrozumiał:

– Ten emitor?!

– Umm... – Potton odszedł powoli od pulpitu i zwałił się ciężko na fotel. – Przeklęty pech. Dokładnie na torze.

– Co teraz? – spytała po chwili Ann, daremnie usiłując ukryć rozczarowanie.

– Południowy zachód – powiedział jakby do siebie Batuzow. Sprawdził kierunek. – Trzeba by przenieść nadajnik – spojrzał

ponownie w ekran – dobre dwadzieścia kilometrów...

– A razem z nadajnikiem stos. I neuraksa. Czyli całą raketę. Bagatela. Osiemset jedenaście ton. – Zamiast zrzedzić – Ann wpatrywała się uporczywie

w twarz Pottona – bądź uprzejmy odpowiedzieć. Co mamy robić?

Potton poprawił się niecierpliwie w fotelu. – Przykro mi, ale czekają nas jeszcze – zawahał się – dwa dni pracy. Mamy tworzywo, energię, dokumentację i automaty. Musimy wystrzelić jeszcze jedną orbitalną stację przekaźnikową.

Lena wystąpiła z projektem, by nie przerywać pracy na noc, ale Potton, obrzuciwszy badawczym spojrzeniem poszarzałe twarze całej trójki, stanowczo zaprotestował.

Leżeli nisko w fotelach, starając się uspokoić rozedrgane nerwy i uciszyć przyspieszone tętna. Nikomu nie chciało się spać.

– Oni są do nas podobni... – odezwała się niespodziewanie Ann.

– Umm... – mruknął Potton. Uniósł głowę. – Usłyszycie teraz Ann Thorson w peanie na cześć przybyszów – zakpił.

– Daj spokój – wtrącił się Batuzow.

– Są do nas podobni – ciągnęła niezrażona Ann.

– Mają nogi – przerwał znowu Potton – i są mniej więcej naszego wzrostu. Poza tym przypominają trójkątne kangury. Oczy, siedemdziesiąt dwie pary, noszą na ruchliwych, owłosionych łodyżkach...

– Przestań – zaoponował spokojnie Batuzow. – Przez ten tydzień omal nie oduczylismy się mówić. Ni" zaszkodzi trochę pogadać...

Potton mruknął niechętnie i zamilkł.

– Są podobni – po raz trzeci zaczęła Ann. – Pomijam teraz różnice, jeśli można tak powiedzieć, konstrukcyjne. Ale tworzywo, z którego zbudowali urządzenia... Ich działanie, zgodne z zasadami fizyki...

– Ogólne zasady fizyki – przerwała tym razem Lena, pilnie wsłuchująca się w jej słowa – są obiektywne.

– Ale by do nich dojść i opanować je, trzeba przebyć

określoną drogę. Zależnie od mentalności, struktury psychicznej podmiotowych istot, efekty mogą być różne. Oni są do nas podobni nie dlatego, że chodzą po schodach i pamiętają o swoim bezpieczeństwie... chociaż i to jest ważne. Ale szereg ogólnych cech ich mechanizmów, funkcjonalność, nawet kształt architektoniczny świadczy o pokrewieństwie obu naszych cywilizacji. Wykorzystanie energii promiennej, wreszcie samo to, że tutaj przylecieli...

– Właśnie – podchwyciła Lena – skąd oni mogą być? Jak myślicie?

– Z całą pewnością spoza naszego układu. Poza tym... – rozłożył ręce.

– Dowiemy się – rzucił ze swego miejsca Potton. – Trzeba po prostu zbadać kierunek tej wiązki... czy jak to nazwać, emitowanej z ich wyrzutni.

– Sądziś, że niesie jakąś energię aż do ich układu? – powiedział, przeciągając sylaby, Batuzow. Zamyślił się.

– Nic nie sędzę. Powiedziałem tylko, że trzeba zbadać kierunek. Nie możemy wykluczyć, że utrzymują w ten sposób łączność z jakąś bazą, czy też... planetą.

– Ciekawe, co ich tutaj sprowadza – mówiła cicho, patrząc nieruchomo przed siebie, Ann. – Czy są rasą badaczy, czy też dojadła im ich samotność... tak samo jak nam.

– Może warunki biologiczne tak się u nich pogorszyły, że muszą szukać nowego świata?

– A może – Potton powiedział to wreszcie – przysłali tylko automaty? Siedzieliśmy cicho – ciągnął – szczęśliwi, że się nami nie interesują. Może konstruktorzy tych wszystkich obiektów są po prostu zaprogramowani, że tak powiem, bezkontaktowo? Mechaniczny zwiad, poprzedzający inwazję... jak wam się to podoba?

– Inwazję? – obruszyła się Ann. – Nonsens!

– Naprawdę? – Potton skrzywił się w uśmiechu. – No to po co przylecieli właśnie tu, na najbliższego sąsiada Ziemi? A raczej – dlaczego przylecieli właśnie tutaj? Bo zwabiły, ich fale radiowe, radary, sondy, miliardy sygnałów, płądrujących po wszechświecie wizytówek naszej cywilizacji. Przylecieli i

zbudowali bazę. Zainstalowali urządzenia, przy pomocy których mogliby na upartego rozwalić całą planetę. A wy się cieszyacie, że są do nas podobni. Ich automaty mogą być do nas podobne. To nie to samo...

– Błąd – rzuciła stanowczo Ann. – Każdy gatunek buduje automaty przystosowane do biologicznej specyfiki istot, które je obsługują. A więc są, a w każdym razie – mogą być do nas podobni. A skoro tak, to nie będą rozwalać planet...

Chwilę panowało milczenie. Po jakimś czasie Batuzow odchrząknął i zwracając się do Ann powiedział:

– Jedno mnie tylko niepokoi – mówił ze ściągniętymi brwiami, głęboko zamyślony – z tego co opowiadaliście o rozmachu i zasięgu tych wszystkich konstrukcji wynika, że oni przylecieli tutaj już dawno. Dość dawno, aby dać nam powód... no w każdym razie do zastanowienia...

– Zastanowienia?... – w głosie Leny zabrzmiała przekora. Spojrzała podejrzliwie na Batuzowa, jakby chcąc sprawdzić, czy nie żartuje.

– Nareszcie rozsądne słowa – powiedział cierpko Potton.

– Nieufności – powtórzył Andrzej. – Spróbujmy sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się stało, że w ciągu lat, które upłynęły od ukończenia budowy tych wszystkich emitorów i wieżyczek, nie usiłowali nawiązać kontaktu z mieszkańcami Ziemi? Jak myślicie, jakie musiałyby być nasze zamiary, w jakich okolicznościach m y zachowalibyśmy się podobnie?

Kabinę zaległa cisza. Po kilku minutach Potton przewrócił się gwałtownie na bok, przyjmując pozycję do snu.

– Myślę – powiedział półgłosem – że jutro spróbujemy jednak uruchomić te przetwornice przeciwpola...

Wystrzelili sondę o pierwszej w południe. Do czwartej pracowali, przestrajając nadajnik i porównując namiary. O czwartej trzydzieści Batuzow zajął miejsce za pulpitem centrali komunikacyjnej. W lewym rogu ekranu pulsowało rytmicznie fioletowe światelko – satelita potwierdzał odbiór sygnałów. Po kilkunastu sekundach w ekranie namiarowym pojawiła się żółta, błyszcząca linia. Przechodziła przez punkt przecięcia

współrzędnych.

– Sygnał.

– Sygnał – powtórzył Batuzow, podając Pottonowi mikrofon. Kątem oka pochwycił nagle w bocznym ekranie jasny, zielony refleks. Uniósł głowę. Równym, silnym światłem jarzyła się nad pulpitem lampa kontrolna. W tym samym ułamku sekundy zapłonęło purpurą sąsiednie światło kontaktowe.

– Piotrze... – "Piotrze, mów" – chciał powiedzieć Batuzow, ale głos uwiązał mu w krtani.

Potton odchrząknął i nie patrząc na nikogo z obecnych mocno objął palcami mikrofon.

– Tu Kopernik. Tu Kopernik. Wołam wszystkie stacje. – Odczekał chwilę i powtórzył: – Wołam wszystkie stacje. Wołam wszystkie stacje. Odbiór.

Minęło kilkanaście sekund. Wydawało się im, że jakieś upiorne, zimne palce wnikają do ich serc i krtani.

Nagle tuż nad ich głowami zabrzmiał niedowierzający, podniecony głos mężczyzny:

– Kto mówi? Kto mówi? Powtórzyć. Odbiór.

Potton zaczerpnął głęboko powietrza i powiedział:

– Z pokładu statku marsjańskiego Kopernik mówi Piotr Potton. Proszę o połączenie z Centralną Rozdzielnią. Odbiór.

– Jest Centralna!!! Jest Centralna!!! – krzyk, właściwie wrzask, wibrował nieznośnie w puszcze głośników, gwałcąc wszystkie rygorystyczne paragrafy kodeksu komunikacyjnego.

– Jest Centralna!!! Ludzie, żyjecie?! Uwaga, Ziemia, Uwaga, Ziemia! Ratunek! Uwaga Kopernik! Przechodzę na sieć ratunkową. Odbierają cię wszystkie stacje na obu półkulach. Wołam Kopernik. Odbiór!

Głos Pottona zabrzmiał już niemal normalnie. Powtórzył:

– Z pokładu statku marsjańskiego Kopernik mówi Piotr Potton. Wszyscy członkowie załogi są zdrowi i czują się dobrze. Za chwilę ich usłyszycie

Zdawało mu się, że widzi twarze bliskich, przyjaciół, kolegów, wszystkich słuchających jego meldunku. Wyprostował się odruchowo.

– Jedenaście dni temu – mówił – w ostatnim przed

lądowaniem okrążeniu planety, statek wpadł w pole sitowe, otaczające strumień promieniowania, emitowanego z powierzchni Marsa, z wyrzutni zbudowanych przez istoty rozumne, pochodzące spoza naszego układu słonecznego. Żadnej z tych istot nie udało nam się dotychczas spotkać. W czasie przymusowego lądowania – ciągnął – statek został uszkodzony. Przez dziewięć dni byliśmy pozbawieni dopływu energii ze stosu. Obecnie wszystkie urządzenia pokładowe pracują normalnie. Rakieta leży dwa tysiące kilometrów na południowy zachód od przewidywanego miejsca lądowania. Podaję współrzędne...

### ROZDZIAŁ III

Krótkie, pękate ryje agregatów budowlanych bluzgały ołowianymi strugami płynnego nitrobetonu. Cała płaszczyzna stała w szarofioletowym ogniu. Potężne dmuchawy wstrzeliwały w mazisty monolit płyty miliardy kryształków zamrożonego gazu. Kilkanaście razy na godzinę automaty podnosiły o jeden stopień dysze kompresorów. Pole startowe rosło w oczach.

Co sześć sekund strumienie sprężonego powietrza z niwelatorów przerzynały się przez kłębowisko pary i płomieni. Na najkrótsze mgnienie ukazywały się wtedy porażonym oczom zamykające horyzont śnieżne szczyty gór. Zdawać się mogło, że te skaliste kolosy, powleczone słoneczną bielą, poprzedzająca je szeroko wyżyna, że cały świat, otaczający plac budowy, pulsuje w sześciosekundowym rytmie.

Zaledwie dziesięć dni temu zapadła decyzja. Zaledwie dziesięć dni temu projektanci, inżynierowie i architekci dowiedzieli się, że wyprawa ratunkowa wystartuje z nowego ośrodka pod Taszkientem. Ostatnie słowo należało do transportowców. Ich mózgi elektronowe wybrały stolicę Uzbekistanu jako punkt przecięcia najdogodniejszych tras powietrznych i lądowych wiodących z setek zakładów konstrukcyjnych i magazynów, rozsianych po wszystkich

kontynentach. Transport podzespołów i aparatury, niezbędnych do montażu rakiety stanowił, jak zwykle, najbardziej newralgiczne ogniwo generalnej siatki zależności.

Wczoraj przemówiła z kosmosu załoga Kopernika, którą wielu uważało już za zgubioną. Od wczoraj było wiadomo, że emisariuszom ziemskiej cywilizacji, zdobywcom Marsa, udało się wyjść cało z zagadkowej katastrofy i zażegnać, na razie przynajmniej, groźbę zagłady. Mogłoby się wydawać, że uczeni i konstruktorzy odetchną teraz swobodniej, zrewidują harmonogramy, a przede wszystkim odłożą termin startu drugiego statku do czasu zakończenia prób nowego systemu bezpieczeństwa. Stało się inaczej. Pracowano tak jak dotychczas, licząc minuty i sekundy.

Odkrycie obiektów pozaziemskiej cywilizacji na obszarze układu słonecznego zelektryzowało świat. Strzaskane automaty nawigacyjne Kopernika stawiały jego załogę w sytuacji, w której trudno było oczekiwać od niej skutecznego działania. Tymczasem niektóre fakty, przekazane przez uczestników wyprawy, wzbudziły głębokie zaniepokojenie uczonych. Mimo pogodnych transmisji i uspokajających komunikatów, w poufnych rozmowach z Marsiem padały słowa pełne niepewności i lęku. W ciągu kilkudziesięciu minut po pierwszej łączności z ocalonym statkiem zwołano nadzwyczajne posiedzenie Rady i Zespołu Koordynacyjnego. Tam właśnie zapadła decyzja.

Od trzydziestu ośmiu godzin Ziemia przygotowywała się do obrony. Po raz pierwszy w jej historii wizja śmiertelnego starcia z obcą cywilizacją przestawała być mrzonką pesymistów. Żaden z uczonych cybernetyków, socjologów, psychologów, nie potrafił przedstawić wiarygodnej hipotezy, która mogłaby uśmierzyć groźbę wzbudzoną niepojętym faktem, że w ciągu wielu lat pobytu w systemie słonecznym, przybysze ani razu nie podjęli próby nawiązania kontaktu z jego gospodarzami. Nie mogło przecież ulegać wątpliwości, że zwabiły ich do tego zaułka galaktyki plądrujące w przestrzeni głośniejsze cywilizacji ziemskiej. Astrofizyków i fotoników niepokoił nadto w najwyższym stopniu charakter energii emitowanej z wyrzutni,

którą opisali w pierwszym meldunku członkowie ekipy marsjańskiej. Najpojemniejsze kalkulatory nie potrafiły wydedukować przybliżonej chociażby, hipotetycznej struktury pola, zdolnego do wyrzucenia z toru lotu potężnej rakiety, a równocześnie nie dającego nawet cienia echa na ekranach najczulszych sond, jakie przeczesywały okolice Marsa. W tej sytuacji dla załogi Kopernika opracowano naprędce nowy, obwarowany rygorami bezpieczeństwa program badań, związany wyłącznie z przybyszami i funkcjonowaniem ich urządzeń. Pokładową aparaturę analityczną sprzężono z najsilniejszymi zespołami logicznymi ziemskich centrali matematycznych. W ciągu najbliższej nocy po nawiązaniu łączności zreorganizowano cztery okręgi przemysłowe, przestrajając ciągi produkcyjne i technologię. W dzwiesiękoszczelnych halach kombinatów konstrukcji energetycznych automaty przystąpiły do montażu gigantycznych akceleratorów fotonowych, zdolnych potęgować tysiąckrotnie ogień laserowych baterii. Z lamusa dawno zagubionych w niepamięci pojęć odgrzebano hasło "tajemnicy wojskowej". Obiekty przemysłowe i osiedla specjalistów w czterech okręgach, które podjęły produkcję zbrojeniową, otoczono szczelnym kordonem straży. Równocześnie jednak w instytucjach humanistycznych i medycznych uczeni przygotowywali się do nawiązania kontaktu i pokojowych pertraktacji.

Powołano specjalistyczne grupy robocze socjologów, cybernetyków, fizjologów i językoznawców. Jak nożem uciał urwały się wieloletnie spory nad wyborem wariantu uniwersalnego kodu "Intergal". W ciągu kilkunastu godzin opracowano cztery pierwsze pojęcia.

Na okres przygotowań do startu sztab Zespołu Koordynacyjnego przeniósł swoją siedzibę do Taszkienu. Dwa dni przed zaplanowanym terminem ukończenia budowy przyjechał tam również doktor Paweł Kulski. Tej samej nocy zwiedził jeden ze zreorganizowanych okręgów przemysłowych. Opuszczał go z uczuciem bezradności i przygnębienia. Uczucie to towarzyszyło mu również teraz, kiedy stał zapatrzony w



piekło, rozpętane przez budowniczych pola startowego. Przerażliwy syk kompresorów, basowy bełkot agregatów nitrobetonowych, trzaski wybuchów – wszystko to ożywiało wizję wojny kosmicznej, jaką wyniósł z zakładów zbrojeniowych.

Dochodziła jedenasta. Za pół godziny miał się stawić w gmachu. Uzbeckiej Akademii Nauk, gdzie wyznaczył mu spotkanie szef Zespołu, profesor Georgi Sakadze. Obrzucił ostatnim spojrzeniem zwarte kolisko maszyn, otaczających ogniowy basen pola i ruszył wolnym krokiem, kierując się w stronę miasta. Kiedy odgłosy budowy zły się już w jedno dalekie echo, odetchnął głęboko i sięgnął do miniaturowego nadajnika, wbudowanego w zegarek. Aparacik ożywił się, zaterkotał. Któraś z wolnych taksówek odebrała sygnał. Podjechał czerwony wózek nakryty przezroczystym kloszem. Kulski wsiadł, wybrał tarczą kierunek i pograżył się w niewesołych rozważaniach.

– To dopiero początek... – ostatnie słowa profesora rozplynęły się w ciszy gabinetu. – To dopiero początek – powtórzył, odbiegając myślą od tematu ich rozmowy i okoliczności, w jakich miała miejsce. Wstał, podszedł do okna i zapalił papierosa.

Z miejsca, gdzie siedział Kulski, dobiegło głębokie westchnienie. Przez dobrą chwilę milczeli obydwaj. Wreszcie historyk opuścił nisko głowę i powiedział cicho, jakby do swoich myśli...

– Lekcja pogładowa...

– Lekcja? Czy może... konfrontacja? – spytał, nie odwracając się Sakadze.

– Chyba lekcja... i konfrontacja – odrzekł po chwili Kulski. – Lekcja, bo zademonstrowano nam żywą, konkretną sytuację, w jakiej rosły i działały dawne pokolenia ziemian, toczące wojny i waśnie, każdego dnia, w każdej chwili oczekujące bratobójczej napaści lub same przygotowujące się do zadania śmiertelnego ciosu swoim sąsiadom. Wskrzeszamy nawet pojęcia, którymi operowali. A konfrontacja...? Cóż, czy w obliczu nagłego skrócenia dystansu, jaki dzieli nas od tamtych pokoleń, dystansu,

który ocenialiśmy jako nieprzebytą przepaść, czy wobec tych wszystkich przygotowań, zbrojeń, całej tej konspiracji, nasza ludzka duma z własnych dokonań nie wydaje ci się, profesorze, dumą pierwszoklasisty, który dostał piątkę z rysunków? – Kulski wstał nagle i odwracając twarz od okna, z podejrzaną gorliwością zaczął się krzątać wokół swej czarnej walizeczki. Mieściła ona jego podręczny "warsztat". Kiedy zapisywał wywiady na dyktafonie krystalicznym, jego selektory, sprzężone z rozdzielnią kopioteki centralnego archiwum, wyszukiwały analogie, zależności, zestawiały bibliografię pojęć i terminów użytych w dyskusji. W ciągu trzydziestu sekund od zakończenia rejestracji cały materiał, którego zebranie pochłonęłoby kiedyś kilka miesięcy, był gotów do ostatecznego opracowania. To należało do człowieka. Wnioski.

Sakadze nie odpowiedział. Stał pod oknem, odwrócony tyłem do pokoju, pochłonięty pozornie bez reszty grudniowym krajobrazem "słonecznego" Taszkientu. Gałązki wielkich akacji, dotykające niemal szyb, zwisały pod ciężarem ogromnych, czarnych strąków.

– Miałem wtedy czternaście lat... – odezwał się nagle uczonec – ojciec zabrał mnie na spotkanie z załogą kołchozu. Uprawiano tam bawełnę. – Sakadze zamilkł i zamyślił się. Po chwili drgnął, jak obudzony, przesunął ręką po włosach i zaczął mówić nieco jaśniejszym głosem:

– Pamiętam twarz przewodniczącego. Miał wielką, siwą brodę. Nosił kwiecistą "tiubetijkę". Po spotkaniu rozpalono w sadzie ognisko. Przewodniczący osobiście przyrządził pilaw.. – Odwrócił się nagle i spytał zupełnie innym tonem:

– Jadłeś kiedy prawdziwy, uzbecki pilaw? Kulski pokręcił głową. "Dlaczego on mi to mówi?" – przemknęło mu przez myśl – "chce uciec od tego, co najważniejsze, dodać mi otuchy, czy też..." Ponownie pochylił się nad walizeczką. Sprawdził położenie wskaźników i wyłączył aparaturę.

Sakadze uśmiechnął się, odszedł od okna i zaczął krążyć po pokoju.

– Nic straconego – ciągnął – po starcie zaproszę cię do rodziców. Ojciec ma sto cztery lata, ale jego pilaw nadal cieszy

się dobrze zasłużoną sławą. Otóż – założył ręce na plecach i chodził, kołyszac się do tyłu i do przodu – kiedy pilaw był gotów, przewodniczący wznosił toast. Pamiętam każde słowo. Wstał i wskazując rosnące wokół stare grusze, powiedział tak: "Piję za te drzewa, z których kiedyś zrobią nasze trumny. Oby te drzewa żyły dwieście lat!" – Sakadze opuścił ręce i zatrzymał się przed Kulskim. – Rozumiesz, Pawle? – spytał. – Nas, ludzi Wschodu, zawsze pomawiano o fatalizm. W gruncie rzeczy jesteśmy optymistami. Ale są rzeczy, których wolimy nie nazywać po imieniu.

Młody historyk nie wiedział, czy profesor odpowiedział w ten sposób na jego wątpliwości, czy też był to raczej zręczny unik doświadczonego, pogodnego sceptyka. W istocie chciał mu przecież dać do zrozumienia, że będąc tym, kim jest, uznałby za osobistą klęskę, gdyby pierwszy kontakt człowieka z obcą cywilizacją miał się zakończyć konfliktem, zagrażającym totalną katastrofą. Na wszelki wypadek powiedział:

– To co mówiłem, profesorze, nie należało do wywiadu – uśmiechnął się bezradnie – to była raczej moja prywatna konsultacja...

– Drogi historyku – Sakadze położył dłoń na jego ramieniu – rad jestem, że będziesz z nami pracował.

Stał chwilę patrząc Kulskiemu w oczy, wreszcie uniósł brwi w porozumiewawczym geście i uśmiechnął się.

– Co robisz po południu? – spytał.

Kulski spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Opracuję chyba naszą rozmowę – powiedział po chwili bez przekonania.

– Odłóż to do jutra. Chcę ci zaproponować małą wycieczkę.

– Wycieczkę?

– Do Samarkandy. Wolalbym tam skończyć naszą pogawędkę...

Ponieważ Kulski nie znał okolic Taszkientu, postanowili jechać szosą. Mijali długie szeregi ciężkich poduszkowców, zwożących ze składów ostatnie w tym roku bele bawełny. Nad czterema szarymi taśmami szosy, nad ściętymi stożkami gliniastych wzgórz, nad parowami i płaszczyznami pól, unosił

się lekki śnieg bawełnianych strzępków. Odległość trzystu kilometrów, dzielącą Taszkient od Samarkandy, przebyli w półtorej godziny.

Przez pozbawione liści konary drzew przeświecały ściany will i bloków osiedla. Ponad nie wznosił się ostry garb niewysokiego wzgórza o stromo opadających zboczach. Wspięli się kamiennymi schodami pod sam szczyt, do podnóża pękatej, ośmiobocznej wieży. Napis na stylowych drzwiach budowli głosił, że mieści ona muzeum pamiątek po Uług Begu, wielkim matematyku i astronomie Starego Wschodu. Nieco wyżej, na czubku wzgórza widniały częściowo zrekonstruowane ruiny wzniesionego przez uczynego obserwatorium. Sakadze wskazał Kulskiemu mały, prostokątny otwór w grubych, ciosanych murach. Weszli do mrocznej, podłużnej sali. Wzdłuż jej osi biegły wąskie półkoliste wcięcie, rzeźbione w stopnie.

– Sekstans – stwierdził raczej, niż zapytał Kulski Sakadze skinął głową.

– Żył na przelomie czternastego i piętnastego wieku – powiedział zniżając mimo woli głos. Zszedł kilka stopni w głąb łuku. – Nasz rodzaj stawiał tutaj jeden z pierwszych kroków na drodze do gwiazd.

– Gdyby wiedział... – wyrwało się Kulskiemu. Sakadze spojrział mu żywo w oczy. Jego głos dudnił głucho w kamiennej celi:

– Wiedział. Wiedział, że pewnego dnia ktoś przyprowadzi tutaj młodego historyka przerażonego czymś, co dla niego było, niestety, chlebem powszednim...

Na twarzy Kulskiego odbiło się niedowierzanie. Kult? Może drgnienie zakrzepłej w podświadomości, atawistycznej skłonności do mistycyzmu? "My, ludzie Wschodu...", zwykł mawiać, chociaż jego pradziad przywędrował tutaj z Gruzji. Ostatecznie także obszar penetracji Islamu. Turcy, Safewidzi...

Sakadze przyglądał mu się rozbawiony. Wrócił powoli na górę, wziął go pod ramię i pociągnął łagodnie do wyjścia. Znowu stali na szczycie wzgórza, mrużąc oczy porażone blaskiem słonecznego południa.

– Nie przejmuj się, historyku – powiedział lekkim tonem

uczony. Spoważniał. – Czy wiesz, w jaki sposób odnaleziono to obserwatorium?

Kulski nie wiedział. Zaczął żałować, że jego walizeczka została w Taszkencie.

– Wszystko, co zostało po Uług Begu, leżało przez kilka wieków w ziemi. Żaden z mieszkańców Samarkandy i okolicznych osad nie wymówiłby jego imienia. Zacietrzewienia wczesnego Islamu nie da się porównać z fanatyzmem wyznawców jakiegokolwiek innej religii. Uczony obraził Allacha, poważił się sięgnąć myślą i doświadczeniem w rejony zastrzeżone dla bóstwa. Przekleństwu i hańba, jakie ściągnął na siebie i swój ród, dotknęłyby także jego ziomków, gdyby przyglądali się obojętnie bluźnierczym praktykom astronoma. To ty jesteś historykiem, nie ja. Twoją rzeczą jest dociekać, co myśleli średniowieczni uczeni, kiedy ciemny motłoch palił na stosach ich najbliższych, rozwalał pracownie, niszczył narzędzia i rękopisy, dorobek całego życia. Czy nienawidzili wtedy swoich oprawców, tych, którym to życie poświęcili? Czy tylko litowali się nad nimi? Przeklinali swój los? Czy też uważali go za najwyższe wyróżnienie?

Palce profesora zaciskały się mocno na ramieniu Kulskiego. Nie wiedział o tym, chłonąc całą swoją istotą słowa sławnego astrofizyka. W pewnym momencie przemknęło mu przez myśl, że Sakadze nie mówi przecież nic takiego, o czym nie wiedziałoby każde starsze dziecko, że trudno to nawet nazwać porządkowaniem pojęć, od dawna uszeregowanych w logiczny obraz, jeden z milionów, jakie składają się na wiedzę historyczną współczesnego człowieka. Poczul nawet coś na kształt zdziwienia faktem, że słowa profesora budzą w nim tak głębokie echa i refleksje, jakby ten dobrze znany obraz odsłonił naraz przed nim swoje nowe, niedostrzeżone dotychczas treści. Natychmiast odrzucił tę myśl z wewnętrznym oburzeniem. Co innego wiedzieć, a co innego usłyszeć to właśnie tutaj, teraz, w obliczu konkretnej sytuacji, w jakiej znalazł się człowiek z całym bagażem swoich tradycji i nadziei, i to usłyszeć z ust wielkiego uczonego, człowieka, którego córka...

– Dopiero w dwudziestym wieku – ciągnął Sakadze –

wszczęto poszukiwania archeologiczne. Historycy wiedzieli, że obserwatorium leżało w obrębie starej Samarkandy. Domyślali się także, że niektórzy tutejsi mieszkańcy znają to miejsce. Pokolenia przekazywały sobie podanie o gniewie bożym, który dotknął odszczepieńca. Nikt jednak nie chciał wskazać wzgórza, gdzie Uług Beg podglądał Allacha. Dopiero po kilku latach w miejscowym archiwum natrafiono przypadkiem na testament, w którym pewna staruszka zapisała jednemu z wnuków pole, leżące "między zabudowaniami rodziny a obserwatorium Uług Bega". Tak znaleziono to wzgórze i od

kopano jeden z najwspanialszych pomników ludzkiej myśli...

Kulski trzymał w ręku notes, ale nie pisał. Stał wyprostowany, wodząc wzrokiem po dachach okolicznych domów. W głębi, po kres horyzontu, zasnuty czerwoną mgiełką, ciągnęła się pofałdowana równina.

– Kiedy mówię, że wiedział – podjął Sakadze – mam na myśli wiarę takich ludzi jak on, Bruno, Galileusz, w przyszłość mieszkańców naszej planety. Wiedzieli więcej niż ich współcześni. Cierpieli. Analizując własne życie musieli zdawać sobie sprawę z ogromu nieszczęść, które spadną jeszcze na ludzkość, zanim nastanie epoka mądrości i solidarności. Nasza epoka.

Puścił ramię Kulskiego i postąpił w stronę drewnianej bariery, obrzeżającej krawędź gliniastego urwiska.

– Widzisz – mówił dalej – wydawało nam się, że mamy to już za sobą. Wszystkie katastrofy, nieszczęścia, które spadały na ludzkość z winy jej niedojrzałości i ślepoty oddaliśmy bez skrępowania wam, historykom. Tymczasem... jesteśmy dopiero w połowie drogi. Zjednoczyliśmy Ziemię. Wiesz najlepiej, jakie przeszkody trzeba było zwalczyć, zanim różnice mentalności, tradycji, obyczajów przestały dzielić, a stały się płaszczyzną braterskiej wymiany. Jaskinie łączyły rody. Te z kolei stworzyły szczepy. Powstawały osady, gminy, księstwka, wreszcie państwa i kraje. Bardzo długo trwało, zanim udało się zintegrować ludzkość; mieszkającą na jednej planecie. Przyszła kolej na galaktykę. Los Uług Begów grozi teraz rasom, zamieszkującym planety. To jest logiczne. I on o tym wiedział.

Musiał wiedzieć. Tak samo jak my wiemy, że potem przyjdzie kolej na kontakty międzygalaktyczne. Naszą ojczyzną jest Ziemia. Niegdyś był jej skrawek. Kiedyś będzie Wszechświat.

– To jest właśnie historia... – szepnął Kulski. Sakadze zrobił pauzę, po czym, nie zwracając uwagi na to mimowolne wyznanie wiary, ciągnął dalej:

– Ofiara ma sens tylko wtedy, kiedy jest naprawdę jedyną drogą do osiągnięcia celu. Toteż nie chcemy ofiar. Ale jeżeli człowiek jest głęboko przekonany, że cel, do którego zmierza, przyniesie dobro ogółowi, że otworzy przed ludzkością nowe, szersze perspektywy albo że pozwoli ocalić jego ojczyznę, obojętnie jak na danym etapie rozumie to pojęcie, wtedy taki człowiek musi się liczyć z każdą ewentualnością.

Widząc, że Kulski otwiera usta, żeby mu przerwać, wznosił szybko rękę, na znak, że już kończy.

– Powiedziałem, że ofiara jest ostatecznością. Tak istotnie myślę. Mało tego. Są granice... samozaparcia, których nie powinno się przekraczać, bo to upokarza całą społeczność. To wszystko prawda. Ale pomyśl, gdzie bylibyśmy dzisiaj, gdyby tak właśnie rozumowali tacy Galileusze i Uług Begowie?

– Oni nie budowali baterii laserowych. Nie zabijali...

– Pojęcie ofiary też zmienia się z biegiem stuleci. Równoległe z pojęciem zwycięstwa. A jeśli chodzi o te wszystkie przygotowania, które tak cię niepokoją, to jest profilaktyka. Jeśli chcesz wiedzieć – Sakadze uśmiechnął się nagle, przyciągnął Kulskiego ku sobie i wyszeptał:

– Nie będzie żadnej wojny. Zobaczysz. Po dobrej chwili historyk zrewanżował się nikłym uśmiechem.

– Intuicja, profesorze?

– Uhm...

W tym momencie, tak jak kilka minut temu, wstrząsnęło Kulskim nagle uświadomienie sobie faktu, że jedną z pierwszych istot ludzkich narażonych na skutki ewentualnego konfliktu musiałaby się stać córka uczonego, zamknięta w obezwładnionej rakiecie, spoczywającej tam w przestrzeni, na obcej planecie, podobnej stąd do złocistej główki od szpilki. Spojrzał za siebie, na ruiny obserwatorium Uług Bega,

przeniósł wzrok na uśmiechniętą, skrzywioną w filuternym grymasie twarz profesora i serce zalała mu fala tkliwego ciepła.

Dyspozytor poganiał manewrowego ostatniego, zapóźnionego buldożera o pociemniałych, okopconych blachach osłony, który zjechał z pasa i utknął w błotnistych wykopach. Od budynku dworca raketowego, a raczej jego najwyższej kondygnacji, bo ta tylko wznosiła się nad poziom lotniska, nadchodziła grupa ludzi.

Dzień był bezwietrzny. Okoliczni rolnicy zamówili na wieczór deszcz i w nasycającym się wilgocią powietrzu helokoksowy pancerz Uzbekistanu lśnił jak obelisk wykuty w bryle białego lodu, na tle zaśnieżonego łańcucha skalistych szczytów.

Ludzie milczeli. Wszystko, co było do powiedzenia, zostało powiedziane w czasie wielogodzinnych dyskusji i konsultacji. Buldożer trafił wreszcie na nitrobetonowe pasmo, targnął je gąsienicami i zaryczał silnikiem oddalając się spieszenie od pola startowego. Dyspozytor odetchnął. Poszła w górę świetlista struga, potem jeszcze jedna. Z zawieszzonego na wysokości dziewiętnastu metrów pomostu mała sylwetka kosmonauty ostatni raz pozdrowiła odprowadzających. Trzej pozostali zajęli już miejsca w kabine. Powietrzem targnął jękliwy sygnał. Na małym pomoście, podobnym do przyniesionego przez wiatr liścia, nie było już nikogo. Rusztowanie drgnęło. Stalowa wieża podzieliła się na dwa strzeliste minarety, pełnące bezszelestnie ku krawędziom płyty. Przez chwilę wydawało się, że boleją nad rozłęką z brzuchatym cygarem, wyciągając ku niemu ażurowe, przepołowione obręcze.

Ludzie wracali w stronę dworca. Dyspozytor zasiadł w twardym, prostym fotelu. Manewrował chwilę manipulatorami, strojąc automaty i sprawdzając ich zgodność z sygnałami zegara neutronowego. W końcu miękkiem, jakby mimowolnym ruchem wcisnął czerwony klawisz, uruchamiając ciąg pogotowia startowego.

Jak zjawy z koszmarnego snu wychyły się spod ziemi, na obrębie pola, pancerne grodzie i osłony. Rzędy pulpityw i ekranów w wieży dyspozycyjnej rozjarzyły się setkami lampek sygnalizacyjnych i kontrolnych. Świątełka pulsowały, migotały,



przybywało ich stopniowo w miarę narastania dolatujących z lotniska odgłosów. Coraz głośniejszy brzmiał sygnał automatu, podającego sekundy, pozostałe do startu.

Przez wąskie szczeliny w ścianach dyspozytorni śledziło płytę kilkanaście par oczu. Potężnym korpusem Uzbekistanu przebiegł dreszcz, potem drugi. Stopniowo podłączano wszystkie elektrody zapłonu. Wpatrzeni aż do bólu w dysze rakiety przestali reagować na głos, odmierzający sekundy. Nagle uderzyła ich cisza. W tej samej chwili spod rufy statku rozpierzchły się żółtofioletowe strugi ognia. Trysnęły pierwsze promieniste smugi gazów i dymu. Przez wąskie strzelnice uderzyła w oczy

fala żaru. Zaraz potem przyszedł lodowy, mrozący dech w piersiach podmuch. U wylotu dysz dopalaczy stanęły małe, owalne słońca. Gdyby nie stosowana od kilku lat technologia zimnego startu, budowa pola, zdolnego stawić czoła żarowi atomowego ognia, musiałaby trwać kilka tygodni dłużej.

Śnieżnobiałe cygaro oderwało się od ziemi. Huk wzmógł się, pancerne ściany wieży zajęczały w pewnym momencie jak najczulsze membrany. Wraz z rosnącym przyspieszeniem Uzbekistan uruchamiał jeden po drugim wszystkie szesnaście silników głównego ciągu. Ludzie w kabinie byli teraz półprzytomni, zaciskali instynktownie ustniki, walcząc zaciekle z uciekającym w głąb ciałem, wprasowanym potworną siłą w czółnowate kadłuby foteli.

Przeraźliwy syk umilkł raptem, pozostawiając w powietrzu już tylko oddalające się basowe dudnienie. Fiolet ognistego słupa, tryskającego z rufy zbladł, wypłowił, by po chwili rozpląnąć się nikłą, pomarańczową wstążką, znaczącą jeszcze w ciągu kilkunastu sekund tor lotu statku.

Obiektywy kamer łowiły do końca niknący w firmamencie punkcik. Po dobrej chwili milczący dotychczas reporter telewizyjny, "który przeprowadzał transmisję, drgnął jak obudzony i powiedział: "Tak oto wystartowała wyprawa ratunkowa na pokładzie drugiego w historii ludzkości załogowego statku marsjańskiego Uzbekistan".

Kulski omiółł spojrzeniem poszarzałe nagle pole startowe,

pośrodku którego czerniała nieregularna plama, jakby ktoś roztrzaskał o nitrobetonową gładziszną szklaną kadź pełną tuszu, odetchnął z ulgą i poszukał wzrokiem profesora Sakadze. Ten trwał jeszcze, z uniesioną głową, zaciskając palce na krawędzi szczeliny obserwacyjnej. Stojący tuż obok Lew Krotin przypatrywał mu się chwilę z nieodgadzionym uśmiechem, wreszcie nie wytrzymał i klepnął go lekko po ramieniu.

– Zbudź się, astrofizyku... trzeba coś zjeść, zanim. wrócą – zażartował.

Sakadze cofnął się powoli, spojrzął na Krotina jakby zdziwiony, pochwycił wzrok Kulskiego i oprzytomniał.

– Moja córka przepada za lodami – powiedział nieoczekiwanie. – Dałem Rankorowi kilka porcji w termosie... Ciekaw jestem, czy dowiozą.

– Na ich miejscu zjadłbym je sam – odparł" natychmiast, z najgłębszym przekonaniem, Krotin – będą lecieć sześć dni. "Twój, o Syzyfie, trzeba wskrziesić gest, by taki udźwignąć ciężar..." – zacytował, mrugając porozumiewawczo do Kulskiego.

Obraz stawał się nieostry. Kontury przedniej osłony komara pływały w matowej –mgielce.

Lena wstała i sprawdziła automat strojenia. Funkcjonował normalnie. Pomyślała chwilę i wróciła do mikrofonu.

– Coraz gorzej nas widać – mówiła, pochylając się nad niskim pulpitem – przechodzę na radar.

Zamknęła mikser bloku dziennego. Po kilku sekundach ekran pojaśniał ponownie, łączność między rakieta a pojazdem przebiegała teraz w pasmach podczerwieni.

– Dojeżdżamy do emitora – głos Batuzowa był zniekształcony, chwilami ginął w narastającym huczeniu i trzaskach – nie przejmuj się, tutaj zanikają fale...

Podciągnęła do oporu regulator kontrastu, nie bacząc na protest automatu strojenia, który zamrugał gwałtownie niebieską lampką, i ułożyła się wygodnie w fotelu. Przejście na podczerwień niewiele dało. Prawdę mówiąc nic. Ekran telewizyjny i tarcza radaru wyglądały jak wycelowane w burzliwe niebo. Spojrzała odruchowo w stronę pulpitu

neuraksa. Lampka kontrolna sprzężenia płonęła równym, zielonym światłem. "Przynajmniej tyle..." – pomyślała. Zielony ognik był ostatnim widmowym znakiem więzi, łączącej grupę badaczy z macierzystym statkiem.

Potton sprawdził szczelność skafandrów i dał znak Batuzowowi. Ten pochylił się nad tablicą rozdzielczą i przełożył czerwoną dźwignię. Przezroczysta czapa, okrywająca kabinę, pękła przez pół, rozsunęła się bezgłośnie i spłynęła w osłonę podwozia. Silniki zamruczały gasnącym opadającym altem, wreszcie umilkły. Komar potoczył się jeszcze kilkadziesiąt metrów, okrążając łagodnym łukiem podstawę emitora, aż utknął w nieckowatej bruździe między wydmami. Kabina drgnęła i miękko zsunęła się na piasek. Z daleka pojazd przypominał teraz średniowieczny zamek, zwieńczony ośmioma basztami. Smukłe amortyzatory, pełniące równocześnie funkcje dźwigarów, wzdłuż których ślizgała się pionowo kabina, sterczały w górę na wysokość dwunastu metrów.

Przeprowadzenie pierwszej serii pomiarów wokół głowicy wyrzutni nie zabrało im więcej niż dwie godziny. Następnie skierowali się w stronę szybu wiodącego do podziemi. Nie ruszali już komara, nie opłacało się.

Tym razem jako pierwszy zeskoczył do wykopu Potton. Zbliżył się do wieżyczki i podniósł rękę.

Wychylony z otwartej kuli pręt "porządkował" otoczenie. Operacja trwała teraz krócej, od wielu dni nie było wiatru i zagłębienie pozostało czyste, tak jak je zostawili. Półton dokonał odkrycia. Obecność paraliżującego ciężaru, który przytłoczył ich wtedy, za pierwszym razem i obezwładnił, ujawniała się jedynie przy próbie zmiany pozycji ciała, najmniejszego choćby poruszenia. Kiedy stał spokojnie, nie czuł nic, w każdym razie nic takiego, co sugerowałoby, że ulega przemocy. Zacisnął zęby i spróbował posunąć prawą stopę do przodu. Każde włókno nerwowe, każdy najmniejszy mięsień w całym ciele przebiegł brutalny dreszcz. Na plecy i barki spadły worki z piaskiem. Upadł na kolana i znieruchomiał. Ściany wykopu drżały od przenikliwego szumu, pył wirował obłądnymi,

krzyżującymi się spiralami, ale ciężar ustąpił, pozostawiając cichnący powoli łomot w skroniach. "A więc rzeczywiście" – pomyślał. Wszystko przemawiało za tym, że ich domysły były słuszne. Musiały tu działać automaty stwarzające "pole bezpieczeństwa", broniące dostępu do urządzeń w czasie ich pracy. Zapamiętane zmaganie ze zwielokrotnionymi siłami grawitacyjnymi zawdzięczali zatem wyłącznie własnemu ówczesnemu zachowaniu. Przerażeni nawałnicą i jazgotem szamotali się wtedy rozpaczliwie, usiłując opuścić niegościnnie wykop. Po kilkunastu sekundach zapanował spokój. Wieżyczka spłynęła pod ziemię, odsłaniając okrągły otwór studni. Potton wstał i wyprostował się.

– Dobrze, że nikt cię nie widział – powiedziała Ann, stając obok niego – ziemski uczony padający plackiem przed automatem, to mogłoby być dla nich ciekawe studium obyczajowe... gotowi się przestraszyć, że wyrobimy w ich maszynach manię wolności...

– Nie byłbym taki pewny... – mruknął Potton.

– Czego? Tego, że leżałeś plackiem? Czy tego, że to wyglądało dosyć... niecodziennie?

– Nie. Tego, że nikt nas nie obserwuje – uciął. Zamilkli. Batuzow, nisko pochylony, lustrował nieufnie ściany szybu.

– Wchodzimy?

– Idź pierwszy – Potton przesunął na pasie do przodu kontakty spustowe przetwornicy przeciwpola. Podniósł zasobnik i zawahał się.

– Masz teraz za swoje – Ann wzruszyła ramionami – szkoda, że nie zabraliśmy całej baterii.

Przetwornica wraz z zasobnikiem ważyła niespełna sześć kilogramów. Przed wyruszeniem Potton zamierzał wyposażyć wyprawę w dwa pełne komplety. Ann i Batuzow zaprotestowali. Doszło do wymiany zdań. Nie chodziło tylko o swobodę ruchów. Przetwornica jest czymś w rodzaju podfotonowego miotacza laserowego. Strzelając w ten sam punkt z dwóch aparatów, osiąga się podgrzanie materii do temperatur gwiazdowych. Przeciwpole staje się wówczas bronią o straszliwej sile niszczącej. Zresztą, podobny efekt

można osiągnąć przekonstruowując nieznacznie gniazdo kierunkowe tak, aby zogniskować wiązkę pojedynczego miotacza. To chyba zdecydowało o zwycięstwie Ann i Batuzowa. Potton, jako kierownik wyprawy mógł oczywiście przeprowadzić swoją wolę, ustąpił jednak zdając sobie sprawę, że w ich sytuacji i jeden aparat będzie wystarczająco kłopotliwym bagażem.

Zastanawiał się teraz, czy ulokować gruszkowaty zasobnik na plecach, czy powiesić przed sobą. W końcu zostawił go tak jak był, z tyłu, podciągnął tylko pasy i przesunął na bok stożkową kaburę.

Batuzow schodził powoli, rozglądając się i badając, przed postawieniem stopy, każdy kolejny schodek. Ściany wydzielały łagodne, bladoróżowe światło, wypełniające wszystkie zakamarki sporej, sześcienniej komory. Wąskie stopnie, jakby zawieszane w powietrzu, pozbawione jakichkolwiek wsporników i bez poręczy, sprowadzały w środkowy punkt podstawy tego sześciannu. Dwie przeciwległe ściany, wschodnia i zachodnia, były gładkie i ślepe, w pozostałych dwóch widniały owalne wyloty korytarzy.

– Co to tak świeci? – spytała Ann, dotykając ostrożnie bocznej krawędzi stopni, a raczej muskając ją wierzchem rękawicy – czy to jest napromieniowane?

– Raczej zwykła zaprawa fotostatyczna – odrzekł zdawkowo Potton, lustrując perspektywę tunelu.

W tym momencie dało się słyszeć jakby ostrzegawcze brzęczenie. Cofnęli się odruchowo pod ścianę. Od litej powierzchni, nad ich głowami, odprysł nagle spory krąg. Z odsłoniętej w ten sposób niszy wypłynęła wieżyczka. Sunąc powoli powietrzem zmieniała pozycję, ustawiła się pionowo, szybowała coraz wyżej, zmierzając nieomylnie w stronę otworu szybowego, wreszcie zamknęła go z cichym młaśnięciem.

– No, mają nas... – usiłował żartować Batuzow. Wszystkim zrobiło się nieswojo.

Okrağła kłapa, zamykająca "schowek", z którego wychynęła przed chwilą wieżyczka, wróciła na swoje miejsce. Jej krawędzie były tak idealnie dopasowane do otworu, że po

upływie kilku sekund daremnie wypatrywali już jakiegokolwiek rysy w poświęcającej ścianie.

– Jak to działa? – mruknął po chwili Potton. – Widziałeś kiedyś coś takiego, konstruktorze?

Batuzow nie odpowiedział. W czasie lotu wieżyczki na próżno szukali wzrokiem jakiegoś ramienia, wysięgnika, czegoś, co by ją podtrzymywało i kierowało jej ruchami.

– No co, idziemy? – Ann postąpiła kilka kroków, spoglądając na nich zachęcająco – na północ czy na południe? – rozłożyła szeroko ręce.

– Proponuję zacząć od emitora – powiedział Batuzow, przechodząc przed Pottona – na południe.

Zanim zatrzymali komara w bezpośrednim sąsiedztwie głowicy wyrzutni, sprawdzili eksperyment Pottona. Okrążyli szerokim kołem podstawę ulatującej w przestrzeń wiązki szukając śladów podziemnych przejść. Stwierdzili, że istniała tylko jedna linia, odbiegająca od emitora. Wiodła prosto na północ. Przynajmniej ona tylko miała owe szyby, czy też stacje, znaczone wieżyczkami.

Batuzow przestąpił próg korytarza. Podłoga była jakby metaliczna, namagnesowane podeszwy przywierały do śliskiej powierzchni. Ann szła tuż za nim. Małą kawalkadę zamykał Potton, podtrzymując jedną ręką spód zasobnika.

Szerokość tunelu, mierzona w połowie wysokości jajowatych ścian, nie przekraczała dwóch metrów. Pomiedzy sklepionym stropem a głowicami ich kasków pozostawał dobry metr wolnej przestrzeni. W całej, niezbyt zresztą odległej perspektywie, zbiegającej się przed nimi w ciemniejszy punkt, jakby czerwoną gwiazdę, nie było śladu jakichkolwiek urządzeń, nisz, najmniejszych nierówności.

Idąc obserwowali bacznie alarmowe czujniki promieniowania. Rozbłyśki sygnałowych lampek powtarzały się nie rzadziej, ale i nie częściej niż na powierzchni w okolicy emitora. Czy to dlatego, że wzrok przyzwyczał się

powoli do oświetlenia, czy też, że w wąskim korytarzu ściany dawały więcej światła, wydawało im się, że robi s.ię coraz jaśniej.

W pewnej chwili idący przodem Batuzow przystaną i dotknął końcami palców różowiejącej gładziny ściany. Poczul delikatne, ale wyraźne drżenie, jakby rezonans wibracji pracującego w głębi silnika. Odwrócił się na moment do Ann, ale nic nie powiedział, skinął tylko ręką, y/skazując perspektywę tunelu i ruszył dalej. W miarę posuwania się naprzód narastało głębokie, basowe dudnienie, jakie towarzyszyło im od momentu wejścia do podziemi. Pulsujący pomruk tłumił chwilami metaliczne echo kroków. Licznik wskazywał czterysta dwadzieścia metrów, jeżeli korytarz zmierzał rzeczywiście prosto w kierunku emitora, ten ostatni powinien być już blisko.

Batuzow stanął raptem jak wryty, po czym rzucił się do tyłu, wpadając na Ann.

– Uwaga! – jego okrzyk, rzucony dziwnym, wysokim głosem podjęły ściany, podając go dalej i dalej, w głąb korytarza. Potton usiłował się cofnąć, ale zawadził zasobnikiem o butle tlenowe Ann i utknął w pół obrotu. Spojrzał odruchowo za siebie i drgnął.

– Pod ścianę! – krzyknął, wyszarpując z kabury miotacz Głos nałożył się na dźwięczące jeszcze w podziemiu echo.

Byli w pułapce. Jakieś piętnaście metrów za nimi i w przedzie, w tej samej odległości, z głębi tunelu wyłoniły się płaskie tarcze, nieoświetlone, nieprzenikliwe, o kształtach doskonale odpowiadających poprzecznemu przekrojowi korytarza. Między ich krawędziami a owalem ścian nie można było wypatrzeć śladu szczeliny, rysy, przez którą mógłby się przecisnąć najmniejszy owad. Obie te pancerne, masywne grodzie zbliżały się do nich, zagarniając centymetr po centymetrze przestrzeń tunelu. Za minutę, dwie spotkają się, zewrą jak szczęki prasy w miejscu, gdzie stoją teraz ludzie.

Potton sięgnął gwałtownym ruchem do kontaktów spustowych, pochylił się nisko, skulił i... znieruchomiał. Obie przegrody zatrzymały się łagodnie, jakby z wahaniem.

Czekali dłuższą chwilę, nie śmiejąc odetchnąć, jak sparaliżowani.

– Teraz to naprawdę nas mają... – wykrztusił wreszcie

Batuzow.

Ann dokonywała heroiczych wysiłków, by opanować drżenie kolan. W końcu dała za wygraną, przykucnęła gwałtownie, jakby padając. Potton, nie spuszczać wzroku z nieruchomej grodzi, rzucił krótko:

– Wstań. Wstań, Ann – powtórzył nieco łagodniejszym głosem. Batuzow wyciągnął do niej rękę.

– Znakomita cywilizacja – syknął po dobrej chwili Potton. – Metody, jakich nie powstydziliby się nasze średniowiecze...

Ann podniosła się wreszcie z trudem, jak obciążona nadmiernym ciężarem.

– Przepraszam – powiedziała cicho – to idiotyczne...

Nikt się nie odezwał.

Nagle Batuzow pochylił się nisko do przodu. Zamykająca korytarz zapora drgnęła. Wyprostował się. To nie było złudzenie. Przegroda cofnęła się o kilka centymetrów, ale ruch był wyraźnie uchwytny. Powtórzył eksperyment, spoglądając tym razem za siebie, tam skąd przyszli. Kiedy wychylił ciało w kierunku marszu, zapora przybliżyła się nieznacznie.

– Poczekajcie – mruknął półgłosem – coś mi zaczyna świtać... – Ruszył nagle z miejsca i zrobił kilka kroków do przodu. Odwrócił się.

Od pewnej chwili spodziewał się tego, był właściwie pewny, a jednak nie potrafił wstrzymać wybuchu krótkiego, nerwowego śmiechu. Widok był rzeczywiście szokujący. Przegroda przecinała w połowie ciało Ann. Nic nie rozumiejąc wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami, tkwiącymi w zawieszonej w próżni, pozbawionej korpusu głowie. Potton był niewidoczny. Postąpił jeszcze krok do przodu i wyciągniętą sztywno ręką uderzył w poprzeczną zaporę. Nie poczuł nic. Dłoń przeszła po prostu powietrze. Ruszył śmiało naprzód. Pojaśniało. Przed sobą miał już tylko długą perspektywę korytarza, zamkniętą małym jasnym punktem.

– Chodźcie! To tylko odbicie – zawołał, odwracając się, ale Potton stał już obok niego. W tej samej chwili z litej, zdawało się, ściany wychynęła spiczasta kopułka kasku Ann.

– Odbicie? – w jej głosie zabrzmiało niedowierzenie,



zmieszane z mimowolnym podziwem – jak to odbicie?

– Dochodzimy do emitora – tłumaczył Batuzow podnieconym głosem – widocznie pole, ograniczające wiązkę, ma jeszcze jedną, zewnętrzną strefę. I tutaj właśnie przebiega jej granica. Tak jakbyśmy przeszli przez linię jakiegoś – szukał chwilę porównania – terminatora elektromagnetycznego – skończył z uśmiechem. – Załamuje po prostu promienie światła.

Potton zmarszczył brwi.

– W takim razie – mówił z zastanowieniem – tam, na powierzchni, powinno dziać się coś podobnego... cała wyrzucana wiązka powinna być otoczona taką "pancerną" rynną...

– Być może promienie słoneczne rozpraszają graniczny pas tej strefy... – odrzekł po namyśle Batuzow – a tutaj ekranizują ją ściany albo po prostu warstwy gleby. Może ci, którzy zbudowali korytarze, specjalnie "wyostrzyli" w nich kontury tej granicy, przeznaczając jej jakieś dodatkowe zadanie.

– To wszystko hipotezy – rzucił sucho Potton.

– Oczywiście – zgodził się Batuzow. – Bardzo możliwe, że te zapory nie mają nic wspólnego z emitorem. W każdym razie dla nas nie są groźne. Muszę przyznać, że czułem się trochę głupio... – wyprostował się, oddychając głęboko. – Dałbym teraz nie wiem co za dobrego papierosa – zakończył.

– Niestety – zaśmiała się Ann – nie wymyślili jeszcze skafandrów dla palaczy. A szkoda, należałaby ci się nagroda... swoją drogą – rzuciła ironiczne spojrzenie Półtonowi – osobliwe to ich średniowiecze... nie uważasz?

Ten wzruszył tylko ramionami.

– Idziemy – powiedział szybko Batuzow. – Szkoda tlenu.

Stali na krawędzi gigantycznej studni czy szybu, o średnicy przekraczającej pięćdziesiąt metrów. Pod ich stopami otwierała się bezdenna głębia, pełgająca różową poświatą. Bez najmniejszego progu czy zabezpieczenia korytarz, jak ucięty nożem, wpadał w pionowe urwisko Jego otwór, gdyby patrzeć z dołu lub z góry, musiał się wydawać małym punktem w horyzontalnym pierścieniu szybu.

Środkiem, jak pionowa oś powietrznego walca, biegła opasła, zielonkawa rura. Pod stropem zwięzła się stożkowato, wyglądało na to, że jej szczyt wystaje nad poziom gruntu. Była nim zapewne głowica emitora.

Ściany dygotały. W zamkniętej przestrzeni przelewał się, idący gdzieś z głębi głuchy, drażący nerwy grzmot.

– I co dalej? – spytał po dobrej chwili Batuzow. Nie czekając na odpowiedź dał krok do przodu, stając na samej krawędzi przepaści, tak że czubki jego butów znalazły się już poza linią chodnika. Ann pochyliła się odruchowo, chcąc go powstrzymać, ale jej wyciągnięte ramię zawisło w powietrzu. W basowy, wibrujący pomruk wypełniający każdy milimetr sześcienny szybu wmiszało się nagle delikatne granie, jakby gdzieś blisko ocknął się świerszcz. Wszyscy troje odruchowo unieśli głowy. Batuzow cofnął się gwałtownie. W ostatniej chwili. Skądś, z wysokości, jakby wyczarowany ze ściany wyłonił się pękaty, przezroczysty walec, nakryty kopulastym hełmem. Tkwiły, w nim smukłe, rozwidlone pręty. Cała ta konstrukcja, przypominająca szklaną kabinę, podpłynęła powoli, zamykając wylot tunelu i przywarła do jego krawędzi. Przezroczysta ścianka rozchyliła się, jakby zapraszając do środka.

Stali chwilę bez ruchu, nie wiedząc, co począć, wreszcie Półton sięgnął machinalnie do górnej kieszeni skafandra i wyjął małą, płaską tarczę uniwersalnego kalkulatora. Wpatrywał się w nią chwilę nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie poznając, po czym poruszył bezradnie ramionami. Jego ręka trzymająca przyrządek opadła bezwładnie. Miniaturowe wskaźniki, wbudowane w tarczę, były martwe. Nici, łączące ich podręczne analizatory z szeregiem elementów scalonych w mózgu neuraksa prysnęły, kiedy przekroczyli próg podziemi. Byli zdani wyłącznie na własną wiedzę i doświadczenie. To ostatnie, choćby nie wiedzieć jak bogate, nie na wiele mogło im się tutaj przydać. Oczywiście istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że neuraks rejestruje w dalszym ciągu ich obserwacje i wnioski, w każdym razie jego sygnały zwrotne grzęzły w polach utrzymujących się wokół wyrzutni.

– Mamy windę – powiedział niepewnie Batuzow. Chwilę trwało milczenie.

Nagle Potton wysunął się zdecydowanie do przodu. minął Batuzowa i wkroczył do przezroczystej kabiny.

– Oszalałeś?!– Ann rzuciła się, żeby go powstrzymać, o ułamek sekundy za późno. – Przecież to także mogło być takie... odbicie! – Nie pomyślał o tym. Jednym podrzutem poprawił pasy podtrzymujące przetwornicę i tupnął kilka razy ciężkim, metalowym butem.

– Wygląda całkiem solidnie – powiedział z nutą przekory w głosie: Rozglądał się po szklanych ścianach szukając jakichś przycisków, manipulatorów, czegoś, co mogłoby pełnić funkcję aparatury sterowniczej. Nie znalazłszy odwrócił się i wyciągnął rękę do Ann.

– Wsiadacie?

Przekraczając próg korytarza Ann odruchowo zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, stała na przezroczystej płycie grubości, jak się zdawało, ułamków milimetra. Pod nią ziała tysiącmetrowa przepaść.

– Zobaczymy, co z tego wyniknie – powiedział z determinacją Batuzow. W momencie, kiedy podnosił stopę, by postawić ją za progiem kabiny, ciche brzęczenie, przywodzące na myśl granie świerszcza, urwało się raptownie. Półkolistą ścianką od strony korytarza wróciła na swoje miejsce, zamykając szczelnie walec konstrukcji, nazwanej przez nich windą. Kabina ruszyła pionowo w dół, od razu nabierając szybkości.

– Poczekajcie! – krzyknął, jakby tych dwoje, zamkniętych w przezroczystej klatce, mogło mieć jakikolwiek wpływ na bieg wydarzeń.

– Zostań na górze – spadali już z szybkością pocisku i Potton nie wiedział, czy jego słowa docierają do Batuzowa – to jest widocznie dwuosobowe...

Wklęsła, pionowa ściana nie była tak jednolicie gładka, na jaką wyglądała z góry. W ułamkach sekund wyluskiwali z jednolitych pasów, w jakie zlewały się lepiej oświetlone łuki urwiska, płytkie nisze, podobne do odwróconych mis. Sterczały

z nich krótkie, grube pręty, przypominające lufy laserów. Dwa czy trzy razy mignęły jajowate plamy, zapewne wyloty korytarzy. Licznik Pottona wskazywał głębokość tysiąca dwustu metrów. Nagle szyb zaczął się gwałtownie zwaćzać. Kabina zwalniała niezmiernie powoli, mimo to płyta, na której stali, napierała na nich z rosnącą siłą. Z największym trudem utrzymywali się na nogach. Słup stanowiący oś studni był wciąż jednakowo szeroki, ale przybliżał się tak, że mogliby go dotknąć nią wyciągając nawet ramienia. Nie był to już upadek, opuszczali się teraz łagodnie, jak na spadochronie, wąską, pionową przecinką. Jeszcze kilkanaście sekund i ujrzeni pod nogami okrągłe, tarczowate dno. Kabina przyhamowała miękko i zatrzymała się. Bez jednego wstrząsu, wydając krótkie sapnięcie, jakby pneumatyków. Boczna ściana uciekła bezszelestnie, otwierając przejście do niedługiego korytarzyka. Za nim widniał fragment jakiejś większej niszy czy sali.

Ann zrobiła dwa kroki w kierunku wyjścia i zawahała się.

– Wychodzimy?

Potton obrzucił nieufnym spojrzeniem przezroczyste ściany kabiny.

– Miejmy nadzieję, że to tutaj zostanie... – mruknął – poczekaj lepiej, aż wrócę...

– O nie – przerwała, przechodząc do korytarza – nie mam ochoty na samotną podróż w tym kieliszku.

Wzruszył ramionami i poszedł za nią.

Łoskot grzmotów, przewalających się jakby w całym skalnym miąższu planety, był niemal namacalny w powietrzu. Ściany drżały konwulsyjnie, osłony akustyczne ich skafandrów stały się bezradne. Czujniki promieniowania pryskały gwałtownym, białym światłem. Rzecz charakterystyczna, także i tutaj, w bezpośrednim sąsiedztwie pracujących agregatów czy reaktorów, częstotliwość alarmowych rozbłysków nie była większa niż na powierzchni. Odpryski twardego promieniowania przenikały równie rzadko przez pierwsze warstwy ekranów co pr/ez tysięczmetrowej grubości pokłady geologiczne. Wystawiało to znakomite świadectwo konstruktorom tych ekranów, równocześnie jednak mówiło

wiele o niewiarygodnej wydajności i mocy zainstalowanych przez nich źródeł promienistej energii.

Kilkanaście metrów dalej korytarz wpadał do małej salki, wykutej w skale na planie kwadratu. Na próżno wypatrywali jego dalszego ciągu. Ślepe ściany, bez śladu najmniejszej rysy, sączyły wszędzie równe, bladoróżowe światło. Była to niewielka, kamienna cela. Ich wzrok przykuł ciemniejący pośrodku prostopadłościan, nakryty ściętą pochyłą płytą. Przypominała tarczę pulpitu, jej lśniąca powłoka, jakby odlana w granatowym szkłe, roila się kolorowymi ognikami, niby mrowiem mikroskopijnych lampek sygnałowych.

– Sterownia – szepnęła Ann.

Postąpili kilka kroków w stronę domniemanego pulpitu. Poza światelkami, oczywiście, jeżeli naprawdę miałyby to być lampki kontaktowe, nie dało się zauważyć śladu jakichś dźwigni, przekładni, czegokolwiek co budziłoby skojarzenia z rozdzielnią aparatury sterującej. W pewnym momencie Potton zniecierpliwionym ruchem pochylił się nad tylną ścianką konstrukcji.

W ułamku sekundy załała komorę upiorna jasność. Ann krzyknęła i targnęła się do tyłu, w stronę wyjścia. Potton skulił się, jego dłonie przywarły odruchowo do oczu. Czekali chwilę bez ruchu, w końcu Potton nie odsłaniając twarzy wyprostował się powoli. Z okapu swojego hełmu ściągnął po omacku osłonę przeciwsłoneczną i nieco tylko uchylając rękawicy otworzył oczy.

Boczna ściana salki płonęła okrutnym, plazmowym światłem. Nie było już jej właściwie przed nimi, w odległości kilku kroków kotłowało się w słonecznych wybuchach morze atomowego ognia. Po dobrej chwili, spozierając wciąż kątem oczu, spoza rozcapierzonych palców, dostrzegli masywną, przezroczystą tafłę. Ściana pozostała więc, w pierwszej chwili myśleli, że cała zapadła gdzieś w głąb, ale to pierzchła tylko zewnętrzna warstwa lub też uległa jakiemuś przeobrażeniu jej materialna struktura.

Ann pomyślała nagle o potężnych, wielometrowej grubości pancierzach, chroniących ludzi przed ekspansją ziemskich

reaktorów. Utrzymać małą gwiazdę za taką przezroczystą płytą było osiągnięciem przypominającym baśnie kosmiczne. Owładnęło nią uczucie bałwochwalczego podziwu dla konstruktorów i budowniczych tego wszystkiego.

– Stos... – szepnęła.

Potton spojrział na nią z powątpiewaniem, ale nic nie powiedział. Po chwili podszedł do trapezoidalnej bryły nazwanej przez nich pulpitem i utkwiał wzrok w gąszczu pastelowych ogników. Musnął wierzchem rękawicy lśniącej powłokę, potem śmieiej już powiódł dłonią po ścianach i krawędziach konstrukcji.

– Nic tutaj nie znajdziesz – skwitowała jego poszukiwania Ann.

Wyprostował się, jakby niechętnie, jego ręka powędrowała odruchowo do kieszeni kryjącej tarczę analizatora. Zachnął się, przypomniawszy sobie o bezużyteczności podręcznej aparatury w warunkach panujących w podziemiach i niecierpliwie poprawił pasy.

– To przecież rzuca się w oczy – ciągnęła Ann, nie bacząc na niestosowność takiego powiedzenia w miejscu, gdzie przesywający wszystko blask nie pozwalał im w ogóle otworzyć oczu – wykluczone, żeby jakkolwiek istota, obdarzona wzrokiem, mogła pracować w takich warunkach... To tylko stacja pomiarowa albo jakiś punkt przekaźnikowy.

Pomyślał chwilę.

– Nawet jeśli tak, to powinny tu być jakieś bezpieczniki, aparatura łączności...

– Skąd wiesz, czy nie ma? Jeżeli windy jeżdżą bez szyn i zaczepów, po prostu latają... – mimo woli spojrzeli w stronę wylotu korytarza.

– Do diabła! – warknął Potton – mówilem... – rzucił się w kierunku wyjścia. Ann stała chwilę jak skamieniała, wreszcie ospale, jakby przewyciężając fizyczny opór powietrza, ruszyła za nim.

Szklana kabina znikła bez śladu. Stali na krawędzi chodnika, kilka metrów nad płaskim dnem szybu. Od górnego poziomu, gdzie pozostał Batuzow, dzielił ich kilometr pionowej ściany...

Potton gwałtownymi ruchami odpiął pasy, zsunął z ramion zasobnik przetwornicy i ułożył go ostrożnie w załamaniu korytarza. Następnie pochylił się, przykucnął i opierając dłoń o próg zeskoczył na dno studni. Chwilę badał podłoże po czym oddalając się coraz bardziej od progu zaczął krążyć dookoła centralnej rury wypatrując w górze stopni czy jakichkolwiek wystających przedmiotów, które umożliwiłyby im wydostanie się z pułapki. Na próżno. Na tej głębokości nie było już nawet owych mis z prętami czy lufami, wyloty korytarzy pozostały kilkaset metrów nad nimi. Jediną rzeczą, która wyróżniała się w litej gładziźnie ścian, było niewielkie wklęsnięcie zielonkawej rynny, stanowiącej oś szybu, vis a vis ślepego tunelu, prowadzącego do stosu.

Ann odwróciła się nagle. W komorze, którą jeszcze przed chwilą wypełniało morze ognia, panował mrok. W momencie, kiedy przekroczyli próg korytarza, nieprzenikliwa ściana wróciła na swoje miejsce. Spojrzała w dół. Potton okrążył już kilkakrotnie płaski pierścień, nie ustając w poszukiwaniach drogi odwrotu. Obserwowała chwilę jego bezowocne wysiłki, wreszcie usiadła na krawędzi i powiedziała:

– Wracaj. Sam wiesz, że to beznadziejne... Pokiwał głową, jakby przecząc, ale nie odpowiedział.

Po chwili zatrzymał się pod nią, skoczył, podciągnął na rękach i ukląkł na progu.

– Przedtem przyjechała sama. Poczekamy – mruknął sadowiąc się koło Ann. Milczeli dłuższą chwilę.

– Ciekawam, co robi Andrzej – odezwała się nagle.

– To samo co my. Czeka.

Wsluchiwali się jakiś czas we wszechobecne dudnienie atomowych grzmotów.

– Ten stos – powiedziała Ann – nie przypomina żadnego z naszych...

– To nie jest stos – rzucił w odpowiedzi – raczej jakiś generator plazmowy albo jego pompa...

Mijały minuty.

Tuż pod nimi, w pancernej ławie fundamentów, sięgających bez wątpienia jeszcze wieleset metrów w głąb planety,

wirowało w permanentnym wybuchu jakby samo jej ogniowe jądro. To gniazdo kosmicznej energii nie było jednak dziełem natury. Ani człowieka.

Potton utkwiał wzrok w tarczy ciśnieniomierza butli tlenowych. Mała czerwona wskazówka przesunęła się o kilka odcinków skali. Powoli, jakby ze zdziwieniem, przeniósł spojrzenie na Ann i zamknął oczy. "Za półtorej godziny – pomyślał – zaczniemy się dusić"...

#### ROZDZIAŁ IV

W zawiesistym, ołowianym oparze smużyły się pasma czerwieni. Co kilka sekund tryskały w górę pionowe wiry, porywając maziste chmury i odsłaniając bulgocącą w głębi krateru wiśniową kipieli. Szła skalną półką zbiegającą skosem do przepaści. Coraz bliżej huczał żar, papkowate obłoki zatykały oddech. Jedna po drugiej buchały z dna fale trujących wyziewów. Lena wiedziała, że za wszelką cenę musi stanąć, cofnąć się, uciec z tego miejsca, pozwolić płucom zaczerpnąć powietrza. Zebrała wszystkie siły, ale nie udało jej się przewyciężyć ciężaru rozpedzonego ciała. Szła coraz szybciej, był to już bieg, nogi niosły ją wbrew woli ku krawędzi podciętego skalnego tarasu, poza którą rozwierało się morze rozpalonej lawy. Złożyła usta do krzyku, z nadludzkim wysiłkiem rzuciła się w bok, przywierając do skalnej ściany – i otworzyła oczy.

W kabinie panował nieznośny upał. Było duszno. Kiedy utracili łączność, Lena podciągnęła regulator klimatyzatora. Chód pogłębiał osamotnienie i niepokój o towarzyszy.

Przeciągnęła się i usiadła w fotelu. Sięgając do rączki klimatyzacyjnej zerknęła w stronę pulpitu – i znieruchomiała. W sekundę znalazła się przed zasnutym plamami zakłóceń ekranem, chłonąc przerażonym wzrokiem tablicę wskaźników neuraksa.

Sygnalizator alarmowy układu zwrotnego jarzył się ostrym,



szkarłatnym światłem. Pola projekcyjne kory mózgowej ludzi, którzy wyruszyli w marsjańską pustynię, pracowały bez udziału ośrodków koordynujących. Świadczył o tym charakter krążących w ich organizmach bioprądów, przekazywanych za pośrednictwem wzmacniaczy przez układ zwrotny neuraksa. Niektóre centrale tego typu były wyposażone w dodatkowe linie, połączone z zainstalowanymi w skafandrach aparatami ratowniczymi – zbiorniczkami gazów pobudzających serce i oddech, automatycznymi strzykawkami zawierającymi glukozę oraz surowice. Dawало to możliwość interweniowania na odległość w razie wypadku lub zagrożenia, zasygnalizowania lubie baze. Takie wyposażenie skafandrów ograniczało jednak znacznie swobodę ruchów, co w niektórych wypadkach mogło powodować dodatkowe niebezpieczeństwa. Poza tym uczestników wypraw działających w warunkach trującej atmosfery obowiązywała zasada redukcji do minimum ekwipunku osobistego na korzyść zapasów tlenu. Tak więc skafandry, w których trójka badaczy wyruszyła na rozpoznanie obiektów wzniesionych tutaj przez pozaziemską cywilizację, nie były wyposażone w tę aparaturę – jak ją czasami nazywano – reanimacyjną.

Z wysiłkiem oderwała wzrok od szkarłatnego oka i spojrzała na zegarek. Spała półtorej godziny. Sygnał alarmowy mógł się pojawić przed chwilą, mógł jednak płonąć od kilkudziesięciu minut. W takim razie...

Jej towarzysze żyli. Gdyby nastąpiło całkowite zerwanie emisji bioprądów, odezwałby się. inny, sąsiedni czujnik, połączony z sygnałem akustycznym. Lena zawisła nieprzytomnym spojrzeniem na jego fioletowej tarczy. Może zabyłśnie w tej właśnie chwili... może za kilka sekund... za minutę...

Szybka czujnika pozostała ciemna. W kabinie panowała niczym nie zmacona cisza. Gdzieś w jednostajnym bezkresie czerwonej pustyni Ann, Piotr i Andrzej znajdo" wali się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Żyli. Jeszcze żyli. Ich świadomość przestała porządkować bodźce odbierane z zewnątrz, koordynować je, przekazywać ośrodkom ruchowym.

Byli nieprzytomni.

Nagle coś ją uderzyło. Powoli, z niedowierzaniem przeniosła spojrzenie na płonący sygnał alarmu. To było złudzenie. Mimo wszystko cofnęła się i zmrużyła powieki. Dostrzegła znowu. Odwróciła twarz i zamknęła oczy. Po dobrej chwili ponownie spojrzała na pulpit. Teraz była już pewna. W głębi gorejącej czerwieni pulsował zielony refleks. Mogło to znaczyć tylko jedno. Neuraks otrzymywał normalne "zdrowe" impulsy zwrotne od Thorson, Pottona lub Batuzowa. Na łagodne szmaragdowe światło informujące bazę, że wszystko jest w porządku, nakładał się ostry szkarłat alarmu.

– Kto? Który z nich? Może ktoś jeden tylko uległ wypadkowi? Może tylko jeden ocalał? Musieli się rozdzielić. Teraz neuraks sygnalizował zanik świadomości tego, który poszedł sam. A może pozostałej pary?

W pierwszym odruchu rzuciła się do pulpitu centralki komunikacyjnej. Dać znać Ziemi! Gorączkowo pochwyciła mikrofon, sięgając drugą ręką do przełącznika wywoławczego kodu. Zawadziła o gałkę odbiornika kontrolnego, którego ekran rozjarzył się natychmiast ostrym obrazem. Ziemia nadawała reportaż z pochodzenia karnawałowego w Rio de Janeiro. Z ogólnej panoramy gigantycznego kalejdoskopu, poruszającego się w deszczu kolorowych ogni sztucznych, kamera przechodziła na fantazyjne pojazdy, wyłuskiwała olśniewające stroje, roześmiane twarze...

Trwała bez ruchu, pochylona, z ręką wyciągniętą w stronę przełącznika. Wreszcie wyprostowała się powoli. Odruchowo zgasiła odbiornik. Cóż oni mogą zrobić... Zaalarmuje tylko znowu cały świat, wszystkich bliskich, ojca...

Zapadał wieczór. Dochodziła dziewiąta miejscowego czasu. Wyruszyli o szóstej rano. Jeżeli nie zdążyli wrócić do komara przed zachodem słońca... Komar miał bardzo małe rezerwy energetyczne, wyposażono go natomiast w wysoko wydajne baterie słoneczne. Jeżeli nie zdążyli, to pół godziny temu zaczęło im brakować tlenu. Ogromnym wysiłkiem woli zebrała myśli. Trudno to było nazwać zastanawianiem się, nie mogła w tej sytuacji zrobić nic innego. Po prostu przepowiedziała sobie

kolejność czynności. Po chwili wróciła do pulpitu i zdecydowanym ruchem zamknęła jeden po drugim miksery centrali komunikacyjnej. Ich nadajnik przeszedł automatycznie na sygnał namiarowy rakiety. Gdyby ktoś z Ziemi próbował się teraz połączyć z Kopernikiem, ten sygnał powie mu, że załoga śpi lub pracuje poza statkiem.

Szybkimi, precyzyjnymi ruchami wciągała skafander. Odrzuciła całe dodatkowe wyposażenie, poza zapasowym ogniwem i silną elektryczną latarką. Zamiast dwóch, założyła na aluminiowy stelaż cztery butle z tlenem. Po chwili zastanowienia dodała jeszcze dwie, mocując je z przodu skafandra, na skrzyżowanych pasach wykonanych z włókna azbestowego.

Obrzuciła ostatnim spojrzeniem wnętrze kabiny. Sygnały kontaktowe milczały. Bezcieniowe lampy oblewały ściany matowym światłem. Miękkie linie foteli kusily wizją sjesty, odpoczynku, ciekawej lektury. Dyskretny puls zegara neutronowego odmierzał czas. Jeszcze nigdy wnętrze rakiety nie wydało jej się tak zaciszne, tak bardzo godne tego, aby je nazwać domem.

Ssawki klapy przylgnęły do metalowej futryny. Nad włazem zapłonęło światło. Słuchawki w hełmie zadrżały, przenosząc syk wrywającego się z oczyszczaczy gazu. Automat sprawdził szczelność skafandra i zamknął dopływ tlenu do śluzy. Nad włazem, pod czerwoną lampką zaświecił się zielony trójkąt. Równocześnie mikrofon pochwycił przeciągły chrobot rozsuwanych płyt helokoksowych. "Przed startem – pomyślała – trzeba będzie oczyścić mechanizm".

Szła z trudem. Buty grzęzły w mialkim pyle, cztery dodatkowe butle obciągały niemiłosiernie ramiona; pas, do którego były przymocowane, zwinął się na plecach i boleśnie uwierał. Białe światelko pozycyjne statku dawno już przesłoniły kopulaste wierzchołki wydm. Zapomniała założyć rakiety piaskowe, kiedy się zorientowała, za późno już było wracać. Co kilkadziesiąt kroków sprawdzała na kompasie radiowym kierunek. Trzydzieści kilometrów... Z wysiłkiem odrzuciła tę powracającą natrętnie myśl. Do oporu otworzyła regulatory

wzmacniaczy – mikrofonu zewnętrznego i odbiornika. Chrząst piasku pod nogami wzmógł się, każdy krok grzmiał w słuchawkach dudniącym trzaskiem. Nagle dźwięk uległ zmianie. Wyszła na szeroką łachę żwiru. Odetchnęła z ulgą. Nogi przestały zapadać się po kostki w pyłe, zelżał piekący ciężar butli. Po kilkudziesięciu metrach żwir się skończył. Tym trudniej było teraz iść dalej. Nie spoglądała już na zegarek. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz sprawdziła kierunek marszu. Przez zwielokrotniony poziomem odbioru łoskot kroków przebijało bicie serca. Łomot w skroniach przeszedł w ciągłe, gorączkowe dudnienie. W oczach pojawiły się złote igły, na tle ciemnofioletowych zboczy zaczynały wirować płyty wodnistej mgły.

Nagle oprzytomniała, skupiając całą uwagę na głosach, odzywających się w słuchawkach. W przelewającym się jazgocie zakłóceń, trzaskach i dudnieniu, zabrzmiało coś...

– Andrzej! – krzyknęła rozpaczliwie, głośno. – Andrzej! – Szarpała gorączkowo regulator wzmacniacza, nastawionego od dawna na maksymalny odbiór. Uświadomiła to sobie po dłuższej chwili. Zastygła w bezruchu, wsłuchana w chaos dźwięków. Wreszcie wyłowiła – tak jej się zdawało – słowo: "idę". Pochyliła się, splotła ręce na plecach, pod butlami i zaczęła biec. Pojemniki skakały na pasach, kując w łopatki i kręgosłup, każdy krok ściągał ją gwałtownym szarpnięciem do ziemi, utrzymywanie tempa stało się fizyczną niemożliwością, zawory butli tlenowej ledwo nadążały za płytkim, gorączkowym oddechem. Pociemniało jej w oczach, nie myślała już o niczym, przestała się wsłuchiwać w charkot głośników. Jeszcze pięć kroków, jeszcze pięć, jeszcze pięć... Nagle szpic jej buta ugrzązł w miąższym, niemal lepkiem pyłe, runęła gwałtownie do przodu, nie zdążyła nawet przenieść rąk spod butli, żeby osłabić upadek.

Minęło kilkadziesiąt sekund, zanim odzyskała przytomność i otworzyła oczy. Złote igły i przesypujące się płatki ustąpiły miejsca przesłaniającej wszystko mgłę.

– Pójdiesz. Właśnie że pójdiesz... – niespodziewanie czysty głos Andrzeja zabrzmiał jak echo jej własnych myśli. Zerwała

się gwałtownie.

– Andrzej! Andrzej!

Wydało jej się, że cała pustynia powtarza jej krzyk, że zбочa wydm. podają go sobie jedno drugiemu dalej i dalej, że jeżeli gdzieś tam w tej czerwonej głuszy jest żywy człowiek, to musi, po prostu musi usłyszeć i odpowiedzieć. Zakłócenia, trzaski, dudnienie zwały się teraz w jedno dalekie, szumiące tło.

– Wstań, mówię ci, wstań. Nieprawda, nic nie słyszysz... to dlatego, że nie chce ci się wstać...

Włosy zjeżyły się jej na głowie. Zrozumiała, że mówi do siebie. Jest blisko. "Ustąp" – przemówiła błagalnie, przecierając rękawicą szybę hełmu. Na próżno. Spoza białej, wirującej leniwie mgły, ukazywały się jedynie rozmazane kontury wydm. Wytrzeszczyła oczy. Pojęła nagle, że noc jest bezchmurna, marsjańska noc bez rosy i mgły, że to tylko zmęczenie...

– Andrzej – odezwała się nieoczekiwanie dla samej siebie spokojnym, opanowanym głosem. – To ja, Lena, mówię do ciebie. Wysłałam z rakiety, jestem blisko.

Odpowiedzią był słaby, głuchy kaszel. "Jeżeli się natychmiast nie uspokoję – pomyślała – zginiemy oboje". Kaszel w słuchawkach przechodził w krótkie, urywane chrapnięcia.

– Słuchaj – powiedziała – słuchaj. Możesz nie wierzyć, że słyszysz mój głos. Zgoda. Ale umówmy się – nawet jeśli jestem tylko twoim majaczeniem, poświęć mi trzydzieści sekund uwagi. Trzydzieści sekund. Dobrze?

– Uparta... – wycharczał głośnik. – Czego chcesz?

– Błagam cię, wyłącz fonię i przejdź na namiar. Słyszysz? Wyłącz fonię i przejdź na namiar. Czekam.

Zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, pustynia rysowała się przed nią ostrymi granatowymi konturami łagodnych półkoli, spływających w szeroką czarną perspektywę. Pod głowicą skafandra płonęła mała tarcza odbiornika optycznego. To urządzenie, działające na zasadzie radaru, wchodziło w skład ekwipunku każdego ubioru próżniowego. Używano go zazwyczaj w czasie lotu, kiedy zachodziła konieczność opuszczenia kabiny dla dokonania jakiejś kontroli lub

pomiarów. Strumienie cząstek radioaktywnych tryskające z dysz silników atomowych także i na biegu jałowym uniemożliwiały wtedy normalną łączność radiową. Niejeden kosmonauta zawdzięczał życie temu mikroskopijnemu nadajnikowi, który w każdej chwili informował pozostałych członków załogi, gdzie znajduje się jego właściciel. Nie odrywając wzroku od maleńkiego ekranu, ruszyła wolno przed siebie. Po chwili przyspieszyła. Ciemna nitka wiodła prosto jak strzelił na południe. Nagle zachybotła. Znikła na ułamek sekundy, rozplynęła się w nikłym blasku ekranu. Pojawiła się znowu, przerywana, załamana jak w pryzmacie. Lena pochyliła głowę. Nitka wyprostowała się, rozrosła. Powoli, usiłując opanować drżenie rąk, zapaliła reflektor. Światło rozprysło się jak kula rtęci na szerokich klamrach i kopule hełmu. Sześć kroków dalej, w piaszczystym siodełku między wydrami leżał Andrzej. Nagle zmartwiała. W pierwszym odruchu opuściła bezwładnie ręce. Biel skafandra Batuzowa rozstępowała się szeroką wyrwą, biegnącą od pasa do prawego barku. Obok hełmu czerniał na piasku wylot zerwanego przewodu tlenowego.

Przez następne minuty działała jak w transie. Jeden rzut oka na zegar przekonał ją, że w butlach Andrzeja nie ma już ani milimetra tlenu. Precyzyjnymi ruchami, jak w czasie ćwiczeń, zmieniła butle i podłączyła zerwany przewód do mechanizmu przepustnicy. Zwiększając powoli dopływ tlenu, miarowo uciskała jego klatkę piersiową. W jej dłoni błysnęła strzykawka automatyczna. Pierwsza osłona chemiczna. Wstrząs – jeden, drugi – aż drgnął i poruszył powiekami. Zastryk podtrzymujący serce. Seria wstrząsów. Poskutkowało. Stopniowo zaczynał zdradzać oznaki życia. Przyszły gwałtowne torsje. Każde otwarcie ust groziło zaczerpnięciem nowych haustów trującej atmosfery. Targnęła język taśmy izolacyjnej sterczący z pakietu ratunkowego. Powoli, z chirurgiczną precyzją ściągnęła brzegi rozdarcia. Sprawdziła izolację niklowej kryzy hełmu. Teraz dopiero zrzuciła z ramion pas podtrzymujący dodatkowe butle z tlenem. Zdjęła ze stelaża drugą pustą butlę, założyła pełną. Przez chwilę obserwowała

leżącego. Jego pierś unosiła się w krótkim jeszcze, ale już miarowym rytmie. Był uratowany.

Kontury wydm zmieszały się nagle z rozgwieżdżonym niebem, zafalowały, po czym podzieliły na wielkie, wirujące koła. Każde z nich gasło powoli w przestrzeni, rozdrabniając się na zanikające pierścienie, jak woda, w którą rzucono kamień

Ocknęła się wreszcie, zbudzona jakimś niewyraźnym, odległym głosem. Mruknęła niechętnie. Wydało jej się, że jest w ośrodku, na Ziemi i że ktoś wzywa ją do pracy w momencie najmniej do tego odpowiednim.

– Leno – usłyszała znowu. Oprzytomniała. W jednej chwili powróciła świadomość miejsca, w jakim się znajduje, i okoliczności, które ją tutaj sprowadziły. Uniosła się szybko na łokciach. Batuzow najwyraźniej przychodził do siebie. Sam wyłączył namiar, przechodząc na bezpośrednią łączność. Poczula jego rękę na ramieniu. Nagle palce zacisnęły się kurczowo.

– Słuchaj... – wykrztusił – oni... – głos uwiązł mu w gardle. Lena zerwała się na równe nogi. Ann i Piotr także nie mieli już tlenu. Nie mieli go od kilkunastu co najmniej minut...

– Gdzie oni są?!

– Na dole – Andrzej z wysiłkiem oderwał rękę od jej ramienia i wskazał zagłębienie ze spiczastą wieżyczką, zamykającą wejście do podziemi. – Tam jest ich baza...

– Dlaczego nie poszedłeś z nimi? Jego oczy rozszerzyły się nagle.

– Z kim? – krzyknął prawie. – Z kim miałem pójść?

– Jak to...? – Lenie zdawało się, że ponownie traci przytomność – z Ann i Piotrem...

– Z Ann i Piotrem? – powtórzył jak automat. – Z Ann i Piotrem – mruknął raz jeszcze po chwili. Opuścił głowę. Obserwowała go w milczeniu, nic nie rozumiejąc.

– Ja myślałem o nich... – odezwał się wreszcie półgłosem.

– O kim?

– No, o nich... Oni tam są, rozumiesz? Na dole, w bazie. Jeden z nich do mnie strzelił... – mimowolnym gestem musnął swój skafander w miejscu, gdzie pod przezroczystą taśmą

izolacyjną widniała wąska szczelina o czarnych, jakby przypalonych brzegach.

– Niepotrzebnie marnujesz tlen... – Ann obserwowała Pottona siedząc bez ruchu w zagłębieniu korytarza, oparta plecami o gładką, matową ścianę. Nie odpowiedział.

Od kilkudziesięciu minut krążył wzdłuż ścian niedużej komory i jej przedsionka, badając skrupulatnie każde załamane muru, każdą najdrobniejszą nierówność, nawet miejsca, na które padały refleksy świetlne, kiedy po kolejnych powrotach w pobliże małego pulpitu odsłaniała się nieprzenikliwa ściana, ukazując gorejące trzewia stosu. Osobliwa kurtyna to zapadała, to pierzchała bezgłośnie, przestali już niemal reagować na potworny biały blask, przelewający się nieustannie grzmot przerodził się w głuchą mgłę akustyczną, przez którą ich głosy torowały sobie drogę z największym trudem.

Przez pierwszy kwadrans, od momentu, kiedy przerwał rozmowę i przystąpił do poszukiwań, obserwowała go z nadzieją, wierząc, że po którymś jego kolejnym ruchu u wylotu korytarza ukaże się zbawczy walec windy.

Potem podniecenie minęło.

Piotr doszedł właśnie do krawędzi i stanął. Nie po raz pierwszy próbował odtworzyć w myślach sytuację sprzed godziny, kiedy Batuzow jakimś mimowolnym gestem wywołał, wyczarował z litej ściany przezroczystą kabinę.

– Pamiętasz bajkę o sezamie? Spojrzał na nią rozdrażniony.

– Znaleźliśmy się w sytuacji złego brata Ali Baby, który zapomniał zaklęcia. Zaraz wrócą zbójcy i...

– Sezamie, otwórz się! – zawołał półserio, tak jej się przynajmniej wydało. – Sezamie... – mruknął. – Co on wtedy zrobił? Jak to było...?

– Zatrzymał się – powiedziała powoli – pochylił i wtedy to przyleciało... – Ann podniosła się. Stała tuż za nim. Delikatnym, kobiecym gestem dotknęła jego ramienia.

– Zostaw mnie! – syknął.

Cofnęła rękę. – Nie złość się – powiedziała cicho. – W naszej sytuacji...



– Nie przyjmuję tej sytuacji do wiadomości, rozumiesz? Nie odpowiada mi! – urwał nagle. Uniósł rękę i znieruchomiał, wpatrując się w przeciwległą ścianę wąskiej już w tym miejscu studni. Po chwili sięgnął do hełmu. Wyprostował się. Kiedy pierwszy raz odsłonił się ekran ochraniający stos, zalewając pomieszczenie upiornym blaskiem, zgasili reflektory. Nawet kiedy stos był zakryty, ściany dawały dość światła.

Wąski promień lampy czołowej strzelił w głąb studni, wymacał w murze, dokładnie naprzeciw miejsca, w którym stali, niewielką czarną wklęsłość. W tym samym ułamku sekundy rozległo się upragnione brzęczenie. Bezpośrednio pod zagłębieniem odsłoniła się nisza. Już w powietrzu, jak gdyby sunąc torem niewidocznych przewodnic, kabina odwróciła się i przybrała pozycję pionową. Śledzili jej ewolucje jak urzeczeni, nie śmiejąc jeszcze uwierzyć, nie dowierzając własnym oczom.

– Po prostu fotokomórka. Najzwyczajniejsza w świecie – mówił Piotr, kiedy sunęli już bezszelestnie w górę mijając czarne wyloty korytarzy. – Ciężki idiota – odetchnął głęboko – powinienem się być od razu domyślić! Andrzej szedł wtedy pierwszy. Światło jego lampy czołowej padło na przeciwległą ścianę i uruchomiło automat. Bo to jest automat. Ile razy nadchodzi ktoś z głębi korytarza – widać używają lamp świecących jak nasze – i oświetli fotokomórkę, winda samoczynnie podjeżdża pod próg. Zobacz – mijali właśnie przecięty pionową stromizną jak nożem profil chodnika i Andrzej wskazywał miejsce stanowiące jak gdyby jego rzut na przeciwległą ścianę. Widniało tam płytkie zagłębienie ze sterczącym pośrodku czarnym, owalnym kształtem, przypominającym jajowaty wyrostek. Wyglądało tak samo, jak urządzenie położone vis a vis korytarzyka wiodącego do komory stosu, które wyłuskał przed chwilą światłem swojego reflektora.

Kabina zwolniła łagodnie i zatrzymała się. Zawisli w przezroczystej skrzyni mniej więcej w połowie wysokości studni.

– Andrzej został wyżej – powiedziała Lena, zadzierając głowę.

– Dobrze i to – mruknął. Z uwagą badał ściany korytarza, jakby nieco wyższego od tego, którym dostali się rano do podziemi. Tutaj mury nie wydzielają żadnego światła, wyglądały jak powleczone sadzą. Nikły strumień reflektora ginał w głębi.

Czekali kilka minut w nadziei, że winda ruszy i uniesie ich na wyższe piętra.

– Idziemy – powiedział wreszcie Piotr. Lena odruchowo spojrzała na ciśnieniomierz. Jeszcze dwadzieścia minut...

Ledwie przestąpili próg korytarza, winda zniknęła, jak gdyby roztopiając się w poświacie padającej ze ścian studni. Dudnienie pracującego w podziemiach stosu dochodziło tutaj w postaci stłumionych, wibrujących pomruków. Szli milcząc, prowadzeni przez wąską jasną smugę tonącą w cofającej się przed nimi mrocznej głębi. Chropowata faktura czarnych ścian pochłaniała światło, czyniąc korytarz obszerniejszym niż był naprawdę.

Przebywszy mniej więcej dwieście metrów stanęli u progu okrągłej komory przypominającej wewnątrz romańskiej rotundy. Ze stropu zbiegały trzy skośne belki, podtrzymujące owalny kształt. Skierowali w tę stronę światło reflektorów.

Tuż nad ich głowami rozjarzył się model globu ziemskiego. Nie mogło być wątpliwości. Brzegi kontynentów odcinały się ostro od zieleni wód. Łądy były podzielone na nieregularne, różnobarwne pola.

Andrzej wspiął się na palce i dotknął kuli. Gdzieś w głębi murów odezwał się natychmiast głuchy stuk, jakby zapadającej grodzi. Cofnęli się odruchowo. W tym momencie spod stropu dobiegło ostrzegawcze brzęczenie i kula zaczęła się powoli obracać. Równocześnie wznosiła się coraz wyżej, sunąc bezgłośnie po trzech skośnych zastrzałach jak po trzech ramionach ostrosłupa. Wrażenie było niesamowite. Wydawało się, że belki przechodzą przez kulę, tnąc jej masę jak ciasto. Owe cięcia nie pozostawiały jednak żadnych śladów. Nagle strop rotundy pękł na dwoje, opadły dwa prostokątne skrzydła, kula jakby zafalowała, następnie wpłynęła w powstały otwór. Skrzydła zwarły się miękko, nie pozostawiając po sobie

najmniejszej szczeliny czy rysy.

– Ziemia... – szepnęła wreszcie Ann. Zaschło jej w gardle. Chciała powiedzieć, że ich domysły były słuszne, że przybysze, twórcy tych wszystkich konstrukcji istotnie musieli przeprowadzać badania ich planety – ale nie mogła wykrztusić słowa. Piotr pchnął ją delikatnie do przodu i bez słowa ruszył dalej, zagłębiając się w czeluści korytarza, którego wlot leżał w przedłużeniu chodnika wiodącego od studni.

Po kilku krokach stanął nagle. Światło ich reflektorów odbiło się od pionowej przegrody.

– Uhm... – mruknął, ruszając zdecydowanie w stronę ściany, która natychmiast zaczęła sunąć im naprzeciw.

– Chodź – powiedział, wnikając w przegrodę – To samo co tam, na górze... – był już niewidoczny. Ann podążyła szybko za nim. Mimo woli przymknęła oczy, napierając ciałem na przeszkodę. Przeszła jeszcze dwa kroki, podniosła powieki i stanęła jak wryta. Pół kroku przed nią widniały plecy Piotra. Dalej ściany korytarza rozbiegały się we wszystkich kierunkach, tworząc graniastą perspektywę. W głębi pełgała tysiącami barwnych punktów świetlnych, wijącymi się płonącymi nitkami i wstęgami, ogromna hala. Jej wnętrze mogłoby chyba pomieścić spore ziemskie osiedle. Ściany tonęły w przepastnych cieniach, strop był niewidoczny.

Tu i ówdzie przepływały niewielkie, jakby podświetlone obłoki, tworząc tło, na którym rysowały się gigantyczne konstrukcje, gniazda potężnych przewodów, kratownice i wielopiętrowe spirale. Wokół ich ogromnych, czarnych ramion wiły się, wirowały łagodnie świetliste smugi, taśmy, jaśniejące pastelowymi barwami serpentyny. Rozpędzone kształty konstrukcji to strzelały przez nie jak czarne promienie, to znów opadały gdzieś w głąb, ginąc jak gdyby pod taflą olbrzymiego jeziora, odbijającego światła wielkiej metropolii. Wszystko to działo się w niczym nie zmaconej ciszy. Dudnienie stosu pozostało za ową nieprzenikliwą dla oczu zasłoną.

– Baza... – szepnęła wreszcie Ann. Piotr drgnął i bezwiednie podciągnął pasy, podtrzymujące przetwornicę. Nie oglądając się postąpił kilka kroków do przodu.

Z głębi, przebijając w zastygłym locie posadzkę nawy, wybiegał śmiałą hiperbolą rozszerzający się ku górze wspornik, nad którym majaczyły splecione kontury potężnego urządzenia. Wzdłuż i wokół smukłych przewodów biegły świetliste smugi, to okrążając je łagodnym ślimakiem, to przenikając, to. znowu wpełzając w ich wnętrza. aby pastelowymi ścieżkami rysować w przestrzeni proste, koliste i załamane krawędzie. We wnętrzach niektórych rur i przewodnic płynęły błyszczące, paciorkowate szeregi, przypominające pęcherzyki gazu w szklanych naczyniach, wypełnionych cieczą. Wśród nich falowały tężowe wstążki, pozbawione widocznej dla oka osłony. Przypominały pojedyncze promienie światła rozszczepione nie przez pryzmat, a bryłę o podobnych właściwościach optycznych, ale pozbawioną w swej konstrukcji linii prostych.

W milczeniu zeszedli kilka stopni, dzielących salę od korytarza i podeszli do podnóża przezroczystej, rozdwojonej bani, w której wnętrzu widniała świecąca drabinka. Kiedy się zbliżali, blask bijący od jej szczebli topniał powoli, wreszcie, kiedy byli już całkiem blisko, zagaśł. Ścianę konstrukcji pokrywała matowa, gąbczasta masa. Kiedy odeszli kilka kroków, stała się znowu przezroczysta. Świetlista drabinka ginęła gdzieś wysoko pod stropem. Posunęli się jeszcze kilka kroków do przodu i ujrzeli potrójny rząd ekranów. Osadzone w ramach, sączących matowe światła, biegły łagodnym, trzypiętrowym łukiem od jednej bocznej ściany nawy do drugiej. Mniej więcej w środku hali rozstępowały się, pozostawiając wąskie przejście.

Na pierwszy rzut oka tarcze ekranów wydały się ciemne, wygaszone, puste. Dopiero po chwili dostrzegli, że na każdym z nich widnieje punkt świetlny. Ogniki były rozmieszczone nieregularnie, niekiedy błyszcząły pośrodku tarczy, gdzie indziej w rogach lub u dołu. Natomiast ekrany górnego rzędu przecinały jaskrawo świecące linie.

Pod tym całym trójkątem ciągnął się szeroki pulpit, kłujący oczy niezliczoną ilością mikroskopijnych świetlików. Żadnych przycisków, mikserów, przełączników – nic, co człowiek przywykł odnajdywać w dyspozytorniach, całkowicie nawet zautomatyzowanych agregatów, Dolną krawędź pulpitu

stanowił rząd niewielkich, kwadratowych wskaźników o lustrzanych powierzchniach. Także i w ich ekranikach w nieskończenie krótkich odstępach czasu pojawiały się i gasły świetliste refleksy.

Ann odeszła kilka kroków w prawo, wymijając podstawę hiperbolicznego wspornika i skierowała się ku środkowi hali, w stronę przejścia w półkolu ekranów. Wpatrywała się to w ekrany, to w lusterka wskaźników, pochylała, wspinała na palce, zaferowana i podniecona. Podszedł do niej wolno, jakby niechętnie.

– Masz wątpliwości? – zakpił.

– Nie, tylko... – zawahała się.

– Nie? To dobrze. To bardzo dobrze.

– Poczekaj. Chodzi nie o to, czego nie rozumiemy, ale o to, co powinniśmy zrozumieć. To tutaj, wszystko..

– To jest po prostu automatyczna rozdzielnia – przerwał. – Nawet nie sterownia. Sterownia, dyspozytornia, powinna być znacznie mniejsza. Sygnały muszą tam przychodzić w bez porównania bardziej syntetycznej formie. Inaczej nikt nie byłby w stanie ogarnąć tego wszystkiego równocześnie – zatoczył ręką szeroki łuk.

– Tak, oczywiście – przytaknęła, nie odrywając wzroku od światełek zapalających się i gasnących na matowych tarczach. – Myślę – dodała po chwili – że pospieszyliśmy się trochę z charakterystyką ich struktury biologicznej. To znaczy, mają na pewno nogi i są mniej więcej naszego wzrostu. Używają lamp tak jak my. Ale system nerwowy, a w każdym razie system informacyjny, i muszą mieć nieco inny. Znacznie bardziej selektywny. Spójrz na te ekrany i wskaźniki. Co my odbieramy? Nieprzeliczone krocie światełek. Chaos. Dla nich każdy z tych migocących punktów – to informacja.

– Albo element informacji. Niewykluczone, że to wszystko – wskazał perspektywę hali – to tylko wnętrze jakiejś maszyny myślącej...

– Nie. Być może, że do dyspozytorni trafiają już informacje wyselekcjonowane, zharmonizowane w wiązki tematyczne. Ale te procesy, które toczą się tutaj, są także kontrolowane przez

ludzi... to znaczy przez nich – poprawiła się. – Inaczej nie byłoby ekranów.

– Kto wie, czy nie pomagają sobie syntetyzatorami, powiedzmy – fotoneuronicznymi. Teoretycznie można wyposażyć w coś takiego każde żyjące stworzenie; O ile wiem, u nas także trwają próby sprzężenia takich aparatów z mózgiem. Rzecz sprowadza się w końcu do przyspieszenia cyrkulacji biopłynów i wprowadzenia ich w odpowiednio zestrojone pola elektromagnetyczne. Zresztą to twoja specjalność. – Spojrzał na zegarek i podszedł do pierwszego z brzegu ekranu, którego tarczę przecinała świetlista linia biegnąca niemal równolegle do przekątnej z jednym niewielkim wybrzuszeniem w prawym górnym rogu. – Żadnych symboli, żadnych liczb, skrótów... nic. Jasne – mruknął po chwili – od razu zaczęli liczyć systemem liniowym. Pewnie w ogóle nie znają liczb.

Ann pokręciła głową.

– Cywilizacja naszego typu – powiedziała z przekonaniem – musi zaczynać od arytmetyki. Kiedyś ktoś po raz pierwszy użył dwóch kresek na oznaczenie dwóch zwierząt, trzech – dla trzech kroków, czterech – dla czterech grotów krzemianych – i tak dalej. A cokolwiek byśmy nie powiedzieli – to jest cywilizacja naszego typu. Chociażby ich stosunki społeczne...

– Cóż możesz wiedzieć o ich społeczeństwie?

– No cóż... tylko tyle, że jest idealnie zintegrowane. Nie da się przedsięwziąć takich wypraw, prowadzić takich badań i wznosić tego typu budowli, mając na macierzystej planecie jakieś nieuregulowane konflikty. Chodzi przede wszystkim o naukę. Technika, aby mogła stworzyć coś takiego, musi się opierać o kompleksowy, precyzyjny system informacyjny, obejmujący całą rasę.

Mówiąc to szła powoli wzdłuż pulpitu, obserwując grę refleksów w kwadratowych lusterkach. Nagle przystanęła i pochyliła się nisko. – Nie dotykaj – powiedział szybko Potton. Ann wstawiała już jednak, trzymając przed sobą ostrożnie dwie jak gdyby. chusty, z wiotkiej, mięsistej materii.

Podążyła jedną Piotrowi, który odpowiedział gniewnym spojrzeniem, a drugą rozpostarła przed sobą. Dolna krawędź

materii opadła nisko, do kolan.

To nie była chusta. Ann trzymała przed sobą maskę, maskę jakby skrojoną dla człowieka. Spod półokrągłej, przezroczystej czaszy szerokimi fałdami spływała ciemna, gąbczasta tkanina z włókien syntetycznych, tworząc rodzaj wysokiego kołnierza, kryzy. Szczyt kopułki przechodził w krótki, pomarańczowy ryj, zakończony okrągłą płaską tarczą przypominającą kolorowy wiatraczek lub rysunek wyjęty z kalejdoskopu.

– To najważniejsze odkrycie – mówiła z radością w głosie – jakiego dokonaliśmy tutaj. To jest... to tak, jakbyśmy zobaczyli ich samych, ich twarze.

– Zabraniam ci dotykać czegokolwiek bez mojego pozwolenia – odparł ostrym tonem. – Skąd wiesz, jakie stosują zabezpieczenia. Poza tym to może być radioaktywne.

Zamilkła, urażona. Wiedział tak dobrze jak i ona, że ich czujniki zasygnalizowałyby od razu wzmożoną radioaktywność, z jakiego źródła by nie pochodziła.

Potton stał bez ruchu, wpatrzony w przezroczystą głowicę. Przez ułamek sekundy wydało mu się, że dostrzega za szybą, na tle czarnej materii zarysy ust... brody... oczu... Powoli uniósł głowę. W głębi hali zamajaczyły nagle bezkonturowe postacie, sylwetki ludzi w okrągłych maskach zakończonych odwróconymi, tępyimi lejkami pomarańczowej barwy. Ludzi? Nie, to nie byli ludzie... Gdyby tak naprawdę stanęli przed nimi, co mieliby im do powiedzenia? Czy udałoby się wyczytać z ich oczu, widniejących za pobłyskującymi refleksami światła szybkości, jakie mają zamiary? Czy czują się tutaj gośćmi – czy gospodarzami? "Gośćmi" – pomyślał z gorzką ironią. Czy wznosi się takie konstrukcje i budowle tylko po to, by je zostawić w spadku gospodarzom? Czy nie na takim tylko ładzie, planecie, które obejmuje się w posiadanie...?

A oni sami? Jak przyjęliby ich wyjaśnienia, dlaczego budując w systemie słonecznym bazę dla badań Ziemi, nie nawiązali łączności z jej mieszkańcami? O ile, oczywiście, chcieliby coś wyjaśniać... Ile czasu musiałoby upłynąć, aby stopniała już nagromadzona nieufność? Czy zanimby się to stało, nie doszłoby do spięcia, chociażby niezawinionego przez żadną ze

stron? Spięcia, które mogło przynieść tylko jedno: nieodwracalną w skutkach katastrofę? Ta czarna tkanina miała w sobie coś złowróżbnego, okrutnego, jak niektóre maski w karnawałowym pochodzie.

– Kończy się tlen – burknął wreszcie, ruszając ciężkim krokiem w stronę środka nawy. Mijając naroże pulpitu, załamującego się w tym miejscu pod prostym kątem dla otwarcia przejścia do drugiej części hali, musnął go niechcący rękawicą. W ułamku sekundy morze światła przygasło, powietrze rozbrzmiało ostrzegawczym brzęczeniem. Następnie pojaśniało. Na ściany padł potężniejący z każdą sekundą blask. Pod stropem ukazała się płonąca kula, wielkości dużej piłki. Przetoczyła się łagodnie nad wielopiętrową konstrukcją dzieląc posadzkę na kręte, pokruszone odłamki wędrujące z upiornego dnia do głębokiego cienia i zawisała nad ich głowami, dotykając niemal górnego szeregu ekranów. Przypadli do ziemi, porażeni, kryjąc twarze w rękawicach, zresztą na próżno, gorejący blask przenikał wszystko, wydawało się, że każdy z otaczających ich przedmiotów płonie własnym ogniem.

Brzęczenie umilkło, zapanowała cisza. Trwali bez ruchu, tłumiąc oddech, niezdolni do żadnej myśli, próby ucieczki. Wreszcie Półtonowi wydało się, że blask przenikający przez rękawice staje się mniej jaskrawy. Jeszcze chwila i ostrożnie, bardzo powoli odjął ręce od hełmu. Nic się nie stało. Kula nie reagowała na ruch. Uniósł głowę. Natężenie światła topniało wyraźnie. Otworzył oczy. Nagle z przeciwnego, niewidocznego końca hali buchnął ogłuszający syk, wysoki, wibrujący jazgot. Jak gdyby w łonie ogromnego bloku utwardzonej stali powstał nagle monstrualny wir i darł na strzępy litą masę metalu. Ann jednym susem znalazła się obok Piotra i pochwyciła go kurczowo za ramię. Znajdowali się tuż pod boczną ścianą pulpitu w przejściu między trój rzędem ekranów. Półton. wciąż jeszcze nie śmiejąc podnieść wzroku, omiół spojrzeniem nie zbadaną przez nich połowę hali. Potworny hałas dobywał się gdzieś z ciemności, z boku przeciwległej ściany. Nie towarzyszyły mu jednak żadne zjawiska optyczne.

Nagle zmartwiało. Blask padający z kuli osłabł do tego stopnia,



że w dalekiej perspektywie wzrok rozróżniał już znowu krocie kolorowych światełek. Na ich tle, dokładnie naprzeciw przejścia zamajaczyła sylwetka... to przecież nie mógł być człowiek... Skądś, z daleka, dobiegł krzyk Ann. Coś mówiła, słowa tonęły w rozdzierającym powietrzu metalicznym syku. Kątem oka dostrzegł jakiś kształt, coś poruszyło się pod ich nogami. Piotr uskokczył błyskawicznie do tyłu, był to jednak tylko cień głowicy jego własnego skafandra. Odruchowo spojrział w górę, Wydzielająca teraz wiśniowe światło kula wisiała tuż nad ich głowami. W przeraźliwym, zgiełku łowił jakiś głos, słowa, miękkie, obco brzmiące dźwięki. Na próżno usiłował wyodrębnić jakieś zdanie, chociażby pojedyncze sylaby... Nie był nawet w stanie określić, czy to mówi kobieta, czy mężczyzna.

Wbił wzrok w miejsce, gdzie przed chwilą zamajaczył cień... sylwetka. Poruszył się znowu, wolno, jakby niepewnie. Wzdłuż ściany przesuwiał się niewielki, fosforyzujący obłok. Na jego tle obca sylwetka wyostrzyła się nagle. Zachowanie tej istoty wskazywało, że wie o ich obecności w hali. Świecący obłok odplynął już spoza niej, ale sylwetka pozostała, jej kontury rysowały się ostro, jak gdyby większe... W tej perspektywie mogło to znaczyć tylko jedno – ktoś szedł w ich stronę, zbliżał się...

Piotr szarpnął gorączkowo pasy, jednym rzutem skierował przed siebie ryj przetwornicy. Nie sprawdzając poziomu wylotu, nie celując, wcisnął zapłon ciągłego ognia i nacisnął spust. Atmosferę przeszły dwie najcieńsze, niewidoczne niemal szklane nitki. W chaosie zgrzytów i syku zabrzmiało coś jak daleki, słaby krzyk. Zanim ich oczy, porażone laserowym ogniem odzyskały zdolność widzenia, sylwetka znikła. Nagle nastąpiła cisza. Ściany, elementy konstrukcji dudniły jeszcze głuchym echem, jakby oddając nagromadzoną w każdym atomie energię drgań akustycznych.

Czekali minutę lub dwie. Ich nerwy i mięśnie, napięte do granic wytrzymałości tajały powoli. Wreszcie Piotr odetchnął głęboko.

– Chodź – nie poznał własnego głosu, który zabrzmiał jak

dalekie, spóźnione echo.

– Czy to był... – nie skończyła.

– Automat – odparł szybko.

– Automat... – powtórzyła cicho. Poczula strużki potu, spływającego spod kryzy hełmu. Szyba zaszała mgłą jak wtedy na pustyni, a może to jej oczy... Kolana ugięły się pod nią, wyciągnęła przed siebie ręce i całym ciałem naparła na płytę pulpitu. Usłyszała śpiewny, miękki głos. Jakby była jeszcze małą dziewczynką i ktoś jej coś tłumaczył, przekonywał, uspokajał. Ktoś bliski, może ojciec. Głos brzmiał tak młodo...

Poczula na ramieniu mocny chwyt, poprzez wszystkie warstwy skafandra wyczuła szorstkość rękawicy, oprzytomniała. Piotr był tuż obok, trzymał ją mocno prawą ręką. Nie patrzył jednak w jej stronę, stał bez ruchu z głową uniesioną do góry.

Kula znajdowała się nadal tuż nad nimi, wyglądało na to, że towarzyszy im, reagując na każde ich poruszenie. Jej przeraźliwe, gorejące światło dawno już złagodniało, sączyła teraz delikatny, pastelowy blask.

Kula mówiła. Przemawiała dziwnym, śpiewnym głosem mężczyzny. Wyrzucała z siebie metalicznie brzmiące sylaby, spółgłoski połączone wysoką, harmonijną kantyleną, jak gdyby ktoś po każdym ostrzejszym tonie potrącał delikatnie cienką, napiętą strunę. Wyteżali słuch próbując z tej półmowy półśpiewu wyluskać coś znajomego, słowo lub dźwięk tylko, który wzbudziłby jakieś echo w ich świadomości. Na próżno. Głos brzmiał uroczyście, było w nim coś dramatycznego, jak w tekstach antycznych tragedii lub wierszach wygłaszanych przez obcokrajowców, w nie znanym słuchaczom języku. Chwilami wznosił się, rozpadał na pasma drgań, jak gdyby ktoś trącał równocześnie kilka różnie nastrojonych kamertonów. Piotr uczył nagle, że ramię Ann wymyka się z jego uścisku, usiłował zewrzeć palce, ale z ogromnym zdziwieniem stwierdził, że ośwładła nim jakaś niemoc, zobaczył, że Ann osuwa się obok niego bezwładnie na posadzkę, i z wysiłkiem wznosił głowę. Kula przybladła jeszcze, oddaliła się, głos cichł powoli, zamierał, jeszcze jeden akord dźwięków, kilka słów, jeszcze

słowo, wreszcie rozległ się cichy brzęk, wytłumiony natychmiast i wszystko umilkło. W tym momencie poczuł pierwszy, bolesny atak duszności. Strzałka ciśnieniomierza jego butli tlenowych stała na zerze.

Sprężarki zawyły ostatni raz, zachłyśnięły się, nagi" zwolnione i z milknącym pomrukiem, zamarły. Wszystkie rezerwowe butle w zasobnikach komara, nabite tlenem z atmosfery, lśniły czystymi zaworami, gotowe do użytku. Trwało to długo, tutejsze powietrze jest niemal pozbawione tlenu, nieco wyższy procent utrzymuje się jedynie nad pasami zieleni w strefach podbiegunowych. Tam właśnie mieli lądować, inaczej w ogóle nie opłacałoby się instalować w pojazdach ciężkiej aparatury sprężarek. Agregaty zdały jednak egzamin także i tutaj, na pustyni. Mogli ruszać w drogę.

Żal jej było Andrzeja, który spał, rozciągnięty na tylnych fotelach. Zapadł w ten sen natychmiast, kiedy tylko udało im się dopaść komara. Normalna reakcja – po zatruciu i długotrwałym niedotlenieniu. Nie można było czekać, Ann i Piotr, jeżeli jeszcze żyli... wołała o tym nie myśleć.

Przygotowała dodatkowe posiłki dla nich obojga, sprawdziła zawory i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. Zamruczał gniewnie i machnął ręką, jakby spędzał muchę. Uśmiechnęła się mimo woli.

– Andrzeju – musisz to założyć – odruchowo wyciągnął ramiona odpychając hełm, który Lena próbowała założyć mu na głowę.

– Tak... tak... – mruczał, mocując nieporadnie głowicę do kryzy.

– Musimy iść... – na moment zastygł w bezruchu. – Iść? – Oprzytomniał. – Na dół, tam gdzie... Nie mamy broni – mruknął, na dobre rozbudzony.

– Broni? – Lena przestała wiązać butle i spojrzała na niego badawczo. – Co on?... Nagle zrozumiała.

– Piotr ma broń – powiedziała miękko. – Kiedy ich znajdziemy...

– Oczywiście – przerwał. Szybko odwrócił głowę. Precyzyjnymi ruchami sprawdzał swój próżniowy rynsztunek.

Od momentu ich powrotu do pojazdu, pozostawionego koło wyrzutni, minęło jedenaście minut. Andrzej czuł się już na tyle dobrze^ że mógł załadować sobie na plecy trzy dodatkowe butle, pozostawiając jedną Lenie. Błyskawicznie sprawdzili szczelność skafandrów i spuścili ściany komara. Po chwili brnęli już w czerwonym piachu, kierując się ku najbliższemu zagłębieniu ze spiczastą wieżyczką. Automatyczna kłapa zareagowała natychmiast. Lena, ponaglana przez Andrzeja, który zszedł pierwszy, starała się przemóc ciekawość i lęk, towarzyszący zagłębieniu się w nie znany sobie, podziemny labirynt.

– To złudzenie. Idź śmiało – powiedział, wnikając w litą, jak się zdawało, poprzeczną ścianę.

Winda pojawiła się natychmiast, zapraszając otwartym bokiem, przylegającym szczelnie do progu korytarza.

– Oni weszli pierwsi – tłumaczył, kiedy przelatywali wzdłuż pionowej gładzi. – Zanim zdążyłem coś zrobić, winda ruszyła. Zostałem sam... – zamilkł. Trudno to będzie opowiedzieć. Chyba że w obecności Ann i Piotra... żywych. Zacisnął szczęki. Jak dzieci – przeleciało mu przez myśl. Tak się właśnie zachowujemy. Jak małe dzieci. Nie przyznajemy sami przed sobą... och, oczywiście, zrobimy wszystko, żeby ich znaleźć. Ale przecież oni nie mają tlenu już od kilkudziesięciu minut. Jeżeli...

– I co zrobiłeś? – Głos Leny przywołał go do porządku. Zaczął opowiadać.

Nie przejął s[ą, kiedy Ann i Piotr, zamknięci w przezroczystej kabinie, zniknęli w głębi studni. Początkowo sytuacja wydawała mu się nawet zabawna. Czekał, oparty o krawędź korytarza, pewny, że tamci lada chwila powrócą. Obiecywał sobie przywitać ich żartobliwymi docinkami na temat par, które poszukują samotności w marsjańskich podziemiach. Przypomniawszy sobie jakąś starą fraszkę o zakochanych badaczach.

Niepokój przyszedł po kilkunastu minutach, kiedy wskazówka manometru tlenowego przesunęła się o jeden odcinek skali, a wielokrotnie ponawiane próby wywołania

drugiej kabiny windy nie dały żadnego rezultatu. Pochylny nad dudniącą głębią przepaści ostatni raz obrzucił wzrokiem zwartą caliznę pionowych ścian, kontury wylotu korytarza, po czym odwrócił się i z ciężkim sercem ruszył tą samą drogą, która doprowadziła ich tutaj z pustyni.

Znalazszy się w miejscu, gdzie wejście do podziemi zamykała spiczasta wieżyczka, przystanął. Nad głową miał jakby okrągłe okno, obrzeżony ciemną cembrowin włazu kawałek marsjańskiego nieba. Kiedy tylko przekroczył próg komory wejściowej, wieżyczka cofnęła się, przepłynęła tuż nad jego głową unoszona niewidzialną siłą, przyjmując w locie pozycję poziomą i zniknęła w ścianie. Jeżeli dalsze czekanie nad studnią, do której zjechali tamci, nie miało sensu, to tym bardziej nie warto było wychodzić na powierzchnię – Do tej komory – rozumował – trafię tak czy owak, kiedy zacznie brakować tlenu. Kilkadziesiąt metrów od zamkniętego wieżyczką zagłębienia stał komar ze sprężarkami i zbiornikami tlenu. Pozostając w podziemiach zyskiwał szansę przypadkowego trafienia na chodnik lub szyb, prowadzący do miejsca pobytu zaginionych.

Przed opuszczeniem komory spojrzął jeszcze raz w górę. Niebo miało barwę morza o zachodzie słońca. Granat, czerwień i grafit, rozcieńczone bladawą mgiełką tworzyły tło, na którym przesuwwały się niepodobne w niczym do ziemskich chmur, rudawe plamy. Prywatną namiętnością Andrzeja była speleologia. Każdy niemal urlop spędzał w górach środkowej Azji na myszkowaniu w skalnych rozpadlinach i wywierzyskach lub wielodniowych wyprawach w głąb bezwodnych jaskiń o kruchych ścianach. Znał dobrze smak ostatniego spojrzenia w jasny, zasnuty obłokami błękit, przed zjazdem w podziemia. To niebo nie budziło takich uczuć. Było obce. Żegnało się je bez żalu.

Po piętnastu minutach marszu drugą, nieznaną odnogą korytarza, wychodzącą z komory wejściowej dotarł do prostokątnej niszy o gładkich ścianach, zamkniętej czymś w rodzaju dwóch pustych boksów przedzielonych cienką, pionową grodzia. Korytarz kończył się tutaj, daremnie

opukiwał mury szukając ukrytych drzwi, które otwałyby dalszą drogę. Zanim zawrócił, postanowił wejść jeszcze do jednego z boksów. Zaledwie przekroczył próg – właściwie tam nie było progu – wąskiego, zamkniętego z trzech stron pomieszczenia, podłoga drgnęła, rozległo się znane, ostrzegawcze brzęczenie i cała skalna klatka ruszyła w dół. Jej ściany stały się natychmiast przezroczyste. Za przegrodą migwały uciekające w górę poprzeczne ścianki kabin sąsiedniego szybu. Wszystko to przypominało starą windę typu "paternoster".

Opowiadanie Andrzeja przerwało zatrzymanie się windy, którą zjeżdżał z Leną w głąb gigantycznej studni.

Osiągnęli już niemal jej dno, było to miejsce, gdzie Piotr i Ann toczyli walkę z czasem i zwątpieniem, usiłując przywołać kabinę, gdzie za krótkim przedsiönkiem znajdowała się zapadająca ściana, za którą płonął stos. Stali, podobnie jak tamci, porażeni okrutnym blaskiem, buchającym z jego obnażonych trzewi – krócej jednak, każda sekunda była na wagę złota, zmniejszała szansę ocalenia ludzi od dawna pozbawionych tlenu. Komora stosu nie miała odnóg ani zakamarków, nie można było nawet przypuścić, aby tutaj właśnie znaleźli zaginionych. Po chwili więc zawrócili. Ponieważ nie gasili swoich świateł czołowych, szklana kabina przyplęnęła natychmiast, jak tylko stanęli na progu pionowej ściany. Nie było żadnych śladów wskazujących na to, że Ann i Piotr dotarli do tego miejsca, ani też, tym bardziej, jak tragiczne chwile tutaj przeszli. Milcząc gonili wzrokiem śmigające teraz z kolei w dół wyloty korytarzy, unikali nawzajem swojego wzroku, aby nie wyczytać w nim ostatecznego zwątpienia w ocalenie towarzyszy.

– Dokąd dojechałeś tą windą? – drgnął, usłyszawszy jej głos. Tak, trzeba było mówić. Mówić jak najwięcej. Chociaż to, co miał do powiedzenia...

– Zatrzymała się po kilku minutach – zaczął szybko. – Korytarz, w który wszedłem, był tutaj szerszy, po kilku krokach wypłynęła mi naprzeciw ta optyczna ściana, czy też zasłona magnetyczna, taka sama jak tam, na górze... – zamilkł. Trzeba teraz będzie mówić o tym przed czym wzdragała się cała jego

świadomość, na wspomnienie czego teraz jeszcze przenikał go paraliżujący lęk.

Zaraz za ową ścianą, nieprzenikliwą jedynie dla oczu, korytarz przeszedł w rozszerzającą się, łagodnie opadającą pochylnię. Jeszcze kilkanaście kroków i stanął jak wryty. Wzrok nie był w stanie ogarnąć ogromu hali, jej boczne ściany uciekały poza obszar wypełniony pełganiem tysięcy kolorowych światel, perspektywa tonęła w nieodgadnionej głębi, za płataniną kratownic, wysięgników, przewodów, konstrukcji, oplecionych poświęcającymi serpentynami. Stał kilka minut, usiłując odnaleźć w tym widoku coś znajomego, odkryć jakąś prawidłowość, logiczny ciąg, mieszczący się w kategoriach pojmowania ludzkiego umysłu. Zrezygnował wreszcie, zszedł po kilku stopniach na poziom hali, zbliżył do podstawy pierwszego z brzegu urządzenia, które rozrosło się, wypełzając z mroku, w potężny pionowy walec, wsparty na skrzyżowanych dźwigarach, przypominających stare kotwice. Mógłby to być korpus statku kosmicznego, zbudowanego z czarnego szkła; między dwiema jego ściankami, zewnętrzną i wewnętrzną, poruszały się łagodnie maleńkie, barwne ogniki. Spostrzegł nagle, że stoi w cieniu, rzucanym na posadzkę przez ową konstrukcję. Cień gęstniał jakby, jego kontury wyostrzały się w oczach. To nie było złudzenie. Zrozumiał. Postąpił dwa kroki w bok, wydostając się poza podstawę walca, który zasłaniał perspektywę hali.

Sponad majaczących pod stropem konstrukcji wypłynęła jaskrawo płonąca kula, miniatura słońca. Sunąc wolno w dół, łagodnie zakrzywionym torem, oświetliła szeroką półkolistą ławę, przegradzającą jakby wnętrze nawy na dwie połowy. Znalazłszy się nad wąskim przejściem, widniejącym pośrodku łuku, zafalowała lekko i znieruchomiała. W ułamku sekundy natężenie światła zwielokrotniało, buchało teraz przeraźliwym blaskiem, ściany hali, konstrukcje, wiązania, wszystko to cofnęło się z pola widzenia, zalane jaskrawą poświatą. Jak zaczarowany, chroniąc porażony wzrok, postąpił jeszcze krok do przodu.

Żaden sygnał ostrzegawczy, brzęczenie, migotanie światła nie

poprzedziło tego, co się stało. Na Batuzowa runął koszący pęd, strumień rozpedzonego do szybkości huraganu gazu, powietrzna lawina, która ścięła go momentalnie z nóg, paraliżując mięśnie. Na plecach i barkach spoczął stukilowy ciężar. Pojawieniu się tej burzy towarzyszył rozdzierający grzmot, spotęgowany do granic odporności nerwowej człowieka syk, bezdźwięczne wycie. W odruchu rozpaczony Batuzow zebrał wszystkie siły i rzucił się w bok. Udało się. Pomiędzy nim a źródłem powietrznego strumienia stanęła ściana konstrukcji. Czekał chwilę, skulony, bez ruchu, wreszcie odetchnął głęboko i wyprostował się. W tym właśnie momencie dostrzegł ich... ludzi – oczywiście, nie ludzi, sylwetki przypominające coś znajomego... Przysiadły nisko przy posadzce, może odpoczywały, nie, w ich ruchu było coś niedobrego, jakies napięcie, jak gdyby czaiły się tam na coś lub na kogoś...

W ciągu kilku sekund przeleciały mu przez myśl wszystkie punkty regulaminu kontaktowego, jakiego uczono ich w szkole pilotów raketowych. "Pierwszą czynnością przy nawiązywaniu kontaktów z przedstawicielami jakiegokolwiek obcej cywilizacji winna być w miarę możliwości pełna demonstracja znajdujących się aktualnie w zasięgu wytworów ziemskiej techniki, dających się przełożyć na język symboli matematycznych..." Jeszcze jedna porażka teorii w konfrontacji z rzeczywistością.

Doprawdy trudno sobie wyobrazić gorsze warunki dla wprowadzenia w czyn owej zasady. Ogrom tej hali, rozjarzonej przenikliwym światłem, przez którą przelewał się ponadto ogłuszający grzmot, wichura, z której strumienia cudem tylko udało mu się wyrwać przed chwilą... "...Wytworów ziemskiej techniki..." – mimo woli wzruszył ramionami. Ileż w tym sformułowaniu ludzkiej buty, ślepej wiary w potęgę własnej cywilizacji. Wobec tego, co wypełniało tę bezkresną halę, urządzeń i gigantycznych konstrukcji błyskających milionami pastelowych światel, wobec rozmachu tych podziemi, potężnych emitorów – wszystko, w co wyposażyła go Ziemia, mogło przypominać co najwyżej zabawki politechniczne dla chłopców. Jedynym rozsądnym wyjściem wydawało się opuścić



jak najszybciej to miejsce, możliwie dyskretnie, starając się pozostać niezauważonym. Przeprowadzenie tego było zresztą co najmniej wątpliwe, ów ryczący powietrzny nurt i płonąca kula, mogły, a nawet musiały, zaalarmować prawowitych gospodarzy hali.

Ostrożnie, wstrzymując oddech cofnął się o krok, potem drugi. Wtedy właśnie targnęło nim straszne uderzenie w pierś, tracąc grunt pod nogami runął w pędzący strumień, potoczył się kilkanaście metrów poza jego obręb, wprasował całym ciałem w ścianę i dopiero tracąc przytomność spostrzegł kątem oka wąski jak najcieńsza igła promień, który tryskał z miejsca, gdzie znajdowały się obce postacie, i leciał wprost w niego.

## ROZDZIAŁ V

Winda wyniosła ich do połowy wysokości studni. Podobnie jak przedtem tamci, dłuższą chwilę starali się ją skłonić do dalszej jazdy, na wyższe poziomy. W końcu dali spokój; wnosząc słusznie, że to, co nie udaje się im, nie powiodło się także Ann i Piotrowi, opuścili kabinę. Ogarnął ich mrok szerokiego, nie oświetlonego korytarza.

– Nie mam pojęcia – kończył Andrzej – w jaki sposób udało mi się stamtąd wydostać. Pamiętam, że obiema rękami zaciskałem szramę w skafandrze, ale i tak nałykałem się sporo gazu z atmosfery. Chwilami traciłem przytomność. Znalazłem windę – była jedna szansa na tysiąc, że do niej trafię – i wtedy skończył się tlen... Nie wiem, jak dowlokłem się do wieżyczki.

– Tam cię znalazłam – powiedziała po chwili Lena. Przenikając przez powietrzną ścianę i tym razem zamknęła oczy. Nie mogła opanować odruchowego lęku, skurczu nerwów, które posłuszne temu, co dyktował wzrok, przygotowały ciało na przyjęcie gwałtownego uderzenia.

– To tutaj – szepnął Batuzow. Starając się zachowywać jak najciszej przemknął pod ścianą, przylegając do niej całym ciałem. Wyciągnął rękę i łagodnym szarpnięciem przyciągnął Lenę do siebie. W milczeniu, jakie zapadło, głos, który rozległ

się nagle w słuchawkach, zabrzmiał jak krzyk. W rzeczywistości Ann mówiła szeptem:

– Słyszałeś coś?

Odpowiedziało niechętnie mruknięcie.

Batuzow skulił się w sobie. Jego dłoń powędrowała od ruchowo ku prowizorycznie zlepionym brzegom osmalonej wyrwy w skafandrze. Wprawdzie wielowarstwowa tkanina, nasyczona parami metali powstrzymała trwające ułamek sekundy uderzenie laserowego ognia, ale siła ciosu była tak wielka, że miejsce trafienia do teraz pozostało martwe, nieczułe, tylko z jego obrzeża rozchodził się promieniście dotkliwy ból.

Poczuł, że jego ręka, ściskająca kurczowo ramię Leny, opada bezwładnie, usłyszał tupot i niemal równocześnie jej głos dobiegający już z głębi poświęcającej setkami tysięcy kolorowych gwiazdek hali.

– Ann! Piotrze! To my! – Jej głos, brzmiący radością zawisł nagle. Zatrzymała się.

– Wszystko w porządku. Macie tlen? – Słowa Piotra brzmiały coraz głośniejsze, zbliżał się, słysząc było jego kroki dudniące metalicznym echem. Nagle stanął. – Co... – zaczął.

– Piotr?... – Głos Leny brzmiał niepewnie.

– O co chodzi?... Aaa, nasze maski? – zrozumiał wreszcie.

– Nie bój się. Znaleźliśmy je tutaj. Dzięki temu żyjemy. W hali jest tlen, pewnie jakieś sprężarki, a ich maski mają filtry przepuszczające całkiem znośne powietrze...

– Gdzie jest Andrzej? – Ann teraz dopiero dołączyła do nich wychodząc zza jakiejś szerokiej konstrukcji z prawej strony hali.

Batuzow zdecydował się wreszcie opuścić korytarz i miejsce pod ścianą, które zapewniało jaką taką ochronę. Pierwszą rzeczą, która przykuła jego spojrzenie, były leżące na posadzce, porzucone głowy skafandrów Thorson i Pottona. Oni sami stali kilka kroków dalej, zwróceniem twarzą w stronę milczącej Leny. Na ich głowach widniały okrągłe szklane banie, zakończone krótkimi stożkami.

Radość niezwykłego odnalezienia ich żywych i zdrowych

przesłoniło budzące grozę wspomnienie.

– Ich maski... – szepnął. – A... oni? – Rozglądał się, usiłując przeniknąć głęboką, migocącą pełzającymi wśród konstrukcji światłami, perspektywę. Mówił szybko, gorączkowo. – Znam tę halę. Wszedłem z innego korytarza, po przeciwnej stronie – wskazał ręką kierunek. – Byli tutaj. Tutaj, w przejściu między ekranami... Nie mogłem się ruszyć. Wchodząc, uruchomiłem jakiś automat czy inne diabelstwo, które mnie odrzuciło, a potem po prostu... sparaliżowało. Ledwie się stamtąd wydostałem... A potem zobaczyłem ich... Chciałem odejść. Wtedy jeden z nich strzelił...

Idąc za mimowolnym ruchem jego ręki, oczy Ann i Piotra spoczęły na czarnej bliźnie w skafandrze.

– Kiedy? – wykrztusiła po chwili Ann. – Kiedy to było?

Potton milczał. Andrzej spojrział na zegarek.

– Jakież półtorej godziny temu... Jeszcze jedno. Nad nimi wisiała taka pałająca kula, potwornie ostre światło...

– Jak się tutaj dostałeś? – spytał głucho Potton. Lena poczuła, że po plecach zaczyna ją jej wędrować lodowate mrówki. Utkwiła wzrok w ziemi.

– Przyjechałem... – zaczął Piotr, ale przerwał mu drżący, chciałoby się powiedzieć: błagalny, głos Ann:

– Trafili cię?

– Jak widzisz – powiedział ponuro. Odwróciła się powoli. – Piotrze – wyszeptała – Piotrze... ten automat...

Potton poruszył się niespokojnie. – Później – rzucił niespodziewanie ostro. – Coś wam pokażę. – Zniknął za krawędzią trapezoidalnego rusztowania, zmierzając ku środkowi hali. Ociągając się, podążyli za nim.

Stał w odległości dziesięciu metrów od pulpitu, podtrzymującego szeroką, półkolistą linią trójrzęd ekranów. W hali pojaśniało.

Zejściu świecącej, kuli nie towarzyszyły tym razem żadne sensacje akustyczne.

– Za pierwszym razem, kiedy się pojawiła, hala dygotała po prostu od huku – mówił szybko, omijając wzrok Batuzowa. – Jego źródło leżało gdzieś tam – wskazał przeciwległą ścianę. –

Myliliśmy się z Ann, wiążąc ten hałas z obecnością kuli. Był to po prostu zbieg okoliczności. To światło, czy jak wolicie – lampa – pojawia się wtedy, kiedy ktoś podejdzie do przejścia w rzędzie ekranów. Otóż wtedy my zbliżyliśmy się tutaj, wywabiając ze stropu kulę, a równocześnie Andrzej, który wszedł do hali z przeciwnej strony, natknął się na jakiś automat obronny czy alarmowy.

– Jak to – przerwał Andrzej – wy byliście wtedy tutaj...? – Jego wzrok prześliznął się po czarnym korpusie przetwornicy Pottona – ...w takim razie – zawahał się – oni...?

– Ich nie było – głos Ann brzmiał spokojnie, może trochę za bardzo spokojnie. – Nie było. To wszystko, co ja mam ci do powiedzenia. Rozumiesz? Jeszcze raz powtarzam: nie było nikogo obcego... – Zapadło milczenie.

Kula przygasła powoli, jej blask zmatowiał, kłującą oczy biel zmąciły najpierw błękit, potem gęstniejąca purpura.

– Ona przemawiała – powiedziała po dobrej chwili Ann. Andrzej spojrzał na nią, zdumiony.

– Kto przemawiał? Ta kula?

– Tak... To było... – zabrakło jej słów na opisanie głosu, który tak ich wtedy urzekł i przeraził – jakby jakiś apel... orędzie...

– W jakim języku?

Piotr wzruszył ramionami. – Licho wie – powiedział powoli. – Mówił mężczyzna...

– Brzmiało to właściwie jak recytacja. Miękkim, śpiewnym głosem – dodała Ann. – Ale było w tym coś... wzniosłego.

– Kiedy się odezwała? – spytał Batuzow, wskazując kulę, której blask spelzł już do fioletu. Przypominała bezcieniową lampę z laboratorium fotooptycznego.

– Dotknąłem niechący pulpitu – odpowiedział Potton. – Ale nie pamiętam, w którym miejscu.

– Myślę, że na dzisiaj dosyć – powiedziała nagle Lena. – Każde z nas coś niecoś przeżyło w ciągu tych kilku godzin. Należy nam się solidny odpoczynek. Jutro także jest dzień...

– Lena ma rację – powiedział Andrzej. – Tak jak się sprawy mają, sędzę, że nic nas nie zmusza do rozpaczliwego pośpiechu. Idziemy. – Nie czekając na nich, ruszył w stronę korytarza.

– Poczekaj – odezwał się cicho Potton. Wszyscy stanęli w miejscu. – Nie, Piotrze – odparł po chwili Batuzow. – Nie teraz.

Potton skinął głową. Zrobił kilka kroków do przodu i zatrzymał się znowu.

– Zapomnieliśmy o tlenie. Nawet gdybyście chcieli taszczyć te butle z powrotem na powierzchnię, nie możemy wam na to pozwolić. Ich maski działają tylko tutaj, w hali. Tlen nie przechodzi poza owe optyczne zasłony w korytarzach. Myślę, że to są po prostu granice pól elektromagnetycznych. Tak czy owak za nimi nie ma powietrza, sprawdziliśmy to z Ann, chcąc się stąd wydostać. Dlatego czekaliśmy tutaj tak potulnie.

Istotnie, w podnieceniu Andrzej i Lena zapomnieli o tym, że wciąż jeszcze dźwigają na plecach dodatkowe butle. Gdyby nie okoliczności, "odkrycie" to zostałoby przyjęte z pewnością żarcikami. Potton uśmiechnął się nawet, ale był to uśmiech tak nieudany, że milczenie, z jakim został przyjęty, wydało się wszystkim wręcz... okrutne.

Zamienili butle bez słowa, unikając nawzajem swojego wzroku i jedno po drugim zanurzyli się w mrocznym tunelu. Nie chcąc się narażać na spotkanie z urządzeniem, które zaatakowało Andrzeja, opuszczali halę tą samą drogą, którą przybyli. Pamiętając okoliczności, w jakich znaleźli się w tym korytarzu, myśleli z niepokojem o windzie, o tym, czy uda im się zmusić kabinę do jazdy w górę. Na szczęście obawy okazały się nieuzasadnione. Po dalszych kilkunastu minutach wychodzili odsłoniętym przez wieżyczkę włazem na pustynię. Noc miała się ku końcowi. Na wschodzie, spod warstwy brudnoczerwonej mgły, sączyły się słabe promienie brzasku.

– Muszę wam to powiedzieć – Ann stanęła nagle. Piotr, który szedł tuż za nią, zatrzymał się również.

– Może rzeczywiście odłożmy to na później – mruknął.

– Nie – odparła stanowczo. W świetle wschodzącego dnia dostrzegli za osłoną hełmu jej zmęczone, zapadnięte oczy. – To prawda – mówiła – że wszystkim nam należy się odpoczynek. Ale nie oszukujmy się. Jeżeli wrócimy teraz do rakiety, udając, że nic się nie stało, żadne z nas nie zmrúży oka. W każdym

razie ja – nie. Chcę wam coś zaproponować. Daj mi skończyć – zwróciła się do Andrzeja, który chciał coś powiedzieć. – Stawiam wniosek, żebyśmy już nigdy nie wracali do tego, co zaszło dzisiaj tam, w podziemiach. Ale pod jednym warunkiem. Nigdy więcej nie opuścimy rakiety... z bronią. Zetknęliśmy się z obcą cywilizacją. Po raz pierwszy w naszych dziejach. Nie lubię wielkich słów – ale czy chcemy, czy nie chcemy – jesteśmy tutaj przedstawicielami ludzi. To nakłada na nas określone obowiązki. Zresztą, wiecie. Chodzi mi tylko o to, że nie możemy być nosicielami najgorszych cech... naszych najgorszych cech. I to niezależnie od tego, w jakim stopniu byłyby one atawizmem, z którym świadomie walczymy. My wiemy, że nie wszystko można wypenić od razu. Wiemy, ileśmy już zrobili. Ale nie możemy, nie mamy prawa żądać takiej wiedzy od obcych. Dlatego musimy reprezentować tutaj najlepsze, najszlachetniejsze cechy ludzkości. Jej procesy rozwojowe odzwierciedlone w nas samych. – Mówiła spokojnym głosem, przez który przebijało śmiertelne zmęczenie. W pewnej chwili uśmiechnęła się słabo. – Szukamy przyjaciół w tym wielkim świecie – uniosła głowę. – Przyjaciół – powtórzyła. – Nie warto byłoby szukać, gdybyśmy mieli znaleźć wrogów. Jeżeli zdarzy się coś... jakieś nieporozumienie, jeżeli któreś z nas zginie... nawet wszyscy – to ostatecznie nie zagrozi to przyszłości Ziemi. Ale jeśli my zaczniemy zabijać – następstwa mogą być tragiczne. No więc jak?

– Zgoda – powiedziała Lena. Andrzej mimo woli spojrzał w stronę Piotra. Ten skinął lekko głową.

– Dobrze – w głosie Batuzowa zabrzmiała ulga.

W centralnym punkcie północnego łuku horyzontu weszła nowa gwiazda. Patrzącym wydało się, że widzą odbity w ogromnym granatowym morzu refleks świecącej nisko na nieboskłonie Ziemi. Gwiazda wyostrzyła się, znikła, zajaśniała znowu, w rytmicznych rozbłyskach przyćmiewała już światło wędrującego płaszczyzną równika Phobosa. Drugi marsjański księżyc, Deimos, wytaczał się dopiero zza wschodniego widnokregu. Był właściwie późny wieczór.

Dostrzegli ów świetlny sygnał Thorson, Sakadze i Potton

wydali okrzyk radości. Od kilku minut przeczesywali tę część linii horyzontu, manipulując tubusami noktowizorów, rozpartych szeroko rozstawionymi łapami na heloksowym grzbiecie Kopernika.

Piaszczyste garby pustyni rysowały się w pasmach podczerwieni ostrymi konturami, przechodząc od soczystego granatu widnokręgu, poprzez aksamitną czerń do wyblakłej szarzyzny wydm otaczających rakiętę. W dobrze klimatyzowanych skafandrach nie czuli zimna, o tym, że temperatura spadła poniżej minus dwudziestu stopni Celsjusza, świadczyła tylko delikatna mgiełka na szybach hełmów, rozpraszająca światło gwiazd, planet i księżyców w tęczowe pierścienie. Była to jedna z tych nocy, w jakie wzniesione oczy astrofizyków wnoszą w zmaterializowaną wizję posiewu Einsteina bolesną samotność osobistych uczuć, wspomnień i nadziei.

Ze śpiewu turbin, unoszących stutonowy ciężar na poduszce powietrznej, pozostawiając za sobą rozpłomieniony ogniem odrzutu, stożkowaty wir pyłu i żwiru, Uzbekistan przetaczał się nad piaszczystymi siodłami, przebiegał garby wydm, zmierając prosto jak strzelił na południe. Z zawieszonego przez ludzi satelity, z kabiny Kopernika wiodły go sygnały namiarowe i jednostajny ruch radarów. Byli tam wszyscy, wpatrzeni w ekrany centrali komunikacyjnej, kiedy przybysz z Ziemi zacieśniał orbity wokół planety. W napięciu śledzili jego manewry, prowadząc go w bezpiecznej odległości od wyrzutni i jej promienistego słupa. Potem Batuzow został sam ze swoją centralą, jej sygnalizatorami i czujnikami przeliczeniowymi. Bezpośrednia łączność radiowa urwała się, kiedy podchodząca do lądowania rakietą ostatni raz przetoczyła się po niebie, niknąc za linią horyzontu. Pozostała trójka po krótkiej, mozolnej wspinaczkę zajęła stanowiska obserwacyjne na grzbiecie Kopernika. Teraz cała północ stała już w lunie, statek rósł w oczach, nikły początkowo odbłask wylotowych dysz jego silników pomocniczych przeobraził się w strzelający wybuchami pożar. Wreszcie, przesywając jaskrawym blaskiem soczewki noktowizorów odwrócił się bokiem, ominął szerokim

łukiem pozostawioną przez przybyszów z kosmosu wyrzutnię, podpełzł do Kopernika na odległość dwustu metrów i znieruchomiał.

Wydmy dudniły jeszcze milknącym echem atomowych grzmotów, w powietrzu wirowały rozplamione strzępy żwiru, kiedy, nie czekając na opadnięcie kurzawy, biegli już w stronę ciemniejącego, pomarańczowego światła rozżarzonych dysz rakiety.

W połowie kwietnia śniegowe czapy pokrywające skalne masywy u północnego wybrzeża półwyspu Skandynawskiego poczęły się kurczyć. Z dolin kipiała wiosna. Wokół nitrobetonowego kręgu, opasującego stopniami szerokich tarasów kopułę Obserwatorium Zdobywców pod Bergen zakwitły rododendrony. Pastelowe domki, przyssane do stromych granitowych stoków, otoczyły się kolorowymi parawanami bżów i złotego deszczu.

Niewiele pozostało już miejsc na Ziemi, gdzie tokiem pór roku, klimatem, roślinnością flory, władała jak. przed wiekami natura. Doktor Paweł Kulski, urodzony na południowym wybrzeżu Bałtyku, zachował z dni wczesnego dzieciństwa wspomnienie wielkiej przemiany. Działo się to w latach pięćdziesiątych, kiedy po rozruchu podmorskich baterii jądrowych i pokryciu atmosfery szczelną siatką satelitów korekcyjnych, wokół domku jego rodziców na mierzei wiślanej po raz pierwszy zakwitły drzewka cytrusowe. Pamiętał także katastrofę, jaka wydarzyła się niewiele lat później. Dla ratowania załogi eksperymentalnego batyskafu, który uległ awarii w bezpośrednim sąsiedztwie reaktorów, trzeba było na kilka tygodni odciąć dopływ energii do głównego stosu, wbudowanego w dno Zatoki Botnickiej. Były to pierwsze dni stycznia. Ludzie, przyzwyczajeni już do nowego klimatu, masowo zapadali na zapalenie płuc, kwitnące sady pomarańczowe porastające cały nadbałtycki obszar rekreacyjny w ciągu jednej nocy przeobraziły się w upiorny szklisty step pełen dziwacznych szkieletów. Od tego czasu entuzjazm, z jakim chłonał nowy krajobraz swoich stron ojczyстых, został raz na zawsze skażony sceptycyzmem zaprawionym jakąś



nieokreśloną tęsknotą. Niespodziewanie, kiedy patrzył na smagłe dziewczęta wpinające we włosy kwiaty pomarańczy, kiedy rozsuwał szklane ściany swojego pokoju czyniąc go jakby zaciszną muszlą w zieleni sadu lub też kiedy w czasie wypraw wędkarskich układał się do snu na dnie łodzi – martwił nagle, porażony powracającą wizją tamtego zeszlonego lasu. "To wszystko fałsz – dźwięczało w uszach. – Fotoplastykon. Eldorado dla ubogich duchem..."

Złościły go te natrętne głosy, tym bardziej, że jako historyk lepiej od innych zdawał sobie sprawę z nieoszacowanej społecznej wartości przemian klimatycznych. Mimo to urlopy spędzał niezmiennie w rezerwach, w górach Tybetu i Kordyliarach, na wyspach Oceanii lub na Spitsbergenie, gdzie wszystko działa się po staremu. Wiosny czekały tam posłusznie na swoją porę, a burze, jeżeli się zdarzały, to prawdziwe, z uczciwymi piorunami, a nie konstruowanymi przez meteorologów. Rezerwatem był także obszar obejmujący północne wybrzeże Skandynawii, kraina fiordów opływających granitowe stopy rudych od mchu skalnych kolosów. Ich grzbiety wieńczyło kilkanaście dużych obserwatoriów, połączonych wspólną siecią mózgowi elektronowych. Centrala programowo-odbiorcza znajdowała się w największym z tych ośrodków, wzniesionym w najwyższym punkcie grzebienia otaczającego Bergen, dawną stolicę Norwegii. Nosił on nazwę Obserwatorium Zdobywców, na pamiątkę pionierskich rejsów pramieszkańców tej ziemi, odkrywców wielu lądów, a wśród nich kontynentu amerykańskiego,

Od kilku tygodni jedynym zadaniem tego właśnie obserwatorium, a za jego pośrednictwem całego nadmorskiego systemu badawczego, było utrzymanie łączności z załogą pierwszej bazy marsjańskiej. Nad Morzem Północnym zawieszono w tym celu sześć specjalnie zakodowanych stacjonarnych satelitów komunikacyjnych. Łączność pomiędzy Marszem a Obserwatorium przebiegała bowiem poza Centralną Rozdzielnią.

Od kilku tygodni ośrodek był okupowany przez uczonych, stanowiących coś w rodzaju sztabu operacyjnego Zespołu

Koordynacyjnego Programu Marsjańskiego. Tam też skierowano młodego historyka. Po upływie kilkunastu dni do Obserwatorium przybył ponadto profesor Corton, kierownik macierzystego instytutu Kulskiego. Przybycie uczonego mogło oznaczać tylko jedno: z jakichś niewyjaśnionych przyczyn Rada Astronautyczna w całokształcie aktualnych zadań zespołu przeznacza szczególnie poczesne miejsce badaniom historycznym.

Opuściwszy Obserwatorium, Kulski zatrzymał się przy balustradzie ogradzającej najwyższy z betonowych tarasów. Widok, który roztaczał się z tego miejsca, mógł przyprawić o utratę tchu człowieka nawet bez porównania mniej wrażliwego na surowe piękno przyrody. Z lewej i prawej strony horyzont zamykały bielejące jeszcze od północy majestatyczne łańcuchy gór. Na wprost widnokrąg wpływał jaśniejącym w miarę odległości granatem w pasmo mlecznej mgły, nad którym był już tylko błękit. Nisko w dole ścieliła się głęboka zieleń fiordu, podobnego do narzuconego na łąd fantastycznego liścia figowca. Nieruchome stąd lustro zdobiły błękitne, pomarańczowe i złote punkciki: żaglówki. Mleczne, czekoladowe i żółte domki wyglądały również jak pociągnięte świeżą farbą łódki, zakotwiczone na stromych, skalnych zboczach. Do połowy wysokości góry pokryły się już kwiatami, na szczycie, wokół kopulastego gmaszyska Obserwatorium zieleniały pierwsze kielki naturalnego alpinarium.

Powolnym, jakby niechętnym ruchem oderwał ręce od balustrady i wyprostował się. "Powinna być obita czymś miękkim" – przemknęło mu przez myśl. Opuścił nisko głowę. Poruszył parokrotnie palcami prawej dłoni, jakby zdziwiony, że nie czuje śliskiego dotyku błony z tekstem ostatniego radiogramu. Tekstem zaszyfrowany m... Perforowany pasek, kolejny meldunek podpisany przez kierownika ekipy marsjańskiej – Adama Rankona, został wprowadzony do zespołu pamięciowego maszyny, po czym, jak wszystkie poprzednie, zniszczony. Szyfr... Kulski zagryzł wargi...

W latach czterdziestych dwudziestego pierwszego wieku skołatana długowiecznymi konfliktami wewnętrznymi i

wojnami ludzkość wstąpiła na nową drogę rozwoju. Upadek ostatniego separatystycznego rządu w roku 2052-gim przyjęto uważać za moment otwierający nową epokę. Paweł Kulski był wówczas kilkuletnim chłopcem. Jedną z ostatnich ofiar krwawych zamieszek, wśród których torowała sobie drogę era integracji, stał się jego ojciec, młody korespondent warszawskiego radia. Wśród nazwisk, wykutych w czarnym marmurze u stóp strzelistej bryły Pomnika Pamięci w Nowym Jorku widniało nazwisko Tadeusza Kulskiego. Zginął na posterunku dziennikarskim w czasie pacyfikacji miast Teksasu, objętych pożogą wojenną wzniesioną przez byłych dowódców niektórych armii na kontynencie amerykańskim, sprzymierzonych z międzynarodówką wielkiego kapitału. Cień tej tragedii, która zaciążyła na najwcześniejszych latach życia Pawła, odegrał być może decydującą rolę w jego późniejszym wyborze kierunku studiów i pracy.

Epoka humanitaryzmu, integracji, która postawiła do dyspozycji każdego człowieka sprzężone automaty programujące i wykonawcze, nosiła potoczną nazwę epoki informacji. Jej historia sięga w przeszłość o kilkanaście lat głębiej, aniżeli mogłoby to wynikać z daty oficjalnej, której kolejne rocznice obchodzone są tak hucznie i uroczyście. Po pierwszym akcie nastąpił krótki wprawdzie, ale tragiczny i niezwykle burzliwy okres lokalnych zamieszek. Całą zachodnią półkulą wstrząsały dramatyczne konfrontacje. Wydawało się, że wszystko, co w tradycji ludzkości złe i wsteczne, cała zapiekła w ciągu tysiącleci nienawiść, żądza posiadania, egoizm, maniackie pragnienie władzy, że wszystko to mobilizuje swe czarne siły do ostatniej, desperackiej walki o świat.

Zacząło się to w roku trzydziestym dziewiątym, kiedy na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych odczytano memoriał opracowany przez największe podówczas sławy naukowe kuli ziemskiej. Dziś, kiedy oryginał tego dokumentu, który przeszedł do historii pod nazwą "Buntu Cybernetyków" spoczywa na poczesnym miejscu w skarbcu ONZ, a jego tekst w, pełnym brzmieniu, ze wszystkimi akapitami, ba, nawet znakami przestankowymi, potrafi wyrecytować każdy uczeń

piątej klasy, trudno uwierzyć, że działo się to zaledwie czterdzieści trzy lata temu.

Tekst memoriału został natychmiast opublikowany przez wszystkie agencje i redakcje na obu półkulach. Komentatorzy podkreślali szlachetne intencje autorów, powoływali się na ich autorytet naukowy – organy ugrupowań konserwatywnych i kół zimnowojennych również wykorzystały okazję dla zmanifestowania swych zacnych intencji politycznych. W gruncie rzeczy nikt bowiem nie potraktował sprawy serio, rzecz była zbyt szokująca i sprzeczna z przyjętymi praktykami dyplomatycznymi. Tymczasem tej samej nocy wszystkie agencje redakcyjne otrzymały kopię listu przedłożonego Sekretarzowi Generalnemu ONZ.

Tekst listu brzmiał następująco: "Niżej podpisani oświadczają, że nie będą mogli współpracować z rządami, w tym również rządem własnego kraju, które odrzucą Memoriał Cybernetyków i nie wprowadzą na podległych im obszarach wszelkich postulowanych w tym dokumencie norm dalszego rozwoju procesów społecznych i gospodarczych".

Następowało około sześćdziesięciu tysięcy podpisów najwybitniejszych naukowców, konstruktorów, pisarzy, obywateli wszystkich państw świata.

W dwudziestym pierwszym wieku nie było rządu, który pozbawiony współpracy swoich fizyków, cybernetyków, biologów i chemików utrzymałby się dłużej niż dziesięć dni. Uczonych można było oczywiście internować, bądź też zastosować wobec nich inne represje. Fizyczna przemoc nie dawała jednak gwarancji posłuszeństwa ich mózgow, zresztą sankcje musiały mieć z natury rzeczy zakres ograniczony, bo przecież niepodobieństwem było skazać wszystkich krnąbrnych na śmierć. W dodatku cały świat komunistyczny opowiedział się natychmiast za przyjęciem memoriału. Wszystko to nie przesądziłoby może sprawy, w każdym razie nie w tak krótkim czasie, gdyby nie ogromna presja opinii publicznej, jednolity front, któremu przewodziła klasa specjalistów, spadkobierczyni tradycji dawnej klasy robotniczej. Wyzwanie uczonych poparły masy. Zdaniem historyków, momentem zwrotnym w owej bez-

przykładnej kampanii było wydarzenie na pozór marginesowe. Czterogodzinny program telewizyjny, opracowany przez dziennikarzy z czternastu krajów, którzy w rozmowach z autorami memoriału przedstawili plastycznie i sugestywnie spodziewane skutki społeczne i gospodarcze nowego systemu. Program ten, retransmitowany przez wszystkie ośrodki sześciu kontynentów, nadano wieczorem, następnego dnia po opublikowaniu obu dokumentów. Sprawa była przesądzona.

W ciągu kilkunastu najbliższych godzin wszelkie "gorące linie" huczały, odbyło się szereg spotkań na najwyższym szczeblu, największe giełdy świata kapitalistycznego zanotowały serie efektownych samobójstw, a w Ameryce Południowej niezwłocznie upadło kilka gabinetów. Wyłoniony na wielotysięcznej otwartej sesji Instytutu Cybernetycznego w Paryżu komitet opracował ostateczną wersję projektu, która dwa dni później została przyjęta przez nadzwyczajne posiedzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych. Odpowiednie zobowiązania podpisali czołowi mężowie stanu wszystkich krajów. Nie obeszło się, rzecz prosta, bez poprawek – dotyczyły one jednak niemal wyłącznie technicznych szczegółów organizacji ochrony tradycji narodowych.

Kiedy wieść o podpisaniu dokumentu rozeszła się po kontynentach – a stało się to błyskawicznie, dzięki bezpośredniej transmisji z sali obrad – świat oszalał. Pękły granice, ludzie wyzwoleni nagle z przytłaczającej wizji zagłady termojądrowej tańczyli na placach i ulicach miast, deklarowano kosztowności i osobiste majątki na rzecz pomocy krajom biedującym. Oczywiście, niektóre narody o szczególnie skomplikowanych tradycjach wzajemnych stosunków pozostały względem siebie chłodne i nieufne jeszcze przez lata, nie była to już jednak owa nieufność aktywna, zwierzęca, wyrażająca się w nieustannej gotowości do skoku.

Soldateski, związane z wielkimi koncernami zbrojeniowymi, niektóre kliki rządzące, organizacje szowinistyczne, zaskoczone biegiem wydarzeń, zachowały w tych dniach milczenie. Do walki przystąpiły kilkanaście dni później, mobilizując cały pozostały arsenał środków. Nie był to ubogi arsenał. Bite

dwanaście lat wiele obszarów świata było widownią krwawych starć, ginęli ludzie, palono miasta i osady. Wtedy jednak po raz pierwszy w dziejach Ziemi, nastąpiła całkowita polaryzacja postaw – w oparciu o powszechne kryteria moralne i etyczne, bez względu na partykularne interesy i racje geograficzne. Epigoni dawnego porządku nie mieli za sobą nic, prócz siły materialnej. W ich szeregach skupili się awanturnicy i meły wszelkiej maści. Było to więc tak, jak gdyby ludzkość toczyła wojnę z własnymi wadami, jak chory organizm w gorączce i cierpieniu wyrzucała z siebie trujące związki i jady. Gdyby poniosła klęskę, oznaczałoby to, że w ciągu tysiącleci rozwoju nagromadziła więcej wartości, cech i nawyków negatywnych, aniżeli dobrych. Ostatecznym rozstrzygnięciem mogło więc być tylko zwycięstwo.

Nowy system odniósł sukces, zanim jeszcze zdołano wprowadzić w życie jego formy organizacyjne. Strukturalnym fundamentem tego systemu stała się, jak wiemy, informacja. W służbie informacji stanęła cała najnowocześniejsza technika. Bezwzględna jawność życia publicznego, likwidacja tzw. kuluarów gospodarki, dyplomacji i prawa, siłą rzeczy przeobraziły niektóre struktury polityczno-społeczne; szereg zdawałoby się immanentnych cech demokracji poszło w zapomnienie. Zniknęły na przykład takie pojęcia jak parlament, sejm, czy też powszechne wybory. Własność prywatna upadła w momencie ostatecznego ujednoczenia wszystkich wartości przeliczeniowych.

Nie do pomyślenia byłoby dziś zorganizowanie narady, konferencji naukowej lub gospodarczej na jakikolwiek temat związany z bytowaniem społeczeństwa, w których nie mógłby uczestniczyć, a raczej których świadkiem nie mógłby być każdy, kto tylko zechce. Dotyczy to zarówno takich spraw jak wymiana dóbr, kierunki rozwoju nauki, zatapianie lądów lub podbój kosmosu, jak i sztuki, rozrywki czy wreszcie programowania pogody. Oczywiście, nikt, kogo te sprawy interesują, jeżeli nie jest członkiem danego zespołu naukowego czy koordynacyjnego, nie zaspokaja swego zainteresowania przez fizyczną obecność na sali obrad. Zresztą, nie pozwolono by na

to – uczeni muszą mieć swobodę dyskusji i działania. Terminy wszelkich tego rodzaju imprez są znane, jak również sale, w których się odbywają. Każda z nich posiada odpowiednią aparaturę łączności. Wystarczy wybrać odpowiedni kod w pulpicie swojego domowego lub podręcznego automatu, aby usłyszeć i zobaczyć wszystko, co jest do słyszenia i zobaczenia.

Oczywiście, możliwość biernego udziału we wszystkich dyskusjach, poprzedzających podejmowanie ważnych dla ogółu decyzji, nie stanowi, istoty systemu informacyjnego. Przeciwnie raczej – jest warunkiem, bez spełnienia którego nie dałoby się go wprowadzić do praktyki społecznej. Przecież na dobrą sprawę przy tak gęstej sieci środków masowego przekazu, jaką dysponowano już na początku wieku dwudziestego pierwszego, realizacja tego warunku zależała tylko od dobrej woli sfer rządzących, nie wymagała wieloletnich, żmudnych prac sztabu uczonych – cybernetyków. Autorom "Buntu Cybernetyków" chodziło o coś znacznie większego. O prawdziwe rządy większości, nie w kilku opasanych granicami krajach, ale na Ziemi. Ich rozwiązanie przyjęło jako zasadę generalną, aby każdy mieszkaniec kuli ziemskiej o każdej, dowolnej porze mógł przedstawić organom wykonawczym swoją opinię, skargę, postulat lub wniosek dotyczący jakiegoś usprawnienia, jakiejś zmiany. Oczywiście myśl, aby członkowie rad wykonawczych, uczeni, odbierali to wszystko osobiście, mogła powstać jedynie w umyśle szaleńca. Podobnie jak idea powołania odpowiednich biur czy urzędów. Jediną szansą było opracowanie technicznej dokumentacji gigantycznego systemu cybernetycznego, działającego w oparciu o park sprzężonych maszyn matematycznych. Tak zrodził się projekt pokrycia Ziemi siatką zbiorczych mózgow elektronowych, zestrojonych z kompleksami odpowiednio zaprogramowanych analizatorów i maszynami statystycznymi. Centrala każdego z owych tak rozgałęzionych ośrodków znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie organów władzy wykonawczej. W pierwszym etapie zaprojektowano trzy klasy takich ośrodków: miejskie lub osiedlowe, narodowe i kontynentalne. Te ostatnie były. sprzężone już bezpośrednio z

centralą światową przy ONZ.

Budowa tych ośrodków pochłonęła kilkanaście lat, pomimo że do dyspozycji konstruktorów i ekip montażowych postawiono wszystkie środki techniczne. Jeśliby ktoś uważał, że można było to przeprowadzić niezależnie od integracji narodów świata, to warto komuś takiemu przypomnieć, jak ogromny potencjał techniczny przemysłu zbrojeniowego i armii zaangażowano w budowę powszechnych ośrodków cybernetycznych. Bez niego realizacja projektu trwałaby nie kilkanaście, a kilkadziesiąt lat. Nie mówiąc już o wszystkich bazach i placówkach badań kosmicznych. Jeżeli pierwszy człowiek postawił stopę na planecie Wenus dopiero w roku 2054-ym, chociaż już na początku stulecia istniały środki techniczne wystarczające dla realizacji wyprawy, to dlatego, że zarówno pracownicy naukowcy instytutów kosmonautycznych, jak i zaplecze techniczne tych ośrodków postawiono do dyspozycji budowniczych sieci cybernetycznej. Jak wiemy, dopiero teraz, po "planecie mgieł" przyszła kolej na Marsa. Ale wróćmy do systemu informacyjnego. Ogromnym problemem było uruchomienie masowej produkcji specjalnych nadajników. Początkowo instalowano je w miejscach publicznych, na wzór dawnych rozmównic telefonicznych. Później dopiero, w miarę postępu miniaturyzacji i produkcji globalnej, poczęto wyposażać w aparaty nowo wznoszone domy mieszkalne, potem mieszkania, wreszcie zwykłe telewizory. W roku sześćdziesiątym trzecim każdy człowiek dysponował już własnym nadajnikiem, za pośrednictwem którego mógł przekazać swój wniosek czy postulat lokalnemu ośrodkowi cybernetycznemu w dowolnej porze dnia czy nocy. Tam wszystkie głosy mieszkańców były automatycznie segregowane na ciągi problemowe, analizowane, a następnie w zależności od charakteru wniosku, bądź przekazywane władzom, bądź podawane do ośrodka klasy narodowej. Wnioski o szerszym zasięgu szły z kolei, oczywiście w skondensowanej formie, do placówek kontynentalnych i analogicznie dalej – ośrodka światowego. W ten sposób wszystkie organa władzy – od miejskiej do światowej – były nieustannie informowane o



aktualnych bolączkach i potrzebach ludności. Ponadto wpływało stale wiele pomysłów usprawnień i reorganizacji poszczególnych rozwiązań technicznych lub prawnych, których realizacja otwarła dodatkowe, niezmiernie cenne źródło postępu.

Ta właśnie informacja oddolna stanowiła istotę nowego systemu. Ludność była bowiem systematycznie informowana – za pośrednictwem automatycznych stacji nadawczych – o materiałach zebranych i przetrawionych w ośrodkach. Wielkie ekrany na głównych placach miast informowały o wynikach obliczeń, wyrzucając równocześnie na marginesy sprawy, które władze winny załatwić w pierwszej kolejności. Wbrew obawom pesymistów skarg i postulatów rzucanych dla kawału zanotowano zaledwie kilkadziesiąt – i to jedynie w pierwszych dniach funkcjonowania systemu. Ktoś tam żądał dziesięciu tygodni urlopu, ktoś inny domagał się powołania obozów dla teściowych, jakiś wzburzony uczeń protestował przeciw klasówkom z matematyki. Nie były to nawet żarty złośliwe, po prostu głupie. Znikły po kilku tygodniach, kiedy ludzie uwierzyli w wielką przemianę i zaczęli inaczej oceniać własne postawy, własne szanse i perspektywy.

Rządy przeszły więc ostatecznie do rąk najszerszych mas społecznych. W praktyce, jako najliczniejsza, pozostała przy władzy klasa specjalistów, dawna klasa robotnicza. Obywatel zgłaszał swój wniosek do ośrodka analityczno-programowego i czekał na wynik. Z komunikatu dziennego dowiadywał się, czy jego głos harmonizuje z postulatami i wnioskami innych. Jeżeli nie, jeżeli większość uznała inny problem za ważniejszy, czekał dalej. Prędzej czy później przychodziła kolej na sprawę, interesującą go osobiście. W podobny sposób poddawano pod powszechne głosowanie projekty zgłaszane przez rady uczonych i Zespoły Koordynacyjne. O tym, aby Władze mogły zlekceważyć wnioski wynikające z problemowej syntezy głosów ludności, dokonywanej przez automaty, nikt nawet nie pomyślał. Bowiem zasada absolutnej jawności życia publicznego, możliwość uczestniczenia we wszystkich poprzedzających decyzjach dyskusjach oraz powszechna informacja o wynikach

codziennych kalkulacji mózgow i maszyn ośrodków programowo-obliczeniowych stwarzały z kolei presję opinii, której żaden organ władzy nie mógł zbagatelizować. Tak więc powstało swoiste sprzężenie zwrotne między społeczeństwem Ziemi a jego organami władzy wykonawczej.

Kiedy pod koniec lat czterdziestych okazało się, że wszelkie próby reakcyjnych ugrupowań militarnych zmierzające do opanowania magazynów broni termojądrowej spełzyły na niczym, jako że magazyny te były kontrolowane przez uczonych, system informacyjny na dobre zakorzenił się w świadomości ogółu. Przełom był tak wielki, że już po kilku latach młodzi ludzie, którzy rozpoczęli samodzielne życie umysłowe po roku pięćdziesiątym drugim, przywykli wyrażać się o wszystkim, co poprzedzało "Bunt Cybernetyków" tak jak w dwudziestym wieku wyrażano się o legendach Starego Testamentu. Świat skurczył się – i rozrósł jednocześnie, intrygi i zamieszki ucichły wcześniej, niż mogli się tego spodziewać najzagorzalsi optymiści, a kolejne rocznice "Buntu" obchodzi kula ziemską jako najpiękniejsze święto ludzkości.

Stojąc na najwyższym piętrze skalnego tarasu, Paweł Kulski nie rozmyślał, rzecz prosta, o okresie realizacji systemu, który stał się podwaliną jego epoki. Niejasne refleksje, pojawiające się i niknące, nie układały się w żaden ciąg logiczny. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, jakie były kryteria i wartości współczesnego świata, wartości, z których Kulski, jako historyk czerpał w większym może stopniu, kształtując własną osobowość, aniżeli inni. I to trzeba wiedzieć, aby zrozumieć, co czuł, kiedy na jego oczach niektóre z tych – niewzruszonych, zdawałoby się, – wartości rozsypywały się w gruzy.

Niezmiernie nisko, na dnie skalnej czaszy, odezwała się syrena dużego pasażerskiego poduszkowca. Kulski drgnął i wyprostował się. Odruchowo przeciągnął wierzchem dłoni po czole. Za kilkanaście minut znowu zamkną się za nim drzwi kabiny łączności, aparat zarejestruje nową serię drgań, kolejny meldunek przełożony na język elektromagnetycznych sygnałów. Automaty rozwiążą szyfr, uczeni zaktualizują programy mózgow, zespoły pamięciowe tych ostatnich skwitują

nową porcję informacji nikłą zmianą pozycji światła, a perforowana taśma z tekstem meldunku zostanie zniszczona. On sam zapisze to wszystko w "pamięci" swojego podręcznego automatu, sprzężone z nim analizatory instytutów historycznych i archiwów podejmą trud kojarzenia faktów, wytyczania prawidłowości, zderzenia analogii – by po kilkudziesięciu sekundach zwrócić mu jego własne myśli wzbogacone o cały ten materiał w postaci syntetycznego preparatu. Na jego podstawie on, historyk, zaprogramuje ostatni etap ciągu – kalkulator logiczny. Suma rozwiązań tego ostatniego, zebranych w dowolnym okresie czasu, da podstawę do opracowania wniosków. Epoka informacji pociągnęła za sobą rewolucję techniczną w łączności. Wszystkie ważniejsze dzieła naukowe i literackie, dzieła sztuki, mapy, czasopisma, były zapisywane w kryształach. Nazywano to techniką kwarcową – od pierwszych prób, dokonywanych z kryształami kwarcu. Kilkaset tysięcy ludzi równocześnie mogło korzystać z danej książki, gazety czy też oglądać wybrany obraz na domowych odbiornikach. Każdy taki kryształ był równocześnie mikronadajnikiem. Biblioteki, archiwa i muzea były niejako "samowystarczalne". Wszystko to zmieniło oczywiście zasadniczo metodologię nauk społecznych, a wśród nich również historii, zwłaszcza historii współczesnej.

Paweł Kulski rozpoczął w tym dniu pracę o czwartej rano, pół godziny przed oznaczonym terminem pierwszego meldunku. Niezależnie od wszystkiego, był po prostu śmiertelnie zmęczony. Jego spojrzenie przenikało przez przepiękny krajobraz jak przez szklaną taflę, grzęznąc w zamglonej perspektywie Morza Północnego. Od kiedy tu przyjechał, stał się biernym świadkiem czegoś, co druzgotało świat kryteriów człowieka drugiej połowy dwudziestego pierwszego wieku, przed czym wzdragała się cała jego istota. Oto po raz pierwszy od sukcesu "Buntu Cybernetyków" działy się rzeczy o decydującym znaczeniu dla całej ludzkości – i ludzkość nie była o tym informowana. Centralna rozdzielnia, serce krwionośnego układu łączności satelitarnej, została wyłączona z transmisji Ziemia – Mars. Łączność przejęły obserwatoria na Wybrzeżu

Norweskim, których załogi zastąpili członkowie Zespołu Koordynacyjnego Programu Marsjańskiego. Treść rozmów prowadzonych z nieliczną grupą badaczy kosmonautów utrzymywana była w najściślejszej tajemnicy. Było i coś więcej. Niezależnie od poufnych transmisji Agencja Astronautyczna nadawała w programach wszystkich ziemskich ośrodków telewizyjnych "normalne" relacje z Marsa. Ludzie oglądali uśmiechnięte twarze Rankona, Thorson, Sakadze, Pottona, Ruskina i innych, dowiadywali się szczegółów geologicznych, wysłuchiwali danych o atmosferze, temperaturze, ciśnieniu i tym podobnych. Ludzie byli oszukiwani. Zresztą nikt nie przeżywał już tak tych meldunków jak w pierwszych dniach po katastrofie. Przez kilkanaście dni po przywróceniu łączności lot i to wszystko, co dotyczyło losów załogi Kopernika, było naczelnym, jeśli nie jedynym, tematem dnia. Przez miesiąc, półtora, ludzie czekali jeszcze na wieści. Potem przyszła wiosna, a wraz z nią otwarcie pierwszej linii wahadłowej i inauguracja powszechnych rejsów turystycznych na trasie Księżyc – Wenus. Kiedy wreszcie w kolejnych transmisjach z Marsa powtórzono oficjalnie, że uczeni nie wypowiedzą się na temat przybyszów z kosmosu przed wyczerpaniem programu badań, co nie nastąpi wcześniej niż za rok, kiedy potwierdzono, że przybysze ci opuścili nasz system słoneczny co najmniej sto lat temu, zainteresowanie pracami ekipy stopniało niemal do zera. Do myśli, trapiących Kulskiego, dołączyło się wtedy uczucie osamotnienia.

Drgnął nagle. Tuż obok niego pojawiła się lekko przygarbiona sylwetka profesora. Nie słyszał jego kroków. Corton podszedł do balustrady, pochylił się i nie odwracając głowy powiedział:

– Jesteś zmęczony, Pawle. Powinieneś się przespać. Kulski milczał. Corton... bardziej przyjaciel niż przełożony, profesor. Zwykł mawiać: "Co, Pawle, nie wiesz, czy jesteś zadowolony? To ja ci powiem..." Teraz Kulski wyczytał w jego zmizerowanej twarzy, że wszystko, co miałby mu do powiedzenia profesor, już wie, że trawi go ten sam ogień, taka sama samotność...

– Może rzeczywiście za wcześnie... – mruknął, nieoczekiwanie dla samego siebie Kulski. Corton przysunął się

bliżej.

– O czym myślisz? Kulski zreflektował się.

– Myślę, że upojeni naszą epoką, wie pan, profesorze, co chcę powiedzieć, zapomnieliśmy, że wciąż jeszcze jesteśmy w połowie drogi...

– Jak to rozumiesz?

– Całkiem zwyczajnie. Tak jak profesor Sakadze. Powiedział mi to w dniu startu Uzbekistanu.

– Tak powiedział...? – Corton zamyślił się. Zapadło milczenie. Kulski chciał jeszcze powtórzyć słowa Sakadze o ludzkości, która za wcześniej rozgrzeszyła się ze swojej przeszłości, oddając ją ze spokojem w wyłączne władanie

historykom – ale zrezygnował; Profesor z pewnością zrozumiał.

– Ja wiem – odezwał się wreszcie Kulski – przecież to moja specjalność. Pana także, profesorze. Ale w rzeczywistości jesteśmy tylko geometrami, mierzącymi drogi przeszłości. Aktualizujemy, nanosimy poprawki. To tak jakby na suwaku, przedstawiającym wieczność, nieustannie przesuwac wskazówkę wytyczającą czas bieżący. Teraźniejszość – a za nami i przed nami – dwie nieskończoności. Sakadze powiedział mi także coś więcej. Ale ja myślę... – zawiesił głos.

– Mów, Pawle – upomniał go po chwili Corton.

– To wszystko nie ma sensu – obruszył się nagle. – Ale skoro już zacząłem... Myślę, że to nie ludzkość odżegnała się za wcześniej od wszystkiego, co doskwierało jej w dawnych czasach. To my, historycy, za wcześniej pozwoliliśmy jej o tym zapomnieć. To nasza wina. A teraz, proszę... – zatoczył ręką łuk, jakby chciał wskazać wszystkie zamieszkałe doliny globu.

– Co teraz? – spytał szybko Corton.

– Przecież pan wie. Oszustwo. Ukartowane przez areopag uczonych, którym ludzkość ufa jak nikomu innemu. Czyż nie było naszym obowiązkiem, pana i moim...

– Nie – przerwał ostro Corton. – Nie było. Kulski uniósł głowę i otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale profesor niecierpliwym gestem nakazał mu milczenie. – Jesteś naprawdę zmęczony – powiedział. – Musisz odpocząć. Nie

przerywaj – rzucił widząc, że Paweł kręci głową na znak protestu. – Będę już musiał iść – dodał, spoglądając na zegarek – za kilka minut transmisja. Zastąpię cię dzisiaj. Ale zanim pójdę, muszę ci coś powiedzieć. Popeliłeś dwa błędy: logiczny i rzeczowy. Zresztą, jeden wynika z drugiego – Corton uśmiechnął się i serdecznym gestem przyciągnął Pawła do siebie. Zaskoczony Kulski stracił równowagę, potknął się i całym ciężarem zawisł na profesorze. Ten ani drgnął.

– Przede wszystkim – ciągnął – jeśli historia jak i czas, w którym się dzieje, są nieskończone, to nie można na nią patrzeć tak jak pies patrzy na własny ogon. Nie ucieknie, kiedy zaczniesz ją gonić. Gdybyś jednak chciał na zasadzie paradoksu. – powtarzam: paradoksu, bo przecież Einsteina zna każde dziecko – przyjąć tezę o niezmienniej nieskończoności czasu, to zgodzisz się, że jedynym logicznym wykresem takiej tezy byłaby linia prosta. A że każda linia prosta może mieć tylko jeden punkt, dzielący ją na dwie równe części, więc punkt ten musi się zawsze znajdować w jednym i tym samym miejscu. Czyli że koncepcja "ruchomej" połowy wieczności, przemieszczającej się z upływem czasu, jest nie do przyjęcia. To oczywiście żarty... A teraz poważnie. Wiem, o co ci chodzi. Niektóre kryteria, jakie uważałeś za niewzruszone dla historii i nie tylko historii, okazały się nieco mniej niewzruszone. To był szok. Zresztą – puścił ramię Kulskiego, odsunął się i oparł ciężko o balustradę – mogę ci powiedzieć, że sam przeżywałem to nie mniej... mniejsza z tym. Otrząsnąłeś się z pierwszego oszołomienia i zaczęłeś myśleć. Uznałeś zdaje się, że wobec tego, co zaszło, runie cały gmach nauk społecznych i trzeba będzie zaczynać od początku. Teraz... nie, nie tak. Bo to był twój pierwszy błąd. Zapędziłeś się za daleko w analogiach, pomyliłeś epoki. Rozumowałeś tak: kiedyś ludzie oszukiwali się, zabijali w bratobójczych wojnach. Po kilkudziesięciu tysiącach lat rozwoju cywilizacji wreszcie odnaleźli właściwy sens słów: Ziemia – i człowiek. I oto na ten świat pada nowy cień: kosmos. Przybywają obcy. Już pierwszy kontakt z pozaziemską cywilizacją – nawet nie z jej twórcami, a tylko wytworami wznieca wizję nowych tragedii. Czy tak musi być?

Może taka jest prawidłowość, taki początek wszystkiego? Przed milionami lat każde przypadkowe spotkanie jaskiniowców z dwóch różnych rodów musiało się skończyć śmiercią jednego z nich... Czy nie tak myślałeś, Pawle? Poczekaj, nie przerywaj. Dalej... przypuśćmy, że po iluś tam latach uda nam się pokonać istoty, które zbudowały bazę na Marsie, Będą to jednak lata. Lata cierpień, tragedii, dezintegracji. Przecież już teraz, kiedy nic jeszcze nie wiemy, zaczęliśmy się oszukiwać. A potem, kiedy przebrniemy przez ten pierwszy kosmiczny kołowrót, czeka nas drugi, trzeci, następne... Wreszcie dojdziemy do porozumienia z wszystkimi rasami zamieszkującymi naszą galaktykę. Ale są przecież inne galaktyki. A po galaktykach...? Wszechświat jest nieskończony... Tak myślałeś, prawda? Otóż powtarzam jeszcze raz: pomyliłeś epoki. Zapomniałeś o czymś, historyku...

Kulski wzruszył ramionami.

– Nawet jeśli zapomniałem – powiedział cicho – to czegoż innego możemy się spodziewać?

– Tego, że zawsze będziemy razem. Mieszkańcy Ziemi. Ze zrobimy dla niej wszystko. A zapomniałeś o tym, co poprzedziło "Bunt Cybernetyków". Co nasi dziadkowie nazywali: komunizmem. Dzisiaj... dzisiaj tego po prostu nie nazywamy. To jest w nas. Człowiek jest oddany swojej pracy, Ziemi, innym ludziom, bo każdy rok życia, każdy dzień utwierdza go w przekonaniu, że to jest jedyna droga do dobrego samopoczucia i sukcesu – osobistego i powszechnego. Ale pomyśl – dlaczego tak przeżywasz to co się dzieje? Te wszystkie tajemne narady, szyfry, i tak dalej? Bo to godzi w twoje, nie – w nasze idee. Jeżeli o czymś zapominamy, to właśnie o tym. Może dlatego, że nic nas nie zmusza do szukania w pamięci analogii z okresu, w którym rodziła się nasza epoka. Ale weź któregoś z naszych najmłodszych uczniów, zaprowadź go pod pomnik Gagarina i spytaj, kogo przedstawia. Padnie odpowiedź – komunistę. To będzie wiedzieć każdy. Dopiero co czwarty, może co trzeci powie ci, że był to pierwszy człowiek, który patrzył na Ziemię z kosmosu. Kiedy spotykasz Europejczyka i opowiadasz mu o jakimś trzecim Europejczyku,

nie przyjdzie ci nawet na myśl powiedzieć: to jest biały. Dlaczego? Bo to oczywiste. I dlatego ja osobiście nie przejmuję się tak bardzo faktem, że depeche z Marsa są szyfrowane i że na Syberii kilkanaście kombinatów produkuje akceleratory fotonowe. Mógłbym ci powiedzieć, że byłem temu przeciwny. Uważałem tak jak ty, że ludzie powinni wiedzieć wszystko. Teraz, obserwując normalny, zdrowy puls życia społecznego, nie jestem już taki pewien, czy miałem rację. Pomyśl, ilu ludzi w tej chwili, w tym momencie, patrzyłoby ze zgrozą w stronę Marsa, wiedząc, że jacyś obcy zbudowali tam wyrzutnię, która skierowana w stronę Ziemi przyniosłaby nam zagładę w ciągu kilku godzin. Jeżeli ty, historyk, omal się nie załamałeś... Muszę już iść.

Corton odwrócił się nagle i szybkim krokiem ruszył w stronę wejścia do obserwatorium, ciemnej plamki, przypominającej mysią norę u podnóża gigantycznej kopuły. Kulski chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył, wyciągnął za odchodzącym ramię, jakby chciał go zatrzymać, i znieruchomiał. Po chwili powoli opuścił rękę, zawahał się i postąpił kilka kroków w stronę schodów, niemal pionowo w ciemniejące zakola skał. Zatrzymał się na pierwszym stopniu, odwrócił, daremnie szukając znajomej sylwetki na tle betonowej półkuli, wreszcie westchnął głęboko, jakby zrzucając nadmierny ciężar, i zaczął schodzić w dół.

Stopnie opadały skalną stromizną, momentami zawisały nad przepaścią, wykute w wąskich półkach. Mało kto korzystał teraz z tej drogi, personel obserwatorium dojeżdżał z dołu elektryczną kolejką jednotorową, przeciwne zbocze przecinała doprowadzona pod samą kopułę wygodna szosa. Tu i ówdzie skalne ociosy, stanowiące stopnie, były wyrwane lub pochylone, trzeba było skakać z jednego bloku na drugi lub trawersować, szorując brzuchem po omszałych głazach. Mijał rozpadliny z buszującymi pod kamieniami strumieniami, chwilami rozpaczliwie balansował, wpadając z rozpędem na strome piargi. Szedł coraz szybciej, właściwie biegł już, na czoło występowały mu kropelki potu mieszając się z rosą strąconą z przydrożnych krzewów i karłowatych buków. W pewnym



momencie wzniosł wzrok do góry i zatrzymał się.

Niebo, dotąd pogodne, zarastało ciemnymi, puszystymi chmurami. Spomiędzy ich postrzępionych brzegów słońce wyluskiwało malejące płyty soczystego, jakby spryskanego lśniącą polewą błękitu. Zza skalnej ściany, po przeciwnej stronie zatoki, wytoczył się grzmot. Echo przyjęło go i odrzuciło w tej właśnie chwili, kiedy zza gór dobiegł nowy basowy pomruk. Spadły pierwsze krople.

Wiosenne deszcze na tym wybrzeżu, obmywanym, jak przed wiekami, ciepłym prądem zatokowym, bywają gwałtowne i krótkie. Łagodny wiatr gładzi raczej niż siecze ciepłymi pacynkami. Kulski otworzył usta, roztarł językiem kilka kropel, krzyknął radośnie i puścił się biegiem. Natychmiast zgubił ścieżkę, długimi skokami przeciął piarżystą rynnę i wpadł na strome, trawiaste zbocze. Zamykała je skalna grzęda. Wypatrzył wygodne, wąskie siodełko, pokonał je i zaczął schodzić strzępiastą granią opadającej stromo galeryjki. Grzmoty jakby przycichały, chociaż deszcz padał coraz gęstszy. Burza przechodziła bokiem. W oddali, na morzu, błyskały już łachy słonecznego srebra. Tylko nad kopułą obserwatorium stała jeszcze grafitowa, zwalista chmura, opadająca zwartą ścianą ulewy. Galeryjka urwała się nagle. Kilkanaście metrów poniżej zieleniła się niemal pozioma łączka. Jedyna – jak się zdawało – droga prowadziła przez lekko przewieszony garb, obcięty z obu stron jak nożem. Bez chwili zastanowienia położył się na brzuchu, okraczył filar i szorując po skale całym ciałem, zjechał na wąską półkę tuż nad przewieszką. Trawers w lewo. Ostatnie metry dzielące go od łączki przebył na spodniach, sunąc wraz z odłamkami skał, żwirem i kępami mchu. Wylądował z impetem, który rzucił go na kolana. Pozostał tak, wdychając zapach zroszonej trawy, kiedy dobiegł go nagle głośny śmiech.

W odległości dwóch metrów, tuż pod przewieszką, skała załamywała się, tworząc coś w rodzaju koleby. Stało tam dwoje młodych ludzi.

Oboje powitali zniebазstąpienie Kulskiego życzliwym śmiechem.

– Pan z tej czarnej chmury czy z tej różowej?! – zakrzyknął chłopiec.

– Na pewno z różowej – zaśmiała się dziewczyna – z czarnej zlatują na miotle!

Kulski podniósł się powoli. Oprzytomniał. Uśmiechnął się do niespodziewanych świadków swojego karkołomnego zjazdu i usiłował doprowadzić do porządku ubranie. Błyszczące włókno, nasyczone parami miedzi, przedstawiało obraz całkowitej ruiny.

– Niechże się pan schowa. Jest miejsce – powiedziała dziewczyna. Kulski potrząsnął głową.

– Teraz? – odrzekł, wskazując brunatnoszare plamy na spodniach i bluzie. – Zresztą śpieszy mi się.

– Do diabła z tymi rezerwatami – zezłościł się chłopak. – Zamówiłoby się przyzwoitą wiosnę, bez żadnych głupich sztuczek i tyle. Mokniemy, marzniemy – bo komuś się wydaje, że tak jest szalenie naturalnie! To ma być ta rzadka rozkosz obcowania z przyrodą. Dziękuję pięknie!

– Nie zrzędź – zawołała wesoło dziewczyna – mogło być gorzej. Jakaś mała lawina albo trzęsienie ziemi... kto wie, co jeszcze wymyślą ci dziadkowie od ochrony przyrody!

Kulski wyprostował się i ruszył przed siebie. "Z różowej chmury..." Uśmiechnął się gorzko. Nie przyleciał wprawdzie na miotle, ale też z pewnością nie z różowej chmury.

Łączka kończyła się tarasem, przez który przebiegał tor kolejki. Podszedł do pierwszego z brzegu wspornika, przywołał wagonik i po chwili jechał już z powrotem, do góry.

Kiedy stanął u stóp kopuły obserwatorium, ta rozbłysła nagle niby ogromna mydlana bańka. Chmury rozstały się, ich ostatnie zatoki szybko topniały w wiosennym słońcu. Kulski odetchnął głęboko i omiół spojrzeniem wierzchołki otaczających Bergen gór. Wilgotne powietrze jak gdyby przyspieszało bieg promieni słonecznych, wyniosłe granitowe czapy leżały dosłownie na wyciągnięcie ręki. Wzdrygnął się nagle na dźwięk niemiłego, natarczywego dźwięku. Minęło kilka sekund, zanim rozpoznał sygnał wywoławczy swojej wmontowanej w zegarek stacyjki. Automat zaskrzeczał ponownie. Kulski nerwowym ruchem podniósł dłoń.

– Słucham – rzucił.

– Kolega Kulski? – poznał głos Cortona. Wydało mu się, że brzmi jakoś inaczej niż przed godziną, kiedy się rozstawali, jakby niepewnie.

– Słucham, profesorze – powtórzył.

– Gdzie jesteś?

– Na górze. Stoję przed wejściem. – Kulski wiedział już, że coś się stało. Ton Cortona nie wróżył niczego dobrego.

– Poczekaj. Zaraz wyjdę.

Kulski postąpił kilka kroków do przodu i zawisł spojrzeniem w drzwiach wejściowych, które z bliska przypominały półkoliste, przezroczyste skrzydła. Po chwili drgnęły, błysnęły ognikami słonecznych refleksów. Wyszedł Corton. Zrobił kilka kroków i przystanął. Kilkanaście sekund wpatrywał się w Kulskiego. Wreszcie przemówił:

– Przygotuj się, Pawle. Pojedziesz do profesora Bo Lorena.

Kulski poruszył bezgłośnie wargami. Twarz Cortona przypominała tragiczną maskę z głębokimi cieniami pod oczyma.

– Co się stało? – wykrztusił wreszcie.

– Tam dowiesz się wszystkiego – odparł szybko profesor. – Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że kończy się dla ciebie okres obserwacji. Będziesz musiał działać. Poza tym... – zawahał się.

– Słucham – wyszeptał Kulski.

– Nie myśl i nie mów nigdy o historii... także o naszej historii, tak, jak mówiłeś do mnie tutaj, przed południem. Tym bardziej... – uniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy – tym bardziej że teraz dopiero będziesz miał powody, żeby powiedzieć "za wcześnie..."

## ROZDZIAŁ VI

– To zaczyna być już nudne – powiedziała Lena, sięgając po termos z kawą. – Gwiazdy w dzień, gwiazdy w nocy, w dodatku chmur ani na lekarstwo... Człowiek mimo woli wpatruje się w horyzont, z nadzieją, że ujrzy wschodzące słońce. Batuzow

zatrzymał komara, okręcił się wraz z łózkowatym fotelem i podał jej swój kubek. Gorący płyn parzył podniebienie, przekładając naczynia z ręki do ręki zdmuchiwali obłoczki pary.

Przezroczyste ściany pojazdu nie zapewniały takiej izolacji termicznej, jak azbestowe włókno skafandrów. W kabinie było porządnie zimno. Mimo to ich hełmy kołatały na tylnych siedzeniach, odrzucone; po kilku tygodniach badań prowadzonych w beztlenowej atmosferze nauczyli się wykorzystywać każdą okazję do uwolnienia karków od ciężaru ciasnych, krępujących swobodę ruchów kryz.

Batuzow odstawił pusty kubek i spojrzał przed siebie.

Dochodziło południe. Ciemnognatowe niebo, wysypane gwiazdami, przypominało papier z opakowania świątecznych prezentów. Phobos wchodził właśnie w trzecie w ciągu tej doby zaćmienie. Deimos wisiał tuż nad horyzontem, sącząc blade, rozmokłe światło. Słońce pozbawione niemal korony, w które można się było bezkarnie wpatrywać nieuzbrojonym wzrokiem, stało w zenicie. Na północy błyszcząca najjaśniejsza na marsjańskim firmamencie – Wenus. Po przeciwnej stronie widnokregu, tuż za białozółtą Ziemią widniał nieco ciemniejszy punkt: Księżyc, w tej samej fazie co planeta-matka. Jak okiem sięgnąć ani jednego obłoku, ani strzępka chmury. Coś takiego można zobaczyć na Ziemi, nocując w czasie pełni w najwyższych partiach gór.

– Przyzwyczaisz się – powiedział Batuzow. Skinęła głową.

– Tak – odezwała się po chwili. – Do tego tak – dodała znaczącym tonem, bez uśmiechu.

Zrozumiał. Dojadło mu już to milczenie, wiedział, że ona przeżywa wszystko jeszcze bardziej emocjonalnie, że jest jej ciężko, że konsekwentne omijanie w ich rozmowach pewnych tematów pogarsza sytuację, dorzucając do innych trosk gorycz osamotnienia. Wiedział też jednak, że słowa niczego nie zmieniają, że kiedy raz zaczną, pociągnie to proces lawinowy, zapędzi ich w zaułek, w którym już po kilku dniach atmosfera stanie się tak zawieszona, że zabraknie jej dla obojga, że zaczną tęsknić do samotności. A to oznaczałoby koniec, w każdym

razie dla niego, dla tego czym była ta kobieta, czym zaczynała dla niego być, wbrew sobie i poza jego wolą, poza całym ich dotychczasowym życiem, które zdawało się zmierzać do jednego celu: astronautyki, misji – bo nie można nazywać tego zawodem – badacza ciał niebieskich i próżni.

Unikając jej wzroku sprawdził wskazania czujników, ujął dźwigni kierownicy i pchnął pedał. Biegi przeskoczyły bezgłośnie, koła targnęły mialki grunt, napały na podłoże, komar potoczył się miękko, od razu nabierając prędkości. Po chwili zmienił nieznacznie kurs. Pozostawiając za sobą łagodne łuki kolein, wytłoczonych w rudym pyłe, ruszyli prosto w stronę zamykającego horyzont pasma wysokich gór. Cyferki w ostatnim okienku licznika kilometrów zwały się w jedną, migoczącą taśmę. Dwa tysiące dwadzieścia jeden, dwa tysiące dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy... cztery...

Liczyby nic nie mówiły o przestrzeni, którą pozostawili za sobą od wczoraj, od czwartej rano, kiedy opuścili raketę. Głośniki milczały, jakby urągając trudowi człowieka, dwojga ludzi, którzy przecięli dwie wielkie, czerwone pustynie, rozdarte kilometrowej szerokości bezdennymi zdawało się szczelinami, jak gdyby cała planeta rozsadzona potwornym wybuchem jądra, pękała w wyszczerbione skalne czerepy.

Piętnaście po trzeciej czasu miejscowego zatrzymali się u stóp długiego upłazu podprowadzającego pod wąską przełęcz między dwoma zwalistymi, skalnymi szczytami. Od pewnego czasu grunt stawał się kamienisty, opuścili pyliste podgórze, miejsce czerwonego miału zajął żwir, potem osypiska, wśród których coraz częściej pojawiały się wielkie, kanciaste głązy i osobliwe, nie mające nic wspólnego z panoramą jurajskich wapieni, ostańce. Omijali już tylko te ostatnie, pojedyncze ułamki skalne zmieniły się w jedno najeżone rumowiskiem pole, którym targany gwałtownymi podrzutami komar parł wwyż jak tocząca się wbrew prawom ciężenia gumowa piłka.

– Przejedziemy przełęczą – Batuzow, manipulując przy hełmie, wskazał szczybę między skalami. Skinęła głową, już gotowa, z ręką na przełączniku zapadni.

– Jak zwykle?

Przytaknął, dając znak, że może spuścić ściany kabiny.

Po dziesięciu minutach byli gotowi. Próbki skał spoczęły w zasobniku, wyniki analizy atmosfery i sondy sejsmicznej wzbogaciły pamięć neuraksa. Kolejny epizod mrówczej, wielodniowej kampanii badawczej, nazywanej przez nich dla odróżnienia od zadań grupy Rankona – powierzchniową. Od dwudziestu czterech dni nie robili na dobrą sprawę nic innego. Pozostawieni sami sobie, przejęli ciężar realizacji całego programu badawczego, opracowanego przed startem z Ziemi, kiedy nikt się nie spodziewał, że na najbliższym kosmicznym sąsiedzie, zmierzonym, zbadanym i obfotografowanym przez setki bezludnych sond, przyjdzie człowiekowi po raz pierwszy w jego historii spotkać się z obcą cywilizacją.

Tamci, z Uzbekistanu, niewiele godzin po lądowaniu przenieśli się do podziemnej hali – bazy przybyszów z kosmosu. Okazało się, że nieprzenikliwe dla oka ściany, a raczej zasłony wyznaczające granice pól siłowych są równie jak dla oka nieprzenikliwe dla gazów. Po zainstalowaniu prowizorycznej stacji filtrów i sprężarek tlenowych pozwoliło to uczonym pracować tam w głębi bez skafandrów.

Od tego momentu Sakadze i Batuzow stracili z nimi praktycznie wszelki kontakt. Odczuli to tym boleśniej, że ekipa przybyła na pokładzie Uzbekistanu, nie mając w swym składzie biologa, dokooptowała Ann Thorson. Również Potton przeniósł się do grupy eksplorującej podziemia, obejmując funkcję zastępcy szefa połączonych ekip, Adama Rankona.

Od czasu do czasu któreś z nich pojawiało się w kabine Kopernika. Mówiono wtedy o pracy Leny i Andrzeja, wymieniano i komentowano wieści z Ziemi. Nikt nigdy nie powiedział słowa na temat postępu badań w podziemiach. Pozostała na powierzchni dwójka wiedziała, że oficjalne transmisje dla Agencji Astronautycznej są kamuflażem, że z podziemi co kilka godzin płyną w kierunku Ziemi zaszyfrowane meldunki, odbierane przez wąską grupę uczonych, wybranych z Zespołu Koordynacyjnego. Wobec respektowanej przez obie strony "zmony milczenia" starano się nadać tym sąsiedzkim spotkaniom charakter beztroskich, koleżeńskich wieczorków.

Nie udawało się to, bo nie mogło się udać. Coraz rzadziej się uśmiechano, coraz częściej po kilku wymienionych zdaniach następowały przewlekłe chwile milczenia. Nic więc dziwnego, że wizyty w Koperniku stawały się coraz radsze i krótsze. Oczywiście, nikt nigdy nie powiedział Lenie ani Andrzejowi, żeby nie przychodzili do podziemi. Po prostu ich nie zapraszano. Najczęściej przyjeżdżała, oczywiście, Ann Thorson, zwykle w towarzystwie młodego profesora cybernetyki inżynierskiej w Neapolu, Giovanniego Como. Najstarszego z załogi Uzbekistanu, Michała Puszkina znali dobrze jeszcze z czasu studiów. Był to wesoły, szpakowaty mężczyzna, zawsze skory do żartów i studenckich figli.

Uśmiech nie schodził z jego twarzy nawet w najbardziej dramatycznych momentach, jakich nie skąpiła praca na stanowisku kierowania eksperymentalnego Instytutu Astrochemii w Nachodce. Przychodził niestety rzadko, Lena powiedziała kiedyś, pod wpływem impulsu, że musiał być przeciwny pozostawieniu ich samych w Koperniku i że czuje się skrępowany, dostrzegając lepiej od innych ich żal, nabrzmiewający pod cienką, napiętą błoną milczenia. Kto wie, może trafiła w sedno, bo Ruszkin przy całym swym rubasznym humorze i chłopięcym sposobie bycia był człowiekiem wrażliwym i w gruncie rzeczy nieśmiałym. Potton oraz czwarty członek drugiej załogi, pilot-konstruktor Gordon Whiten, nie pokazali się ani razu.

Silniki szły na pełnych obrotach, ich głos przypominał granie rozpędzonego do kosmicznych szybkości dziecinnego bąka, amortyzatory z rozpaczliwym miauczeniem chwyciły ciężar pojazdu, spadającego z kanciastych gładzów. W nieustającym tańcu, targani na boki, wgniatani w siedzenia by za chwilę w kolejnym podrzucie chronić kaski przed rozbiciem o dach kabiny, pełzli w górę upłazu. Wydawało im się, że ta koszmarna jazda trwa już godziny, w rzeczywistości zaczęli forsować przegradzający pustynie wyostrzony masyw skalny niespełna dwadzieścia minut temu. Czekala ich jeszcze godzina takiej wspinaczki, zanim osiągnęli przełęcz.

Siodło lśniło skalną gładzizną jak zalane szkliwem. Komar

przyśpieszył, wtoczył się miękko na szczytowy garb przełęczy, koła zagwizdały w poślizgu. Stali.

W ciszy, która spłynęła jak cień na rozpaloną księżycową pustynię, dały się niemal natychmiast słyszeć charakterystyczne trzaski i poskrzypywania. W chłodnej atmosferze kurczyły się gwałtownie rozżarzone tryby silników. Ogłuszeni, zmaltretowani piekielnym tańcem siedzieli dłuższą chwilę bez ruchu. Napięte mięśnie powoli wiotczały, łomot w skroniach przycichał, wreszcie Batuzow westchnął głęboko i leniwym ruchem sięgnął do dźwigni. Ściany rozstały się i zapadły.

Powierzchnia obłego szczytu, sterczącego nad przełęczą, miała barwę miodu. Błyszczała w słońcu jak gdyby naprawdę zalana tężejącą słodką masą. Spieszyli się. Była to łąka lodowa wspinaczka, gorsza, bo skalnego szkliwa nie wzięłyby żaden czekan czy raki, w polu widzenia nie było najmniejszej szczeliny ani szczyrby, palce nie znajdowały uchwytów. Każdy krok groził ześlizgnięciem się w przepaść, przed postawieniem stopy trzeba było chwilę balansować, wyważając ciężar ciała. Wejście na stumetrową stromiznę pochłonęło w tych warunkach blisko godzinę.

Jak okiem sięgnąć rozlała się przed nimi przestrzeń, podobna do jasełkowej dekoracji, a właściwie niepodobna do niczego, co komukolwiek z ludzi zdarzyło się dotychczas oglądać. Gładkimi garbami, jakby zwieszonymi skalnymi palcami, zbocze opadało stromo ku zasłanemu piarżyskiem pogórzcu. Za kamieniskiem, wzdłuż całego widocznego masywu gór ciągnął się kilkunastometrowy pas czystego gruntu barwy palonej cegły. Na wschodzie topniał w rudawej mgle, zacierającej linię horyzontu, od zachodu ginął u podnóży strzelistych strzępiastych szczytów. Należały do tego samego masywu, na którym stali. Pojedynczy rząd niebotycznych wypiętrzeń, jak gdyby sztucznie wkopanych w pustynię, zataczał łuk o promieniu kilkuset kilometrów. Przypominało to wycinek ściany gigantycznego krateru. Skalisty grzebień nieznacznie tylko malał oddalając się ku widnokręgowi i wsiąkał w granat firmamentu.

Na wprost, za pasem czerwonej ziemi, rozciągały się nie-



zmierzone połacie, jakby obsypane pomarańczowym śniegiem. Podobne do morskich płycizn majaczyły tu i ówdzie bezkonturowe plamy czerni i głębokiej zieleni. Były to osławione marsjańskie "plantacje", przyczyna bezsennych nocy dwudziestowiecznych astronomów i przyrodników. Dziś już dokładnie zbadane i obfotografowane, od dawna odarte z wszelkiej tajemniczości, przechodziły stopniowo do podręczników dla coraz to niższych klas. Co innego jednak wiedzieć – a co innego być pierwszym, który zobaczył.

Łańcuch górski otaczał od południa obszary Caduceaty i Apollonii. Na terenie tej ostatniej, gdzieś przed nimi, leżał hipotetyczny punkt lądowania Kopernika. Za ich plecami pozostała Liguria z jej pylistą pustynią, która omal nie stała się ich grobem. Dziś po raz pierwszy mieli opuścić jej granice. Harmonogram badań trzymał ich dotychczas w pobliżu statków, w promieniu nie przekraczającym trzydziestu kilometrów. Dopiero po zakończeniu wstępnego etapu przysłała kolej na dalsze wyprawy. Trudno się dziwić, że celem pierwszej stały się tereny Apollonii, rejon wytyczony przed startem pod budowę pionierskiej bazy Ziemiaków na Marsie. Tam była woda, pochodząca z topniejącej czaszy śniegowej pokrywającej krąg bieguna północnego, tam plążyło się życie roślinne, tam wreszcie, nad "plantacjami" zaobserwowano osobliwe tlenowe mikroklimaty. Uboga flora pokrywała niekiedy ciepłych dolin, zwanych przez dawnych astronomów "morzami" także w innych rejonach planety, były one jednak znacznie gorzej zaopatrzone w wodę, w sąsiedztwie której biologowie spodziewali się znaleźć najciekawsze i najbujniejsze kolonie roślin. W normalnych warunkach regulamin zabraniał oddalania się od statku na tak dużą odległość. W obliczu konkretnej sytuacji, w jakiej postawiła ich awaria Kopernika, a przede wszystkim wobec prowadzonych przez zasadniczą grupę badań obcej bazy kosmicznej, nie mieli jednak wyboru. Należało albo w ogóle zrezygnować z wyprawy, albo zdecydować się na jazdę komarem. Zresztą pojazd ten przystosowany do wszelkich możliwych warunków i rozwijający w łatwiejszym terenie bardzo znaczną szybkość, spełniał

praktycznie wymogi bezpieczeństwa. Miał przy tym tę wyższość nad statkiem, że pozwalał jadącym na bezpośredni kontakt z badanym terenem, po prostu można było więcej zobaczyć. Przemierzyli więc obszar Ligurii, robiąc chwilami trzysta kilometrów na godzinę. Zatrzymywali się tylko na krótko, dla przeprowadzenia stereotypowych badań. Przełącz, na której teraz stali, dzieliła na dwie równe niemal części wycinek skalnego muru pomiędzy Ligurią i Apollonią.

Jak urzeczeni wpatrywali się w ogromną, pofałdowaną płaszczyznę, podobną do płótna faszysty, naciągniętego na nieruchomą, nieskończoną karawanę wielbłądów. W pewnej chwili spojrzenie Batuzowa padło na twarz Leny, stojącej kilka kroków dalej, w nieznacznym, łagodnym zagłębieniu skalnym. Musiał się uśmiechnąć. W jej oczach podążających wzdłuż linii horyzontu widniał najczystszy, dziecinny zachwyty. Wyglądała jak mała dziewczynka, po raz pierwszy w życiu zabrana do lunaparku. Z otwartymi ustami wpatrywała się w miejsce, gdzie grzebień fantastycznych, jakby zastygłych w płynnym wybuchu skał, przebijając żyłę rudawej mgły, wsiąkał w gwieździsty granat. Nie myśląc o tym, co robi, jak zahipnotyzowany postąpił kilka kroków i objął ją ramieniem. Nie odsunęła się. Po dobrej chwili odwróciła powoli głowę i spojrzała na niego, jak gdyby bezgranicznie zdumiona.

– Podoba ci się? – spytał wysokim, nieswoim głosem. Nie odpowiedziała. Zrobiła ruch, jakby chciała postąpić do przodu. Natychmiast cofnęła ramię.

– Tam będziemy nocować – powiedział już zwykłym tonem, wskazując ciemniejszy pod widnokrzem pas zieleni. – Rano, kiedy będzie jeszcze rosa, polecę na łąkę i przyniosę ci bukiet najpiękniejszych marsjańskich ostów.

Drgnęła jak zbudzona ze snu.

– Przyjmę osty jako dowód rzeczowy. Załączę je do raportu o naruszeniu statutu marsjańskiego rezerwatu biologicznego. Mówiąc to odwróciła głowę. Oślepiiony słonecznym refleksem, który zapłonął w szybie jej hełmu, nie wiedział, czy mu się zdawało, czy rzeczywiście przez jej twarz przemknął krótki, mimowolny uśmiech. "Czy tak będzie zawsze?" – pomyślał.

– Wracamy. – Głos Leny brzmiał sucho, rzeczowo. Nie czekając na niego zaczęła ostrożnie schodzić w kierunku przełęczy. Zamyślony, podążył za nią. Nic się nie stało, nic nie zaszło, skąd więc to wrażenie, a raczej pewność, że ich "zmowa milczenia" wkroczyła w nowe, dotychczas nie objęte zakazem obszary.

Bez przeszkód zjechali zboczem łagodniejszym z tej strony i wolnym od kamienistego osypiska. Gładki jak stół pas czerwonej ziemi pozwolił na rozwinięcie maksymalnej szybkości. Pędzili w milczeniu, koncentrując uwagę na tarczy radaru i okienkach czujników. Po godzinie Batuzow przesunął nieznacznie dźwignię kierownicy. Komar, przemierzający dotąd prostym skosem podgórską równinę, zatoczył łagodny łuk, odwracając się tyłem do szczytów i biorąc bezpośredni kurs na biegun.

Od przełęczy, gdzie przekroczyli granicę Apollonii, dzieliło ich już przeszło dwieście kilometrów. Wciąż jeszcze daremnie wypatrywali przed sobą pierwszych smug zieleni, której rozległe kolonie tak wyraźnie rysowały się w krajobrazie widocznym ze szczytów. W pewnym momencie Batuzow oddał stery Lenie, a sam zajął miejsce z tyłu, przy pulpicie małego pokładowego analizatora.

Jazda stawała się uciążliwa. Nie robili teraz więcej niż pięćdziesiąt na godzinę. Za czerwonym pasem ziemi, grunt z każdym kilometrem twardniał, amortyzatory nie nadążały za coraz częstszymi wyrwami i wybrzuszeniami kamienistego podłoża. Cienkie warstwy gleby rozstępowały się chwilami na dość znacznych połaciach, obnażając skalne łysice, porznięte żyłami jakichś brudnobiałych, zwietrzałych minerałów. Szczeliny stawały się coraz szersze, rozdęcie opon komara nie na wiele się zdało, po kilku minutach zaczęło tak rzucać, że chcąc nie chcąc musieli jeszcze bardziej zredukować szybkość.

Nagle Lena krzyknęła i szarpnęła gwałtownie dźwignię, zwalniając równocześnie pedał gazu. Komar zakręcił w miejscu, uwiązał dwoma kołami w głębokiej wyrwie, wyszarpnął się, tracąc rozpęd wykonał gwałtowny skok do przodu, po czym znieruchomiał.

– Co się stało? – wykrztusił Batuzow, gramoląc się z powrotem na siedzenie. – Kontrola drogowa?

– Patrz, co się dzieje – Lena, zawstydzona trochę swoją nieopanowaną reakcją wskazała palcem tarczę wskaźnika ferrofotonowego.

– Obserwuję go od dobrych kilku minut – rzucił cierpko, rozcierając kolano. – Zanim rozbijesz komara, warto byłoby może dojechać do źródła tego bałaganu.

Tarcza wskaźnika, którego dwie nikłe osie wykonywały zwykle żmudny i długotrwały marsz, zanim wykazały jakiegokolwiek zmiany, przypominała kolorowy, wirujący młynek.

– Kobalt, nikiel, dysproz – recytował Andrzej, regulując wzornik analizatora – i chyba żelazo...

– Żelazo?

– Uhm... – mruknął. – Jakieś dziwne, jakby aktywne...

– Same ferromagnetyki – powiedziała, jakby do siebie, Lena.

– O dość dużej sile koercji – uzupełnił. – Ale to nie wszystko. Spójrz na kompas.

Odwróciła się szybko i pochyliła nad umieszczoną między siedzeniami cebulastą tarczą.

– Odchylenie?! – wykrzyknęła. – Tutaj, pod biegunem?

– Odchylenie. I to pod bardzo znacznym kątem..

– Co to może znaczyć? Jakieś pokłady? Pokiwał z powątpiewaniem głową.

– Widma dają niemal idealnie proste graniczne. Nie widziałem jeszcze tak uwarstwionych naturalnych złóż...

– Wychodzimy?

– Tutaj? Poczekaj, pojedziemy kawałek w kierunku tej nowej północy magnetycznej.

– Zboczmy z drogi – mówiąc to, pchnęła drążek. Silniki zaskoczyły natychmiast. Jedno spóźnione miauknięcie doleciało z piasty prawego środkowego koła. Batuzow zanotował to w pamięci. Trzeba będzie wyregulować.

Jechali torem wytyczonym przez igłę kompasu, jej przedłużonym po horyzont ramieniem. Gdzieś przed nimi, na pozornie pustej równinie znajdowało się coś, co wzbudziło niepokój czujników. W pewnym momencie wprost przed sobą,

w skośnych już promieniach słońca dostrzegli jak gdyby prosty, betonowy krawężnik. Podjechali bliżej.

– Więc to tak – mruknął Batuzow. – Otóż i twoje złoża.

Nie odpowiedziała. Tylko szalenieć mógł przypuścić, że coś takiego stworzyła natura.

W sercu kamienistej głuszy, jak okiem sięgnąć pozbawionej jednego wzgórza, nie mówiąc już o czymś, co przypominałoby drogę, leżała płaska, kamienna bryła, jak gdyby cokolwiek pomnika o pięćdziesięciometrowym boku. Białe ściany kwadratu mniej więcej półtorametrowej wysokości wyrastały wprost z pustyni. Gładka powierzchnia lśniła jak wypolerowana.

Komar toczył się powoli wzdłuż prostopadłej ściany. Osiągnąwszy naroże skręcili ostro. Andrzej zerknął na kompas. Igła wykonała kilka szybkich obrotów i stanęła, wycelowana w środek cokołu. To samo powtórzyło się za następnym rogiem. Wskaźnik ferrofotonowy dawno stał się bezużyteczny, demonstrując już nie młynek, a tęczy wir o pustym, martwym oku.

Komar wytoczył się właśnie z za czwartego, ostatniego narożnika. Batuzow składał już usta do krzyku, kiedy Lena szarpnęła hamulce. Zatrzymali się może dwadzieścia centymetrów przed krawędzią wykopu, a raczej niewielkiej studni o utwardzonych ścianach. Pośrodku zagłębienia widniała spiczasta wieżyczka.

– Wysiadamy? – odezwała się po chwili Lena. – Czy może poczekamy na specjalistów od podziemi? A nuż mieliby do nas pretensje?

Batuzow spojrział na nią z wyrzutem i nic nie mówiąc otworzył kabinę.

Po chwili, z wyciągniętymi przed siebie ramionami zbliżał się powoli do wieżyczki. Z góry, z siedzenia wysokiego pojazdu wyglądał w swoim skafandrze jak średniowieczny kapłan, odprawiający misteria. Ale nic się nie stało.

W przeciwieństwie do automatów zamykających gardziele szybów koło wyrzutni, wieżyczka pozostała obojętna zarówno na ich obecność, jak i wszelkie gesty, manewry, wreszcie brutalne postukiwanie.

– Trudno – powiedziała wreszcie Lena. – Jednak nie obejdzie się bez specjalistów. Przepraszam, już nie będę – dodała przekornie, pochwywszy jego spojrzenie.

Przekonawszy się, że wszelkie próby poruszenia wieżyczki pozostają bezowocne, wrócili do pojazdu i nie podnosząc ścian zakończyli rundę wokół cokołu wracając do miejsca, z którego wyjechali. Po krótkiej naradzie zdecydowali się przeszukać najbliższą okolicę. Zajął im to bite półtorej godziny. W zapadającym szybko zmroku doszli ostatecznie do wniosku, że teren otaczający płytę nie kryje już żadnych niespodzianek. Nie było ta więcej studni z; wieżyczkami, nie natrafili też na resztki budulca czy też jakikolwiek inny ślad czyjejś obecności. Wracając, podjechali pod samą ścianę cokołu. Batuzow podciągnął się na rękach i niezgrabnie, z trudem pokonując ciężar skafandra wskoczył na powierzchnię płyty. Następnie podał rękę Lenie i po chwili stali już obok siebie na krawędzi kwadratowej gładziny, ostrożnie, nieufnie badając grunt pod stopami. Lena postąpiła wreszcie kilka kroków do przodu i energicznie tupnęła. Zadźwięczało.

– Metal?

Otwierał już usta, żeby odpowiedzieć, kiedy krajobraz przed nimi oblał się nagle krwistą luną. Odwrócili się. Za ich plecami słońce zaszło już dawno, pogrążając się w rudym aksamicie mgły. Pomiedzy jej puszystą warstwą a linią horyzontu pozostała jednak wąska przecinka czystego granatu. Tam właśnie trafiła teraz czerwona tarcza słońca w swoim pozornym marszu pod ziemię.

Trudno było oderwać oczy od tego widoku. Było w nim coś okrutnego, obcego, był jednak przepyszny. W pewnej chwili Lena odwróciła głowę, żeby jeszcze raz spojrzeć na płomienistą zorzę nad biegunem i krzyknęła. Odruchowo chwyciła ramię Andrzeja. W odległości zaledwie kilku kilometrów widniała jakaś czarna teraz, skłębiona ściana. Nie widzieli jej przedtem, kiedy tu przyjechali, pochłonięci badaniem cokołu i wieżyczki. Potem było już za ciemno. Dopiero teraz, w krótkim, ostatnim tego dnia słonecznym rozbłysku, ujrzeli to, czego wypatrywali od opuszczenia gór: rozciągającą się szeroką ławą roślinność.

Słońce zgasło tak nagle, jak się pojawiło. Tylko granat nad widnokregiem opalizował jeszcze, unosiły się w nim delikatne, zwiewne nitki purpury. Nagle dobiegł ich najcichszy, wibrujący dźwięk, przypominający dalekie ćwierkanie świerszcza. Spojrzeli na siebie i tknięci jedną myślą pobiegli do przeciwległej krawędzi. Brzegi wykopu wyróżniały się w mroku głębszym odcieniem czerni. Po chwili udało im się wypatrzyć w głębi stożek wieżyczki. Trwał nieruchomo. Wyteżyli słuch. Świergot narastał, dobiegał teraz z przeciwnej strony, z miejsca, gdzie zostawili komara. Bez słowa, starając się stąpać jak najciszej, skierowali się w tamtym kierunku. W tej samej chwili na szyby ich hełmów opadł obłok czarnych, pobłyskujących sino muszek. Świergot wzmógł się do wysokości dotykających granicę słyszalności. Dokoła ich głów coś wirowało zajadle, uganiało się w ciasnej spirali, owadów przybywało, wydało im się, że tkwią pośrodku pęczniejącej, żywej masy. Batuzow zapalił reflektor.

W białym polu rozbłysły setki, nie, tysiące rtęciowych świetlików. Trwało to ułamek sekundy. Tknięty oślepiającym blaskiem rój jakby zamarł w bezruchu, po czym opadł martwo, zalegając całą widoczną w świetle reflektora powierzchnię płyty. Znaczna część muszek osiadła w fałdach ich skafandrów; pokrywy butli tlenowych, rękawy, nawet rękawice wyglądały jak spryskane tuszem lub sadzą. Lena otrząsnęła się z obrzydzeniem.

– Brr – zawołała, zapalając reflektor – ależ to paskudztwo! Andrzej uniósł ostrożnie rękę do oczu. "Paskudztwo" przypominało z bliska miniaturowe biedronki. Panczerzyk, pokrywający tułów, był gładki i przezroczysty. Delikatnie potrząsnął dłonią. Część owadów potoczyła się bezwładnie, niektóre opadły na grzbiet, jeśli nazwać grzbietem kopułę panczerzyka. Żaden się nie poruszył, wyglądały jak małe, ziemskie żuczki, udające martwe grudki. Od spodu były pokryte czymś w rodzaju czarnego, pobłyskującego czółenka. Na próżno usiłowali wypatrzyć jakieś odnóża, skrzydła czy inne narządy. Stworzonka były idealnie okrągłe i zasklepione, jak mikroskopijne, otoczaki. Batuzow wydobyl z kieszeni

plastykowe pudełko, otworzył je i podstawiając pod prawe ramię, strzepnął kilkanaście owadów. Stoczyły się do płytkiej pokrywki z metalicznym szelestem. Ukrył zdobycz w kieszeni i otrząsnął się energicznie. Nagle pochwycił jakiś ruch na krawędzi płyty. Skierował tam światło reflektora i osłupiał.

Środkiem cokołu wędrowała w ich stronę ogromna płaszczka, a raczej niespotykanych rozmiarów liść. Zwierzę miało chyba z osiem metrów długości. Przylegając płasko do płyty falowało powoli, pełzło, wyginając tarczowaty grzbiet jak monstrialna liszka. Po jego sercowato wyciętym tułowiui biegły jakieś skośne, równoległe żyłki. Nad ostro zakończonym odwłokiem unosił się sztywno wyprostowany pręt.

– Skacz – powiedział spokojnie Batuzow.

– A ty... – zawahała się.

– Skacz – powtórzył z naciskiem. – Byli bez broni. W momencie kiedy Lena zniknęła za krawędzią cokołu, płaszczka zafalowała gwałtownie. Z przodu, tam gdzie u liścia zaczyna się główny nerw, zaczęła szybko pęcznieć jakaś przecięta wół, mleczna bania. Dobiegło go wyraźne, ohydne mlaśnięcie. Bania rozwarła się, wyrzucając strużkę papkowatego płynu. Mimo woli cofnął się o krok, ale wstrętna ciecz nie dosięgła jego stóp, rozlewając się błyskawicznie w szeroką kałużę tam, gdzie czerniało największe skupisko pozornie martwych "biedronek". W ułamku sekundy zawirowało dokoła. Rój owadów ożył i wzbił się w powietrze, z wysokim, jazgotliwym ćwierkaniem. Dźwięk cichł szybko, oddalał się, po chwili w powietrzu panowała już znowu niczym nie zmałona cisza. Cofnął się ostrożnie do narożnika płyty, nie spuszczać wzroku z płaszczki. Stwór zdawał się nie dostrzegać obecności człowieka. Pełził wolno w stronę mazistej kałuży, w której poruszało się leniwie kilkadziesiąt a może kilkaset owadów. Zbliżywszy się na odległość kilku centymetrów do brzegu kleistej plamy, opadł płasko, przywierając do płyty. Z mlecznej bani wyskoczyło coś, jakiś wąski wyrostek, trudno było określić jego kształt, bo poruszał się z ogromną szybkością. Za każdym wyrzutem kałuża kurczyła się znacznie, po chwili na powierzchni cokołu nie pozostało już śladu po niej i uwięzionych w niej owadach.



Skończywszy ucztę płaszczka trwała chwilę nieruchomo, wreszcie jej ciało przebiegł gwałtowny kurcz, po czym wydeła grzbiet na kształt ogromnego grzyba i posunęła się pół kroku w jego kierunku. Nie czekał dłużej. Zeskok, dwa susy i już był obok Leny, w kabine komara. W momencie kiedy nad ich głowami zwierzały się przezroczyste ściany, płaszczka oderwała się powoli od powierzchni płyty i falując łagodnie przeleciała, a raczej przepłynęła rybimi ruchami, przestrzeń pomiędzy ścianą cokołu a pojazdem, okrążyła go bezszelestnie i wsiąkła w ciemność.

Godzinę później znaleźli się znowu u stóp betonowego kwadratu. W zasobnikach komara spoczywały pęki roślin z pobliskich kolonii. Ostrzeżeni niedawnym spotkaniem nie ryzykowali kontaktu z przedstawicielami miejscowej fauny. Próbkę roślin pobrali sterowane z kabiny wysięgniki.

Mijając gładką ścianę cokołu, Batuzow liźnął ją jeszcze raz światłem reflektorów i odruchowo zwolnił.

– Już wiem! – zawołała nagle Lena. Spojrzał na nią, zaintrygowany.

– To jest lądowisko – oświadczyła.

– Lądowisko... – mruknął. Nie wyglądał na przekonanego.

– Gdzieś w tym rejonie mieliśmy lądować, prawda?

– Myślisz, że zbudowali to z myślą o nas? W takim razie zapomnieli o bramie tryumfalnej... – wyprostował reflektory i wdusił pedał gazu. Nabierali szybkości.

– Dlaczego właśnie tutaj? – ciągnęła, nie zważając na jego ironiczny ton. Spojrzał zdziwiony.

– Jak to dlaczego? Woda, łagodniejszy klimat, najbujniejsza roślinność... wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

– Otóż to. A skąd o tym wiemy? Wzruszył ramionami.

– Od lat przecież badano planetę. Setki sond, analizy spektralne, pomiary...

– Każde lądowanie na obcej planecie poprzedza zwiad astrofizyczny – mruknęła, pozornie bez związku.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Człowiek w ogóle bada swoje sąsiedztwo...

– Czy tylko człowiek? – podchwyciła z uporem. – Gdyby

istoty z trzydziestu systemów słonecznych wybrały się pewnego dnia na, powiedzmy, drugą planetę Alfę Centaura, to kto wie, czy nie spotkałyby się wszystkie kilka minut po lądowaniu. Gdzieś w tym rejonie mieliśmy osadzić Kopernika. Badania, które przeprowadziliśmy, wskazały teren najdogodniejszy do założenia bazy. Identycznie badali planetę ci, którzy zbudowali te podziemia i wyrzutnie. Z tą różnicą, że wylądowali tam, gdzie zamierzali. To wszystko.

Nie odpowiedział od razu. Wydostali się już z obszaru kamienistych wyrw i szczelin. Strzałka licznika zbliżała się do liczby trzysta. Pomrukujące w piastach wszystkich kół silniki niosły ich równym, miłąkim podłożem w gęstniejący mrok.

– Gdyby tak było... – odezwał się wreszcie, nie odrywając wzroku od ekranu noktowizora – gdyby rzeczywiście wybrali ten teren na podstawie, jak powiedziałaś, zwiadu astrofizycznego, to mogłoby znaczyć, że rzeczywiście jesteście do siebie podobni. – Skinęła głową.

– Byłam tego pewna.

Uśmiechnęła się. W tych słowach ujawniła całą swoją naturę: konglomerat nawykłego do żelaznej dyscypliny, dociekliwego umysłu naukowca i dziewczęcego optymizmu, zaprawionego przekornym entuzjazmem.

– Jeżeli pokażesz mi jeszcze ich zdjęcie... – powiedział to ciepłym tonem, bez krzty ironii – a wiesz – dodał szybko – wcale bym się nie zdziwił, gdybyś to zrobiła...

– Gdybym ci dwie godziny temu pokazała zdjęcie tego dwuwymiarowego muchojada czy raczej drapieżnego latającego dywanu, to powiedziałbyś, że to fotomontaż. Są ludzie, których można przekonać o tym, że ogień parzy, tylko w ten sposób, że wrzuci ich się do pieca...

– Jestem empirykiem.

– Jesteś nudny.

Uśmiechał się dalej, chociaż ten, tak bardzo kobiecy argument, sprawił mu nieoczekiwaną przykrość. Musiała to odgadnąć, bo odwróciła się w jego stronę i powiedziała przepaszającym tonem:

– Nie gniewaj się.

– Nie jestem twoim mężem – odparował. – Na razie – dodał z naciskiem.

– Jeżeli wybrali do lądowania ten sam teren co my – mówiła szybko, przechodząc do porządku nad jego ostatnimi słowami – to znaczy, że odpowiadają im te same warunki, które zadecydowały o naszym wyborze. Temperatura, woda, rośliny. Tam, w podziemiach, jest tlen. Czegóż trzeba więcej?

– Ich samych, żywych – odpowiedział poważnie.

Zapanowało milczenie.

Nie informowali bazy o nowym odkryciu. Nie uległo wątpliwości, że zagadkowa płyta z nieruchomą wieżyczką wymaga zbadania przez większy zespół. Grupa, pracująca w podziemiach, miała teraz ważniejsze zadania. Tak czy owak trzeba będzie tu wrócić.

Pół do drugiej w nocy przekroczyli przełęcz. Kilka metrów poniżej szklistego siodła Batuzow zatrzymał komara. Nie miało sensu forsować po ciemku zasłanej głazami stromizny. Zresztą obojgu należał się odpoczynek.

Pierwsza zbudziła się Lena. Na wschodzie czerń nieba ustępowała już przed zagonami przezroczystego granatu. Świt wstawał zza horyzontu jak gigantyczna ręka z rozcapierzonymi palcami. Zасыpiając zapomnieli ustawić regulator klimatyzatora. W kabinie było zimno i duszno równocześnie. Czuli się podle. Na dobre rozbudził ich dopiero obłąkańczy taniec w czasie zjazdu skalnym piarżyskiem.

Odetchnęli, wydostawszy się wreszcie na pustynię. Wyciągając z silników co się dało, pomknęli prosto jak strzełił w stronę podziemnej bazy.

Wzdłuż bocznych ścian gigantycznej hali płonęły dwa rzędy żółto błękitnych jupiterów. Światło zamiast przybliżyć do siebie mury nawy, potęgowało jeszcze jej ogrom. Prowizoryczne laboratorium, urządzone przez ekipę badawczą w pobliżu przerwy w przecinającym halę trójrzędzie ekranów, wyglądało jak kojec dla niemowlęcia, ustawiony na rynku wielkiego, bezludnego miasta. Strop tonął nadal w płataninie konstrukcji i przewodów, tylko ogniki i wijące się świetliste taśmy nieco przybladły, ich pastelowe barwy spłwiałały, punkty i przecinki

świetlne na tarczach ekranów stały się mniej wyraziste.

Z bliska laboratorium przypominało pokój o obciętych do połowy wysokości ścianach, zbudowanych z pulpityw analizatorów i neuraksa. Tarcze wskaźników i manipulatory sterowni były skierowane do wewnątrz; po przeciwnej stronie, wzdłuż obwodu pomieszczenia czerniała gęsta płatanina kabli i łącz, oblepionych naroślami miniaturowych wzmacniaczy. Nieco dalej wszystkie te przewody wpływały w spięte na kształt warkoczy wiązki i równoległymi ścieżkami biegły w stronę wylotu korytarza. Tam rozdzielały się, niektóre szły do anten, inne znikwały w korpusach agregatów energetycznych i rozdzielniach, jeszcze inne biegły dalej, do stacji sprężarek.

Wewnątrz oświetlonego dwoma bezcieniowymi reflektorami laboratorium panował pozorny bezruch. Zgięty nad pulpitem neuraksa Potton przypominał posąg astrofizyka z kularów Pałacu Astronautów. Ruszkin wodząc wskazującym palcem po szkicu podziemi, drugą ręką wybierał klawisze w centralce komunikacyjnej. Za każdym dotknięciem ręki na mleczej, matowej tarczy na wprost jego twarzy zapalały się i gasły kolejne cyfry. Każdy z członków połączonych załóg miał tutaj swój numer. Oczywiście, łączność można było prowadzić automatycznie, wprowadzając ją do programu neuraksa, ale ten i tak był już przeciążony. Z ośmiu cyfr dwie pozostawały ciemne. W podziemiach pracowało jak wiadomo sześć osób.

Ann Thorson siedziała obok Pottona, wpatrzona w leżącą na jej kolanach końcówkę kabla, opatrzoną wskaźnikiem poboru mocy. Kabel ten podpięty do jakiejś ażurowej belki, przekraczał ścianę pomieszczenia i ginął we wnętrzu baniastej konstrukcji przechodzącej dalej w kolankowato złamany, rozszerzający się ku górze lejek wysokości fabrycznego komina. Cori, uzbrojony w przyrząd przypominający kilka sprzężonych stetoskopów, trwał nieruchomo, przegniety nieznacznie do tyłu, u podnóża bani. W głowicy przyrządu zapalały się światełka, gasły równocześnie z nieznacznymi poruszeniami palców Pottona na pulpicie neuraksa. W przejściu pomiędzy ekranami ukazał się nagle Whiten.

– Kolego Potton – powiedział, spoglądając odruchowo na

Giovanniego. – Rankon czeka na was w Rotundzie.

– Zaraz – rzucił Piotr. Nie odrywając wzroku od ekranu zgasił papierosa i na oślep wyciągnął rękę, szukając ramienia Puszkina.

– Znalazł coś ciekawego – nalegał Whiten.

– Niech czeka – zezłościł się niespodziewanie Potton.

– Już kończymy – odezwała się pojednawczo Ann.

– Ile? – spytał podchodząc bliżej chemik.

– Ile? – nie odkładając instrumentów krzyknął Como.

Zza półścianki wystawał tylko czubek jego czupryny. Ann odłożyła nagle kabel ze wskaźnikiem i wstała.

– Zero – powiedziała głośno. Whiten znieruchomiał. – Jak to... – zdołał wykrztusić. Ann uśmiechnęła się.

– Zero poboru mocy – wyjaśniła.

– Myślałeś, że jeszcze tu siedzą, w którejś z tych dziur? – zaśmiał się Ruszkin. Okręcił się z fotelem i spojrzał na Pottona.

– A więc tak... – westchnął.

– Powiedzcież coś wreszcie – zniecierpliwził się Whiten.

– Sto trzydzieści pięć do stu czterdziestu – przeciągając sylaby odpowiedział Potton. – To znaczy... – zamyślił się.

– Piotrze – zachrypiał nagle głośnik. Poznali zniekształcony głos Rankona.

– Powiedz mu, że skończyliśmy – Potton zwrócił się do Puszkina.

Ten skinął głową i uruchomił nadajnik.

– Ile? – wychrypiał Rankon.

– Sto czterdzieści – odparł Ruszkin.

Łączność była piętą achillesową techniki pracy w podziemiach. Fale głosowe z największym trudem przebijały granice pól siłowych. Odbiornik w laboratorium przekazywał jeszcze od biedy głosy ludzi mówiących z odległych korytarzy. Jeśli jednak ktoś znajdujący się w hali chciał wezwać osobę pracującą poza nią, musiał uciekać się do nadajnika centrali, sprzężonego z satelitą komunikacyjnym. W pionie fale rozchodziły się swobodnie.

– Idę do was – domyślili się raczej, niż usłyszeli słowa Rankona.

– Tamci wracają – powiedział nagle Ruszkin. Oczy wszystkich zwróciły się na ekran. Z boku mleczej tarczy zapłonęły cyferki: siedem i osiem.

– Coś się musiało stać – zaniepokoiła się Ann.

– Znudziło im się – burknął Potton. Ann otworzyła usta, ale ubiegł ją Ruszkin:

– Gdyby im się coś stało, neuraks dałby nam znać. Myślę raczej, że odkryli coś takiego, o czym chcą nas zawiadomić osobiście. Zresztą – dodał uśmiechając się łobuzersko – najwyższy czas. Wy tutaj znacie już wszystkie moje kawały. Jeszcze dzień, dwa, a zanudziłbym was na śmierć.

– Trzeba im powiedzieć – Ann podeszła do Piotra i oparła dłoń na jego ramieniu. Spojrzał na nią z wyrzutem, ale nic nie powiedział.

Tarczę narożnego reflektora przesłoniła nagle sylwetka człowieka w skafandrze. Rankon szedł szybkim krokiem przez halę, mocując się po drodze z hełmem. Zdarł go wreszcie i cisnął na fotel.

– Czy to pewne? – spytał, zwracając się do Pottona. Na jego twarzy widniał szeroki uśmiech. – Sprawdzaliście?

– Trzy razy – odrzekł Potton.

– A więc sto czterdzieści. Rok... – liczył szybko w pamięci – ...tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi...

– Z tolerancją do pięciu lat – uzupełnił Como. – Sto trzydzieści pięć do stu czterdziestu. Maksimum osiągalnej w tych warunkach dokładności. Analizatory fotochemiczne nie są dostosowane do takiej atmosfery.

– Mógłbym powiedzieć, że bliżej stu czterdziestu niż stu trzydziestu pięciu – dodał Potton – ale to byłyby już przypuszczenia.

– Wystarczy – powiedział wesołym tonem Ruszkin. – Nie sporządzamy kalendarza.

– Wystarczy – zgodził się Rankon. – A więc koniec – dodał po chwili. – Koniec – powtórzył jak echo Whiten. Zapanowało milczenie.

– No to meldunek – powiedział wreszcie Rankon. Ruszkin cofnął się kilka kroków, robiąc mu miejsce przy pulpicie

centrali komunikacyjnej.

W czasie gdy Rankon nadawał, pozostali zbliżyli się bezwiednie, otaczając go ciasnym półkolem. W głębokim milczeniu wsłuchiwali się w dziwnie brzmiące symbole i liczby, które w ciągu długich tygodni tak dobrze nauczyli się rozumieć. Szef ekipy zakończył wreszcie meldunek stereotypowym hasłem i wyłączył centralę. Niemal natychmiast w głośniku zatrzeszczało i zabrzmiał wyraźny głos Batuzowa:

– Nie słyszą nas.

– Nie szkodzi – odpowiedziała Lena. – Już dochodzimy.

W tym samym momencie w kręgu światła skrajnego reflektora ukazały się dwie małe sylwetki w charakterystycznych spiczastych hełmach.

Na pokładzie Uzbekistanu przylecieli uczeni, którzy w ostatniej niemal chwili zastąpili fotoników i inżynierów, powołanych w skład załogi wyprawy ratunkowej. Po nawiązaniu łączności z Kopernikiem zwerbowano na gwałt komplet badawczy.

Po wylądowaniu opracowali program badań i niezwłocznie przystąpili do jego realizacji. Wracając z Apollonii Lena Sakadze i Andrzej Batuzow trafili przypadkiem na ostatni akt, wieńczący pierwszy etap programu. Celem tego etapu było znalezienie odpowiedzi na trzy pytania: z jakich okolic kosmosu pochodzą przybysze, kiedy opuścili nasz układ słoneczny i kiedy wobec tego Ziemia była terenem ich eksploracji oraz jakie jest przybliżone prawdopodobieństwo ich powrotu. Ekipa otrzymała też polecenie przeprowadzenia badań, zmierzających do ustalenia obszaru kuli ziemskiej, który mógł być penetrowany przez gości. To ostatnie zadanie, pozostające zresztą w ścisłym związku z pracami prowadzonymi na Ziemi przez historyków wchodzących w skład Zespołu Koordynacyjnego, określało program maksimum wstępnego etapu. Jego wykonanie zależało bowiem od uzyskania zadowalającej odpowiedzi na trzy pierwsze pytania oraz od tego, czy zbudowane na placecie urządzenia dadzą fizyczne podstawy do tego rodzaju analizy kierunkowej.

Od czasu pierwszej, tragicznej wyprawy, a raczej reko-

nesansu, Lena i Andrzej nie zaglądali do podziemi. Ich wzrok uciekał ku przepastnym kłębowiskom przewodów i konstrukcji, kiedy relacjonowali swoją ostatnią podróż uwieńczoną nowym odkryciem.

– Więc nie byliście tam w środku? – spytał Rankon, kiedy skończyli.

– Nie... – Lena spojrzała na niego, zaskoczona jego obojętnym, jakby roztargnionym tonem. Przecież dopiero co o tym mówili...

– Tak, tak... – westchnął po chwili Como. – Sporo jeszcze zostanie tutaj do zrobienia.

– No, teraz na nas kolej – powiedział wesoło Ruszkin. – Siadajcie. Mamy dwie godziny czasu. Potem spać, a rano wracamy do statków. Pojutrze start.

– Jak to? – wykrztusiła Lena.

– Wracamy na Ziemię – rzekł Whiten.

– No, a co z naszym... to lądowisko? Nieczynna wieżyczka? Przecież tam musi coś być!

– Zostaw, Andrzeju – powiedziała cierpko Lena. – Mam wrażenie, że to nikogo tutaj nie interesuje. Niepotrzebnie gnaliśmy tak na złamanie karku...

– Dajcie spokój – Rankon wskazał Lenie fotel. Sam oparł się ciężko o pulpit i patrzył na nich chwilę bez słowa.

– Musimy wracać – powiedział wreszcie. – Instrukcje są jasne. Zakończyliśmy wstępny etap. Teraz trzeba wszystko przepuścić przez analizatory logiczne w naszych ziemskich ośrodkach. Kierownictwo zespołu zleciło to naszej ekipie. Zresztą słusznie. My jedni znamy wszystko z autopsji. Potem wrócimy. My albo inna ekipa, zależy od wyników. Giovanni ma rację, bardzo dużo zostało tu jeszcze do zrobienia. Wtedy przyjdzie czas na zbadanie waszego ostatniego znaleziska. W myśl instrukcji – spuścił oczy i zniżył nieco głos – na planecie zostanie załoga Kopernika. Macie się przenieść do naszego laboratorium, to znaczy tutaj, do hali, i prowadzić badania chemiczne. W pełnym zakresie, bez pośpiechu.

Zapadło milczenie. Po dobrej chwili Lena nie patrząc na nikogo z obecnych usiadła w fotelu. Odchyliwszy głowę do tyłu



utkwiała wzrok w wiszących pod stropem meandrach poziomej, przezroczystej spirali.

– Nasz statek ma uszkodzone automaty sterownicze – odezwał się w końcu Batuzow. – W razie czego nie będziemy mogli wystartować.

– Dlatego właśnie jutrzejszy dzień poświęcimy na prace remontowe – odrzekł szybko Como. – Zresztą, trzeba przejrzeć także zespoły Uzbekistanu...

– Macie do nas żal – stwierdził nagle Rankon. – Może rzeczywiście nie byliśmy zanadto rozmowni. Ale znacie sytuację. Ktoś przecież musiał prowadzić badania na powierzchni. Wybór padł na was. Mogło być inaczej. Ale nie

było. Było właśnie tak. My tutaj nie wiedzieliśmy praktycznie nic. Nie miało sensu informować was o każdej kolejnej próbie, o wynikach poszczególnych epizodycznych analiz i eksperymentów, o wstępnych hipotezach. Gdybyśmy raz zaczęli, chcąc nie chcąc wciągnęlibyśmy was w nasze spekulacje, dyskusje, w całą tę gigantyczną ciuciubabkę. Sądzicie, że udałoby się wam wtedy skoncentrować uwagę na badaniach powierzchniowych? Ja nie ręczyłbym za siebie...

– Tracimy czas – rzucił Potton. – Każdy z nas robił swoje. Wy nie znacie naszych wyników, a my nie byliśmy w Apollonii. – Przeszedł się wzdłuż pulpitu, sunąc koniuszkami palców po nierównym rzędzie przycisków i wskaźników. – Jeżeli Kopernik ma być jutro zdolny do lotu...

– Trzeba całej jego załodze przekazać wyniki dotychczasowych badań – podchwycił Rankon, akcentując słówko "całej". – Chodźcie – skinął na Sakadze i Batuzowa, podchodząc do ustawionego w rogu "laboratorium" prostokątnego stołu. Ociągając się podążyli za nim.

– Spowiedź – rzucił wesoło Como. Rozpiął pasy i rozsiadł się wygodnie w opuszczonym przez Lenę fotelu.

– Mapa naszej półkuli – mówił Rankon, rozwijając rulon pobłyskującej materii. – Pierwsza rzecz, jaką zrobiliśmy. Wystrzeliliśmy kilkadziesiąt fotolotów na niskie orbity. Spójrzcie – zatoczył palcem wąską elipsę – to jest rejon bazy. Na północ i południe odchodzą od niej podziemne korytarze.

Widać to na mapie – te czarne punkty to zagłębienia z wieżyczkami. Korytarze biegną prosto jak strzełił, jeden po drugim. W rzucie pionowym tworzą jeden odcinek. Tutaj – uderzył kilkakrotnie dłonią – jest baza. Na południe wszystkie kondygnacje wychodzą do studni, a raczej wyrzutni, pod którą pracuje stos... nazwijmy go stosem, chociaż jego konstrukcja nie ma nic wspólnego z tym, co zwykliśmy rozumieć pod tym pojęciem. Dalej, jak widzicie, pustynia. Na północ od nas, od bazy, taki sam ciąg korytarzy zakończony... drugą wyrzutnią.

– Jak to?! – wykrzyknęli niemal równocześnie. Rankon spojrział na nich bez uśmiechu.

– Odkryliśmy to zaraz pierwszego dnia. Nie było czasu na zapuszczanie się do wszystkich korytarzy, na wszystkie poziomy. Ustawiliśmy sondy sejsmiczne, fotonowe, jakie tylko były na pokładzie. Pół godziny później dysponowaliśmy już dokładnym planem podziemi. Ta druga wyrzutnia była nieczynna...

– Jak to było? – wykrztusił Andrzej. – To znaczy, że teraz... że ktoś ją uruchomił?

– Poczekajcie. Po kolei. Nie, nikt jej nie uruchomił. Jest dalej nieczynna. I to już od co najmniej stu lat. Ale wtedy nie wiedzieliśmy o tym. Myśleliśmy, że zacznie działać, ponieważ ta pierwsza, która spowodowała waszą katastrofę, też pracuje okresowo.

– Okresowo...? – Batuzow potarł ręką czoło, jak człowiek usiłujący się wyzwolić od natrętnej wizji. – Co to znaczy?

– Początkowo nie mogliśmy znaleźć klucza. Wahania okresów aktywności nie były duże, ale... jak by to powiedzieć, wymykały się wszelkim prawidłowościom, jakie próbowaliśmy podstawić. Zresztą mniejsza z tym. Rozwiązanie okazało się proste. Emitor wyrzuca snop cząstek skierowany w jeden stały punkt galaktyki. Rozumiecie? Wobec tego jego rozrząd zaprogramowano w ten sposób, że stos jest wyłączany automatycznie za każdym razem, kiedy wzajemne położenie tej półkuli Marsa i docelowego obiektu niebieskiego wyklucza przeprowadzenie pomiędzy nimi linii prostej. Dzieje się tak za każdym obrotem planety. Ale nie tylko. W grę wchodzi

również odchylenia w płaszczyźnie ekliptyki, zmiany położenia całego naszego systemu słonecznego, no i układu docelowego. Dlatego właśnie przerwy w pracy emitora nie są równoznaczne z dobowym obrotem planety wokół własnej osi. Inaczej wyrzutnia "zaskakiwałyby" po prostu raz dziennie, stale o tej samej porze.

– W jeden stały punkt galaktyki... – powtórzyła cicho Lena. – Zbadaliście kierunek? Rankon skinął głową.

– Po określeniu zasadniczej prawidłowości nie było to już trudne. Zresztą wstrzeliliśmy w emitowany strumień kilkanaście sond kosmicznych... Większość z nich spłonęła, ale niektóre lecą do teraz...

– No i? – głos Batuzowa załamał się niebezpiecznie.

– Konstelacja Psa Małego. Prawdopodobnie okolice Procjona...

– Daleko... – powiedziała po chwili głucho Lena.

– Nie tak bardzo. – rzucił znaczącym tonem Półton. Wszyscy przysłuchiwali się uważnie temu, co mówił Rankon. W tym porządkowaniu faktów, będących łupem ich kilkutygodniowej, żmudnej pracy, odnajdywali nagle coś nowego, jakiś groźny urok przestrzeni, nieobjętego, martwego organizmu, którego oni sami stanowili zaledwie nieskończenie znikomą cząstkę.

– A ta druga? – spytał wreszcie ochryplym głosem Batuzow.

– Druga... – powtórzył Rankon. Wyprostował się i leniwie, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczął zwiijać srebrzysty rulon mapy.

– Druga wyrzutnia – powiedziała spokojnie Ann – jest wymierzona w Ziemię.

Spodziewali się tego. Więcej. Batuzow zdał sobie nagle sprawę, że od kiedy usłyszał o drugim emitorze, wiedział już, jaka będzie odpowiedź na to pytanie.

– Nie ma wątpliwości – dodał po chwili Rankon. – Coś wam pokażę... – odwrócił się nagle i wyszedł z laboratorium. Sakadze i Batuzow poszli posłusznie za nim. Po chwili dołączyli do nich Ann i Ruszkin.

Rankon przeszedł wzdłuż szerokiego pulpitu pod rządami ekranów i zatrzymał się przy ostatnim z brzegu, blisko bocznej

ściany hali. Krótkim, zdecydowanym ruchem przełożył jakiś czarny wyrostek, przypominający uchwyt dźwigni. Był wykonany jak gdyby z czarnego szkła, w jego wnętrzu pulsowało delikatne, fiołkowe światło.

Lena krzyknęła. Batuzow postąpił pół kroku do przodu, jak zahipnotyzowany, i zamarł w bezruchu.

Kilkanaście metrów dalej, na wysokości głowy, pojawiła się w powietrzu kolorowa kula, wielkości małej podmiejskiej willi. Zagradzając całą perspektywę gigantycznej hali wirowała leniwie, sącząc subtelne, matowe światło. Teraz dopiero spostrzegli, że hala szczelnie zdawałoby się wypełniona dżunglą splecionych i krzyżujących się konstrukcji, była w tym miejscu pusta, przewody obiegały kulę łagodnymi łukami, nie zbliżając się do niej bliżej niż na odległość półtora metra.

– To Ziemia! – Okrzyk, który wyrwał się Lenie, pozostał bez echa. Kontury lądów i oceanów rysowały się wyraźnie, barwy odpowiadały ich rzeźbie pionowej, trzeba było wielkiego wysiłku woli, aby nie ulec złudzeniu, że to, co mają przed sobą, jest prawdziwą Ziemią, planetą, i że to tylko oni zostali przez jakieś moce wtłoczeni w rozbieżne drogi czasu i przestrzeni, że powiększeni do kosmicznych rozmiarów spoglądają oczami próżni na swój utracony dom.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia Batuzow spostrzegł coś, co ścięło mu serce, tak że przez moment nie mógł złapać tchu.

Przestrzeń pomiędzy boczną ścianą hali a kulą przecinała przerywana wstążka, jak zawieszona w powietrzu taśma miernicza, z której wycięto co drugi centymetr. Wynurzała się wprost z muru, jakby przenikając przez niego, i trafiała w kulę tam, gdzie blednąca zieleń przymorza wsiąka w żółc Pustyni Libijskiej.

– Jak widać, wiemy nawet, w jaki punkt naszego globu... – powiedział Rankon, jak gdyby kończąc zdanie rozpoczęte przed demonstracją. Milczeli.

– Projekcja przestrzenna... – szepnęła wreszcie Lena.

– Tak – podchwycił skwapliwie Rankon. – Odkryliśmy to zresztą przypadkiem. Ta Rotunda, wiesz? – zwrócił się do Batuzowa – Piotr opowiadał o dziwnych manewrach kuli

zawieszony na magnetycznych zastrzałach, pamiętasz? – Nie czekając na potwierdzenie mówił dalej: – To jest po prostu projektor. Sterowany stąd, z tego pulpitu. Nie wiem, jak to się stało, że mechanizm zaczął działać, kiedy weszliście tam wtedy. Zresztą – dodał po chwili – wielu rzeczy jeszcze nie wiemy...

– Libia... – szepnął Batuzow, jakby teraz dopiero dotarło do jego świadomości to, co zobaczył. – Kiedy...?

– Sto trzydzieści pięć do stu czterdziestu lat temu – odpowiedział Ruszkin. – To stwierdziliśmy dopiero dzisiaj. To znaczy, dzisiaj zyskaliśmy potwierdzenie. Tyleż lat próżnuje – jeśli tak można powiedzieć – ta druga wyrzutnia, wycelowana w Ziemię.

– A zatem byli tutaj...

– W latach tysiąc dziewięćset czterdzieści dwa do czterdzieści sześć – odpowiedziała Ann.

– Czynna wyrzutnia ma taki sam projektor, po przeciwnej stronie – Ruszkin skinął głową, wskazując perspektywę hali. – Tylko ta linia, łącząca kulę ze ścianą, lśni tam ostrym blaskiem.

– Kulę?! – wykrzyknął Batuzow. – Ależ... czy to ich planeta?

Rankon pokiwał głową z powątpiewaniem.

– Nie sądzę. Po pierwsze jej powierzchnia jest jakaś gładka i monotonna, po drugie model jest znacznie mniejszy od tego tutaj, a po trzecie...

– Po trzecie – przerwał Potton – Procjon nie ma planet. A więc chodzi raczej o bazę na jakiejś asteroidzie albo czymś w tym rodzaju.

– Ziemia już wie? – spytał Andrzej. Rankon skinął głową.

– Meldunek poszedł wczoraj. Dzisiaj uzupełniliśmy go tylko wynikami analiz osadu.

– Czego?

– Osadu, warstw skorodowanych, przecież to jasne. W ten sposób udało się określić wiek tych konstrukcji i moment, w jakim zostały opuszczone...

– I w ten sposób wypełniliśmy naszą misję. Pierwszy etap zamknięty – powiedział Como. – Koniec.

– Albo początek – bąknął Potton. Rankon zmierzył go spojrzeniem.

- Cztery parseki – powiedziała Ann, zamyślona.
- Co mówisz?
- Mówię, że Procjon jest oddalony od naszego słońca o cztery parseki.
- To jest gwiazda podwójna, prawda? – spytała Lena.
- Tak – odrzekł Ruszkin – Alfa Canis Minoris, najjaśniejsza w gwiazdozbiornie. Słabszy składnik jest białym karłem.
- Tak... – Batuzow zamyślił się. – Ale skoro mówicie, że nie mogą pochodzić stamtąd, bo tam nie ma planet...
- To znaczy – przerwał Potton – że tracimy czas. Dawno to mówię.
- Poczekaj – Batuzow zwrócił się do Rankona – jaki właściwie rodzaj energii emitują te wyrzutnie? To znaczy... chodzi mi o to, czy mogli zagrozić Ziemi?
- No cóż – odpowiedział z wahaniem zagadnięty – nie badaliśmy stosów. Tak jak rzecz wygląda w tej chwili, każda próba ingerencji w procesy toczące się w fundamentach wyrzutni grozi nieobliczalną katastrofą.
- Nie dziwię się teraz, dlaczego Rada nie publikuje wyników waszych badań – szepnęła Lena. – Skoro w każdej chwili mogą tu wrócić i zniszczyć Ziemię...
- Zniszczyć... – skrzywił się Rankon. – Zależy, co przez to rozumiesz. Raczej wysterylizować...
- Dziękuję – usiłował się uśmiechnąć Andrzej. – Zawsze to jakaś pociecha.
- Jak myślicie – Batuzow wbił wzrok w przewalającą się ospale kulę – dlaczego oni zostawili tak to wszystko...? I dlaczego odlecieli nie próbując się z nami porozumieć?
- Dlaczego zostawili? – powtórzył Potton. – To proste. Wróć. Zresztą Rankon przypuszcza, że wykorzystują wiązki emitowane ze swoich wyrzutni do podróży kosmicznych. Myślę, że ma rację, chociaż to na razie hipoteza. A dlaczego nie złożyli nam kurtuazyjnej wizyty? Prawdopodobnie dlatego, że nie mieli na to ochoty. Nic wam to nie mówi? A okres, w jakim przylecieli i badali Ziemię?
- Lata czterdzieste ubiegłego wieku. To także nic wam nie mówi...?

– Wielka wojna... – wykrztusił Batuzow.

– Lata załamania naszej cywilizacji – powiedział łagodnie Como. – Kto wie, z czym od nas odlecieli? Co o nas myślą? I co chcą zrobić? Bo nie wierzę, żeby po prostu zostawili nas w spokoju, przestali się nami interesować. Tak nie postąpiłyby żadne inteligentne stworzenia. Każda rozumna istota pragnie zbadać do końca nowe dla siebie zjawisko. Zwłaszcza tak rzadkie zjawisko jak obca cywilizacja. Więc wróć. Ale po co? Kiedy? W jakim charakterze?

– Nareszcie rozsądne słowo – powiedział Potton.

– Co odpowiedziała Ziemia na ostatni meldunek? – spytał Batuzow.

– Nic. Muszę przyznać, że mnie to dziwi – odparł Rankon. – Zwykle odpowiadają od razu.

– Północna Afryka – Lena wpatrzyła się ponownie w przestrzenny globus – tam chyba nie było działań wojennych?

– Były – rzucił sucho Potton. – W każdym razie wystarczająco ostre, aby...

– Nie kończ! – krzyknęła Ann. Piotr wzruszył ramionami. Zapanowało milczenie.

– Nic jeszcze nie wiemy – powiedział po chwili pojednawczo Rankon.

– Idziemy? – dodał, kładąc rękę na dźwigni. W ułamku sekundy Ziemia zniknęła przed ich oczu, otworzyła się pelgająca światłkami głębia.

– Słuchajcie – przypomniał sobie nagle Batuzow – a co z tą drugą kulą, pamiętacie? Tą płonąącą takim słonecznym światłem. Ona wydawała jakiś głos?

Rankon rozłożył ręce.

– Nie pokazała się więcej. Robiliśmy wszystko, żeby ją wywołać. To będzie jedno z zadań drugiej rundy. Może wam uda się coś wyjaśnić – zwrócił się do Leny.

– Musicie nam powiedzieć, jak zaprogramowaliście sprężarki – Batuzow rozejrzał się po hali. Rozmawiając, doszli do laboratorium i zaczęli się zbierać do wyjścia na powierzchnię.

– Wszystko wam powiemy – rzucił Potton, sięgając po hełm. W pulpicie zapłonęło nagle rubinowe światelko. Rozległo się

ciche brzęczenie.

– Rankon, Ziemia! – krzyknął Puszkin, stojący najbliżej pulpitu. Konstruktor podszedł szybko do centralki i jednym niecierpliwym ruchem naciągnął słuchawki. Wcisnął kontakt sygnału wywoławczego i uruchomił aparaturę rejestrującą.

Stali bez ruchu, wbijając wzrok w jego pochylone plecy. Trwało to dobrych kilka minut, w czasie których Rankon raz tylko poruszył się niecierpliwie i posłał krótkie spojrzenie Półtonowi. Ten zbliżył się szybko, ale szef wrócił już do poprzedniej pozycji. Wreszcie z pulpitu zabrzmiał charakterystyczny sygnał potwierdzenia odbioru. Mimo to Rankon siedział jeszcze chwilę bez ruchu. Wreszcie wolnym, ospałym ruchem ściągnął z głowy słuchawki i nie odwracając się powiedział:

– Ziemia wzywa także ciebie, Piotrze i Ann Thorson. Macie lecieć z nami. Zdaje się – dodał w głębokiej ciszy, która zapadła po tych słowach – zdaje się, że coś znaleźli Nasze analizatory pracują naprawdę szybko...

– A my? – wyrwało się Lenie. Natychmiast zawstydzila się tego wybuchu, ale Rankon odpowiedział spokojnie:

– Następną ekipa przyleci najpóźniej za dwa tygodnie. Przez ten czas będziecie sami. – Odwrócił się i spojrzał jej w oczy – wiem, że będzie wam ciężko, ale...

– Nie martwcie się – powiedziała szybko. – Damy sobie radę... – Mówiąc to napotkała wzrok Andrzeja i odwróciła głowę.

– Trzeba się zbierać – nienaturalnie swobodnym tonem odezwał się Puszkin. – Skoro pojutrze odlot...

– Jutro – powiedział Rankon. – Pytali, czy możemy przyspieszyć start. Wobec tego, że tutaj nie mamy już w zasadzie nic do roboty, odpowiedziałem, że tak...

Ubierali się w milczeniu, zakładali hełmy, sprawdzali szczelność skafandrów i łączność.

– Będzie ciasno – mruknął wreszcie Potton. Po dobrej chwili dotarło do świadomości Ann, że powiedział to z myślą o kabinie Uzbekistanu, która miała pomieścić dwoje nadprogramowych pasażerów.



– Idziemy – Rankon pogasił światła i przełączył centralę komunikacyjną na bezpośrednią łączność z Kopernikiem. – Mamy przed sobą pracowitą noc. Remonty – a poza tym ci, którzy zostają, muszą się zapoznać z urządzeniem hali. Jutro o tej porze...

– Jutro o tej porze – powiedział spokojnie Batuzow, kładąc mu dłoń na ramieniu – będziecie już poza orbitą Marsa...

## ROZDZIAŁ VII

Wąski sierp sztucznego skalistego cypla wybiegał daleko, jak gałąź ostrokrzewu rzucona na głęboki błękit Zatoki Neapolitańskiej. Z wysokości galerii obserwacyjnej południowego dworca morskiego linia brzegu wyglądała jak cięciwa gigantycznego łuku, drżąca w napięciu pod naporem morza, nieustającym pochodem miliardów połyskliwych szyszaków. Grzbiet półwyspu obniżał się, oddalając od lądu zębato ciosanymi tarasami. Wszystkie w kształcie trójkątów, zaskakiwały jeden pod drugi wydłużonymi, ostrymi stożkami.

Stali na krawędzi głównej płyty galerii, oparci o poręcz balustrady, tak przezroczyście, że z odległości zaledwie pięciu metrów roztopiała się już w powietrzu, podobnie jak cała płyta i ściany górnych kondygnacji dworca, dzięki czemu setki kolorowych stolików, i ocieniających je meduzowatych parasoli wyglądały jak ustawione na pomyślanej w przestrzeni płaszczyźnie. W pewnym momencie Ann wyprostowała się i odetchnęła głęboko.

– Jestem głodna – oświadczyła. W jej głosie zabrzmiało jakby zdziwienie faktem, że po wszystkich przejściach ostatnich tygodni jej organizm może się dopominać o coś tak zwykłego jak jedzenie. Piotr obejrzał się i wskazał głową najbliższy stolik.

– Pośpiesz się – powiedział, spoglądając na zegarek. – Za dziesięć minut musimy być na nabrzeżu.

Usiedli w elastycznych, piankowych fotelach, których oparcia uginały się usłużnie za każdym poruszeniem pleców. Ann oparła dłoń o krawędź blatu. W tej .samej chwili kryształowy

wielościan, jakby korek nie istniejącej karafki ustawionej pośrodku stolika, zapłonął szmaragdowym światłem.

– Witamy w naszej restauracji – odezwał się melodyjny, kobiecy głos. – Temperatura powietrza wynosi dziewiętnaście stopni. W najbliższych godzinach nie przewiduje się wzrostu zachmurzenia ani siły wiatru. Prosimy uprzejmie wybrać coś z karty. Dziękuję.

Naprzeciw każdego z foteli, na płycie stolika, zajaśniały niewielkie prostokąty. W ich wnętrzu, jak pod taflą powiększającego szkła, ukazały się tasiemcowe spisy potraw.

– Zjesz co? – spytała Ann.

– Tylko kawa.

– Bulion, omlet z groszkiem i dwie kawy – zadysponowała, nie zerknąwszy nawet w jadłospis.

– Bulion, omlet z groszkiem i dwie kawy – powtórzył głos – służymy uprzejmie. Dziękuję. W jednym z prostokątnych otworów przezroczystej nadbudówki o profilu greckiej amfory, biegnącej wzdłuż całej galerii, pojawił się mały, przysadzisty barek. Pobrząkując naczyniami podtoczył się chyżo do stolika. Jego wierzchnia płyta wysunęła się usłużnie w stronę Ann.

– Życzymy smacznego. Zapraszamy do naszych salonów klubowych na czwartym poziomie. Dziękuję.

Ann jadła szybko, spoglądając co chwila na Piotra, który odwrócony bokiem błędził spojrzeniem po zatoce i cyplu, jakby wypatrując kogoś w kropeczkach cienia pod mikroskopijnymi z tej wysokości, pastelowymi parasolami. Skończyła wreszcie i odsunęła talerz sięgając po kulistą filiżankę.

– Dlaczego właściwie mamy tam płynąć jakimś slingiem czy inną łódką zamiast po prostu polecieć? – spytała nagle.

Nie odpowiedział od razu. W dalszym ciągu spoglądał w dół, jakby jej słowa nie dotarły do jego świadomości. Wreszcie wzruszył ramionami.

– Może nie chcieli, żebyśmy korzystali z publicznej komunikacji – powiedział niechętnie. – Każde dziecko musiałoby nas poznać. Tyle razy pokazywali nas we wszystkich programach...

– Nie podoba mi się to wszystko – mruknęła po chwili, jakby

do siebie.

– Co ci się nie podoba?

– Cała ta konspiracja. Spotkanie w porcie, jacyś historycy, podróż nie wiadomo dokąd.

– Uhm...

Spuściła wzrok i zaczęła kręcić machinalnie łyżeczką w pustej filiżance.

– Kawę dają tu lepszą niż w Skandynawii – powiedziała bez związku.

– Uhm...

– Pierwszy raz jestem tutaj, w porcie.

– Wolałbym zawrzeć z nim znajomość w innych okolicznościach – powiedział nie odrywając spojrzenia od linii wybrzeża.

Podniosła głowę i rozejrzała się po galerii. Trzy stoliki dalej siedziała młoda para, chłopiec był odwrócony do nich plecami.

– Popatrz, jaka ładna dziewczyna. Pewnie Sycylijka...

– Uhm...

Spojrzała na niego uważnie. Następnie przechyliła się przez stół i powiedziała cicho, zdumiona, jakby odkrywając jakiś sekret.

– Piotrze, ty się boisz...? Żachnął się.

– Co za bzdury... – urwał. Spojrzał na nią niecierpliwie. Po chwili odwrócił głowę, wracając do poprzedniej pozycji.

– Boisz się, boisz... – podjął jakby do siebie. – Ciebie natomiast rozpiera optymizm. Dlatego paplesz o kawie, porcie, o dziewczętach...

Nie ukrywając rozdrażnienia wstał, odsuwając gwałtownie fotel i oparł się o balustradę.

– Może to nie najszcześniejsze słowo – przyznała spokojnie Ann. – Ale nie zezłościłbyś się tak, gdybym nie miała racji...

Wzruszył ramionami. Milczeli chwilę.

– Spójrz na tych ludzi – powiedział w końcu spokojniejszym tonem, zataczając ręką łuk nad zatoką, jej nabrzeżami i portami – witają się, żegnają, pewni, że za godzinę, jutro, za kilka dni spotkają się znowu. Spieszą się, niecierpliwą, uśmiechają... żyją, rozumiesz? Dwa miesiące temu należeliśmy

do nich. Teraz jesteśmy na indeksie.

– Na indeksie – powtórzyła cicho. – Dlatego, że wiemy? Ale... cóż my właściwie wiemy?

– Wystarczająco dużo, żeby... – podszedł nagle do stolika, oparł się o blat i nisko pochylony, niemal dotykając jej głowy mówił półgłosem z gorzką ironią:

– Idź, przeproś na chwilę tę dziewczynę, która tak ci się podoba, i powiedz jej, że o kilka dni drogi stąd, na Marsie, jakieś istoty zbudowały wyrzutnię, zdolną przekształcić Ziemię w bezludne muzeum... cmentarzysko. Pozna cię na pewno i uwierzy. Obserwuj ją pilnie, kiedy wróci potem do swojego chłopca. Zobaczysz, czy dalej będzie mu patrzeć w oczy z taką ufną przekorą, czy skończy swoje lody, czy będzie się śmiać tak jak teraz... Idź, powiedz jej, że te istoty, które tam pozostawiły wszystko tak jakby jutro miały wrócić, lądowały kiedyś na Ziemi... może właśnie tutaj, gdzie podają kawę lepszą niż w twojej Skandynawii...

– Lądowali w Afryce – szepnęła bez przekonania.

– Właśnie. W Afryce. To znaczy że my, tutaj, możemy się beztrudnie zabawić rozmową o wszystkim, czy o niczym. Oderwał się od stolika, zaczerpnął głęboko powietrza i spojrzał na zegarek.

– Idziemy. Najwyższy czas. Pewnie już czeka.

Eskaletor toczył się bezszelestnie skalną rynną, wzdłuż przystających do siebie krótszych krawędzi trójkątnych tarasów, szczyrzających ku zatoce swe smukłe stożki po przeciwnej stronie sierpowatego półwyspu. Na wprost nich, w zasnutej delikatną mgiełką perspektywie majaczyły już sterczące z morza barwne wysepki, maczugi skalne, zębate mury zameczków i strzeliste baszty pałaców.

Nieco dalej ukazywały się miniaturowe lądy o konturach naśladowujących zarysy kontynentów i oceanów. Fantazyjne boje, przedstawiające postacie z legend i baśni, wyznaczały zawile tory wodne, istny labirynt, rojący się od kajaków i małych, dzieciennych łódek. Wieże wentylacyjne i nadbudówki podmorskiego dworca afrykańskiego w Neapolu zaprojektowali jego twórcy jako jedyny w swoim rodzaju wodny park dziwów.

Był tam kryształowy pałac Neptuna, on sam wraz ze swoją świtą przemierzał kanały w przezroczystej gondoli, siedząc jak gdyby okrakiem na falach, przed dziobami łódek wynurzały się śpiewające syreny, wodnice i inne utopce, z czarnej jak smoła skały zrywał się nagle ogromny Boreasz, bijąc sięgającymi nieba skrzydłami. W wąskim spienionym przesmyku czyhał na śmiałków upiorny Alaster, z urwistych brzegów wychylały się Scylla i Charybda, z mgły, zalegającej stale okolice jednej ze skrajnych wysepek, wynurzał się co jakiś czas "Latający Holender", dobiegała wówczas smętna pieśń nucona nieprzerwanie przez jego przekłętą załogę. Można się tam było natknąć niespodziewanie na flotyllę smukłych okrętów Wikingów z zadartymi wysoko, strzelistymi dziobami, gdzie indziej niosło się melodyjne nawoływanie wyspiarzy, śmigających w maleńkich pirogach; pośrodku większego akwenu, imitującego Atlantyk, brzmiały basowe działa, wspaniała królewska karawela na próżno usiłowała dać odpór zgrabnemu okrętowi, na którego najwyższym maszcie powiewała ogromna czarna flaga z trupa czaszką. Obszar parku zaczynał się tuż za miejscem, w którym obcięty nos półwyspu zapadał w błękit zatoki, widzieli już nawet w oddali wąski pas wodnej gładziny, otaczający cały ten akwen wyciągniętym ramieniem. Szerokim łukiem od lądu aż po horyzont biegł falochron polaryzacyjny, zasilany w energię z agregatów, wbudowanych w dno morza.

Wprost z rozslonecznionych tarasów eskalator wpadł nagle w mroczną czelusć. Gwiazdy i księżycy, wpuszczone w opalizujące stalaktyty sztucznej groty, sączyły nikle, bladozłote światło na spiętrzone ściany i zwisające ze stropu kanciaste głązy. Mimo woli odnosiło się wrażenie, że ten tunel służący przecież jedynie celom komunikacyjnym, zaprojektowali architekci niejako z rozpędu, działając wciąż jeszcze w świetle legend i baśni, do którego przenieśli się przy modelowaniu parku.

Tor stawał się bardziej pochyły, jechali teraz w głąb, jeszcze kilka minut i przed nimi pojaśniało, ściany rozbiegły się nagle, nad głowami rozbłysł rój świetlnych napisów, strzałek, plansz i tablic informacyjnych. Minęli pierwsze ciągi automatów, ściany

poszatkowane w barwne oczka niby pszczele plastry, w każdym pulsowało światelko; następnie, nie dojeżdżając do głównej hali, której daleka perspektywa otwierała się za przezroczystą grodzia, zesli z taśmy, na wprost ażurowej ślimacznicy łączącej sień dworca z poziomami trapowymi. Ślimacznica wywiodła ich do niedużego kulistego pomieszczenia o szklanych ścianach. Dwa metry dalej, za idealnie przezroczystym pancierzem komory, wachlowały powoli szerokimi płetwami złociste, cętkowane ryby, wiły się jakieś ukwiały i stwory morskie, groteskowo powiększone wypukłością ściany. Z głębi wychynęła półotwarta, jakby w uśmiechu, gęba delfina. Salka była pusta, tylko pośrodku, w jednym z przepastnych foteli siedział samotny mężczyzna. Ujrawszy ich wstał szybko i sięgnął do swego ręcznego automatu wywoławczego. Usłyszeli dyskretny sygnał potwierdzenia odbioru.

– Jestem Kulski, historyk – powiedział mężczyzna, podchodząc do Ann. – My się przecież znamy – wyciągnęła do niego rękę. – Byliśmy na praktyce u twojego profesora. Historia nawigacji, trzeci rok. Nie pamiętasz? Prowadziłeś ćwiczenia.

– A tak, rzeczywiście – przytaknął Kulski. W jego głosie zabrzmiało jakby roztargnienie. Trudno było dociec, czy przypomniał ją sobie naprawdę, czy też nie chciał po prostu tracić czasu na dalsze wyjaśnienia. Przywitał się z Pottonem i spojrzął na zegarek.

– Jesteście gotowi?

– Tak – odrzekł Potton. – Długo czekałeś?

– Kilka minut – machnął lekceważąco ręką. – Sling już podstawiony. Chodźcie.

Weszli do owalnej gardzieli windy trapowej. Jej tonący w niebieskawej zieleni szyb przypominał szklaną rurę wetkniętą pionowo w morze. Przezroczysta kabina drgnęła i z rosnącym przyspieszeniem pomknęła w górę. "Jak tam, w podziemiach" – pomyślała Ann.

– Dokąd jedziemy? – spytał Piotr.

– Mamy sling do Aleksandrii – odrzekł Kulski. – Stamtąd

zabierze nas helikopter.

Szklaną kabinę zalał nagle ostry, słoneczny blask. Zanim ponownie mogli otworzyć porażone oczy, winda zatrzymała się łagodnie. Znajdowali się w sklepionej, kloszowatej komorze, wieńczącej szyb na wysokości półtora metra nad poziomem morza. Tuż obok, niemal dotykając burtą baniastej ściany kołysał się łagodnie sling. Był to jeden z tych popularnych stateczków, jakich tysiące krążyło wzdłuż wybrzeży, całe ich sznury, podobne z lotu ptaka do nanizanych na niewidoczną nieć przezroczystych paciorków, ciągnęły szlakami wszystkich mórz i większych jezior. Z profilu sling był podobny do dwóch przyłożonych do siebie szklanych spodków. W rzucie pionowym przedstawiał idealny krąg o średnicy od czterech do piętnastu metrów. Stateczki te, ślizgające się po grzbietach fal, były wyposażone w automatyczne stateczniki polaryzacyjne, dzięki którym nie bały się najsroźszych choćby cyklonów. Służyły w zasadzie komunikacji przybrzeżnej, pełniąc po prostu funkcje taksówek, na pełne morza i oceany wypuszczali się nimi tylko szukający ciszy i wytchnienia turyści.

Ostatnia z dalekosiężnych linii pasażerskich uległa likwidacji w drugim dziesięcioleciu naszego wieku. Ci z wielkich armatorów, którym udało się uniknąć bankructwa, ulokowali swe kapitały w żegludze lotniczej i raketowej. Trudno się dziwić, że Thorson i Półton byli niemile zaskoczeni poleceniem udania się do portu i perspektywą czekającej ich podróży morskiej. Zadne z nich nie zwróciło się jednak o wyjaśnienia do młodego historyka, wiedzieli, że tak oni, jak i on działają w myśl ustaleń Rady i kierownictwa Zespołu. Zresztą nękały ich poważniejsze troski. Na tak krótkiej trasie jak z Neapolu do Aleksandrii podróż slingiem, rozwijającym szybkość około dwustu kilometrów na godzinę, nie była doprawdy problemem, którym warto byłoby zaprzętać sobie głowę.

Wygodną, zabezpieczoną wysokimi burtami rynną przeszli na pokład łodzi. Szklane drzwi zamknęły się bezgłośnie za ich plecami. Kulski wskazał zapraszającym gestem głębokie, obrotowe fotele, podobne do tych, w jakie wyposażano kabiny statków kosmicznych, a sam podszedł do niskiego, poziomego

pulpitu i nacisnął starter. Rozległ się głos automatycznego pilota, wzywający do zajęcia miejsca. Historyk obrzucił jeszcze badawczym spojrzeniem deskę rozdzielczą i z westchnieniem ulgi opadł na mięsiste siedzisko obok Ann. Potton zajął miejsce z tyłu. Przez pokład przebiegł krótki, ledwie wyczuwalny dreszcz. Na zewnątrz zbudził się delikatny szum, jak echo wiatru w niszy kominka. Płynęli.

Cień wielkiej, stalowej wazki ślizgał się po zboczach wydm, wyostrzał, to znów topniał w zaćmieniu, kiedy chmury nachodziły na kłującą biel stojącego w zenicie słońca. Rejon Pustyni Libijskiej, nad którym lecieli, pozo

stał bezwodnym rezerwatem; niemal o miedzę, w odległości kilkunastu kilometrów ciągnęła się już jednak granica saharyjskiego pasa sadów, widoczna z wysokości jak czarnozielona wstęga na linii horyzontu. Dniem i nocą paradowały tam po niebie tłuste, napęczniałe wilgocią obłoki. Część jak marudzące za stadem owieczki przedostawała się nad terytorium Libii, nie niosły jednak deszczu a tylko zbawcze dla podróżników i badaczy placki cienia.

Linia lotu helikoptera załamała się nagle, zaczęli opadać łagodnym skosem, szum śmigła narastał, zwalniali, wydało się, że wiszą nieruchomo w powietrzu. Z żółtego morza wyłoniły się nagle kontury jakiegoś maleńkiego prostokąta, który przekształcał się w oczach w biały, pustynny barak. Za nim ciemniało owalne wgłębienie, piaszczysty krater okolony walcowatym nasypem. Jeszcze chwila i dostrzegli jakby nic upstrzoną powtarzającymi się w równych odstępach zgrubieniami, opasywała całe otoczenie baraku zagarniając nielichy szmat pustyni, to było ogrodzenie. Budynek pęczniał, widać już było opatrzone markizami nieduże okna i drzwi, w których widniała postać mężczyzny. Nagle wszystko to przesłonił tuman piachu wzniecony przez bijący od śmigła wir, jęśliwy szum nad ich głowami zaczął przygasać, przechodząc w coraz niższe i niższe rejony gamy. Jeden jedyny miękki wstrząs.

Kulski odsunął kłapę i czekał chwilę na opadnięcie kurzawy, wreszcie skoczył. Natychmiast ujrzeli go znowu, skinął zapraszająco na Ann, wyciągając do niej ramię. Po chwili



prowadził ich w stronę budynku, od którego nadchodził szybkimi krokami mężczyzna; dostrzegli go z góry. Na głowie miał azbestowy, pustynny kask, jego biała płócienna bluza spływała na nogawki drelichowych spodnek.

– Jesteśmy, profesorze – powiedział Kulski. – To jest Ann Thorson...

– Jakżeż – uśmiechnął się Corton – jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi. Od kiedy dowiedziałem się od Ann, na egzaminie, że pierwszym konstruktorem rakiet był Rosjanin polskiego pochodzenia, niejaki Sułkowski...

– Ależ masz pamięć, profesorze – zaśmiała się, wyciągając do niego rękę. Zarumieniła się jednak po uszy.

– Miło mi cię poznać, Piotrze – Corton zwrócił się z kolei do Pottona. – No cóż – ciągnął, wskazując zapraszająco wejście do baraku – chciałoby się powiedzieć: witajcie, zdobywcy. Chociaż czy ja wiem... Trzeba przyznać, że wpędziliście staruszkę Ziemię w nieliczne tarapaty.

– To nie my – zaśmiał się niewesoło Piotr – my przekazaliśmy tylko informacje.

– Nie szkodzi – Corton uniósł dłoń i mówił z udaną powagą – starożytni despotci mieli zwyczaj ćwiartowania posłańców, przynoszących złe wieści. Nie chcę powiedzieć, że wszystkie zwyczaje naszych przodków zasługują na pielęgnację, ale co do niektórych warto byłoby się może zastanowić...

W porównaniu z rozświetloną plażą pustyni, wewnątrz budynek panował niemal mrok. Dopiero po dobrej chwili zaczęli rozróżniać poszczególne urządzenia i sprzęty surowej, prostokątnej salki. Na pierwszy rzut oka przypominała raczej harcerską świetlicę niż wnętrze chociażby prowizorycznego badawczego laboratorium. Porównanie nasuwał widok niezliczonej ilości map, przeważnie staroświeckich, drukowanych na papierze. Pełno ich było na sięgających sufitu regałach, zaścielały stół i długą plastikową ławę, wały się nawet na podłodze, ułożone byle jak w wysokie stopy. Niektóre z nich, o pożółkłych, jakby przypalonych brzegach, musiały mieć za sobą wiele lat służby. Niemal wszystkie były upstrzone jakimiś naniesionymi czarnym tuszem zygzakami i znakami,

były tam tłuste, zwinięte strzałki, półkola i najeżone krzyżykami elipsy. Porzucone jakby w pośpiechu mapy widniały nawet na pochyłych pulpitych podręcznego zespołu analizatorów. Ten ostatni zajmował całą boczną ścianę, odsuniętą najdalej od wejścia.

Jedna, największa chyba mapa, wisiała rozpięta nad ławą, naprzeciw regałów. Przyjrząwszy się bliżej spostrzegli, że nie stanowiła litej całości, była po prostu zlepiona z dopasowanych typograficznie kwadratów. Pod tą mapą zatrzymał się Corton.

– Zaświeć, Pawle – powiedział, schylając się po przypominający batutę metalowy pręcik. Kulski bez słowa skierował na ścianę stożek reflektora. Corton przez chwilę wpatrywał się w mapę, jakby szukając jakiegoś punktu. Wreszcie westchnął i odwrócił głowę.

– Przystąpmy do rzeczy – powiedział. Uśmiech znikł z jego twarzy, z podkrążonych oczu i kącików ust można było wyczytać zmęczenie.

– Wiecie, kto to był Rommel? Potton wzruszył ramionami. Ann spojrzała żałośnie na profesora i pokręciła głową.

– Mniejsza z tym. Był jednym z marszałków hitlerowskiej Rzeszy niemieckiej. W czasie drugiej wojny światowej dowodził korpusem afrykańskim. Rejon naszej stacji, o, tutaj jesteśmy – zatoczył pałeczką krąg o krótkim promieniu – był w latach czterdziestych ubiegłego wieku terenem podjazdowych walk pustynnych pomiędzy jednostkami Africa Corps a ósmą armią brytyjską w Libii. Mapa, przed którą stoicie, pochodzi z tego właśnie okresu.

Została sklejana z arkuszy planów taktycznych rommlowskiego sztabu. Przypatrzcie się uważnie. Tutaj, gdzie stoi nasz budynek, w centrum najbliższego, bezwodnego kręgu o promieniu czterdziestu pięciu kilometrów, wpadł pewnego dnia w zasadzkę silny niemiecki oddział pancerny. Walki trwały dwa tygodnie. Zresztą "walki" to nie najważniejsze słowo. Niemcy nie mieli wody do chłodziw i byli za słabi, by przerwać otaczający ich pierścień, a Anglicy nie dość silni, by zniszczyć okrążonych frontalnym uderzeniem. Jednym słowem złapał Kozak Tatarzyna... W końcu jedni i drudzy otrzymali

posiłki, rozegrała się bitwa, która nie przyniosła wprawdzie zwycięstwa żadnej ze stron, ale pozwoliła Niemcom wymknąć się z potrzasku. W czasie działań zniszczono kilkadziesiąt czołgów. Niektóre z nich po dziś dzień leżą tutaj, pogrzebane w wydmach. My sami wykopaliśmy ze dwanaście sztuk... Trzeba wam wiedzieć, że przebadaliśmy każdy metr kwadratowy terenu w promieniu owych czterdziestu pięciu kilometrów.

– Szukaliście tutaj? – przerwała Ann, spoglądając ze zdumieniem na mówiącego. – Czego...?

– Nie przerywaj, Ann – powiedział ponurym głosem Potton.

– Zaczynam rozumieć, profesorze.

– To dobrze – Corton skinął głową. Podeszedł do stolika, otworzył szufladę i wydobyl z niej niegruby zeszyt w twardej, poplamionej okładce.

– Dzięki temu – ciągnął, potrząsając książeczką w wzniesionej dłoni – wiedzieliśmy mniej więcej, gdzie szukać. Ale tylko mniej więcej. Inaczej nie miałyby sensu zaczynać. Na przekopanie w ten sposób całego wskazanego przez was obszaru Północnej Afryki nie starczyłoby i pięćdziesięciu lat...

– Obszaru Północnej Afryki... – powtórzyła jak echo Ann.

– Nareszcie zrozumiałaś – rzucił Piotr. Kulski spojrzal na Ann ze współczuciem. Do dziś nie mógł się otrząsnąć z przygnębienia, jakie nastąpiło po szoku, wywołanym tragicznym odkryciem. Jak starożytni w Księżyc tak on wierzył w humanistyczną logikę historii swojej epoki. Ann Thorson z jej żalonym osłupieniem wydała mu się nagle kimś bliskim i niezmiernie sympatycznym.

– Co to jest? – spytała teraz, wznosząc wzrok na dłoń Cortona, trzymającą zeszyt.

– Znaleźliśmy to w londyńskim archiwum armii – powiedział Kulski, ubiegając profesora. – Zresztą posłuchajcie...

Corton stał chwilę bez ruchu, z wyciągniętą ręką, jak aktor uczący się roli, wreszcie opuścił powoli ramię, spojrzal na nich, jakby chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się i otworzył zeszyt. Kartki rozwarły się od razu we właściwym miejscu, jak tom wierszy na ulubionym utworze właściciela biblioteki. Myśleli, że zaczną czytać, on jednak po chwili ponownie oderwał wzrok

od zeszytu i spojrzął na Kolskiego.

– To, co mówił Paweł... – zaczął. Odchrząknął i ciągnął już normalnym tonem: – Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę z pracy, jaką wykonały tu na Ziemi ekipy historyczne od momentu, w którym udało się wam ustalić czas i miejsce penetracji naszego globu przez te istoty z okolic Procjona. Przekopaliśmy wszystkie materiały publikowane i zapisy dotyczące dziejów Afryki Północnej, zwłaszcza lat czterdziestych zeszłego stulecia. Zbadano muzea i archiwa na obu półkulach. Z materiałami nowszymi, a także ważniejszymi zabytkami księgarskimi, utrwalonymi w zapisie krystalicznym, nie było kłopotu. To załatwiały automaty, analizatory. Ale przecież w podziemiach archiwów mamy tysiące ton najrozmaitszych akt, dokumentów, zapisów i notatek, do których nie przywiązywano żadnego znaczenia. Z rzadka sięgają do nich autorzy jakichś prac przyczynkarskich i to głównie popularyzatorzy... To wszystko musieli zbadać i przeczytać ludzie. Setki ludzi, jeśli praca miała być wykonana w możliwie krótkim czasie. Mieliśmy szczęście... Zaraz czwartego dnia młoda asystentka British Museum natknęła się w starym magazynie Muzeum Broni na ten oto zeszytek...

– Co to jest? – szepnęła Ann.

– Pamiętnik... pamiętnik żołnierza. Fragment, który wam przeczytam, dotyczy roku tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego. Chodzi o walki w Libii... Zresztą posłuchajcie.

Corton podszedł do stołu i usiadł ciężko na jednym z prostych, trójnogich zydlu. Zeszyt położył przed sobą i przytrzymując palcami brzegi kartek, zaczął powoli czytać:

"Skwar był taki, że język przysychał do podniebienia. Już piąty dzień tkwiliśmy w tym cholernym piachu jak w beczce kipiącej smoły. Fryce siedziały cicho, trzymaliśmy ich w szachu krzyżowym ogniem cekaemów i moździerzy, ale na to, żeby pójść naprzód, było za mało amunicji. Trzeba było mieć oczy z tyłu głowy i trzymać je otwarte, zwłaszcza na takiej placówce jak nasza, bo ich patrole przemykały się między wydmami i zachodziły od tyłu. Tego dnia rano Fiddon poszedł po wodę i nie wrócił..." – zostało ich dwóch, na wysuniętej placówce

ogniowej – wyjaśnił Corton, przerywając na chwilę czytanie. Zaraz jednak wrócił do pamiętnika:

"Zasnąłem na chwilę, ale zbudził mnie kapral Joe. Błady jak ściana pokazywał palcem przełączkę między wydmami, na prawo od nas. Wyjrzałem – i w pierwszej chwili przestraszyłem się, że dostałem bzika. Lazło tam takie świejące, kwadratowe pudło wielkości czołgu albo nieco wyższe. Nie słyszałem gąsienic, warkotu silnika, w ogóle nic. Pudło staszczyło się na dno muldy i stanęło. Wylazł jakiś facet, nie wiem, skąd się wziął, bo nie widziałem, żeby się tam otwarła kłapa czy inny właz. Miałem dość. Pomyślałem, że to nowe diabelstwo Rommla, i podciągnąłem pepancę. Przyłożyłem się dobrze i wygarnąłem. Siedziało. Zobaczyłem, że facet upadł, a z pudła poleciały drzazgi. Potem schyliłem się po nowy pocisk i wtedy przyszło to uderzenie. Pepanca zniknęła z nasypu, a Joemu zdmuchnęło głowę, jakby to była piłka. Siedziałem chwilę bez ruchu, jak mysz pod miotłą. Kiedy wreszcie wyjrzałem, pod wydmą stały już dwa takie pudła. Trzech facetów w maskach i czarnych kombinezonach zabierało tego, którego rąbnąłem. Potem wszyscy wleźli do drugiego czołgu, czy co to tam było. Musiałem mieć gorączkę, bo wydało mi się, że poszli pionowo w górę. Tam nie było żadnych śmigieł ani niczego takiego. Pudło świeciło jak księżyc. Przypadłem do piachu, bo bałem się, że będą walić z góry. Mogliby mnie dostać. Kiedy podniosłem głowę, nie było już po nich śladu. Tylko to pierwsze pudło, które dostało z mojej pepancy, jeszcze trochę dymiło. Chciałem je obejrzeć, ale spojrzałem na to, co zostało z Joego, i nie poszedłem. Zresztą musiałem iść do sztabu kompanii, powiedzieć, co się stało. Bez pepancy nie było co tam siedzieć. Poszedłem od razu, ale w drodze złapała mnie burza piaskowa. W tej cholernej Libii burze przylatują jak piorun, człowiek nie zdąży nawet zasłonić twarzy. Kiedy wróciłem z nowym amunicyjnym, po dawnym stanowisku nie było już nawet śladu. Zresztą zaraz zapadła noc. Rano Niemcy przełamali nasz pierścień od północy i całą dywizję przerzucono na wybrzeże..."

Corton skończył i zamknął zeszyt. W ciszy, jaka zapadła, słychać było wyraźnie ziarenka piasku, osypujące się cienkimi

sznureczkami z dachu baraku.

– Burza piaskowa pogrzebała w wydmie nie tylko angielskie działo przeciwpancerne – powiedział wreszcie półgłosem Kulaki.

Potton przełknął ślinę. – Znaleźliście? – wykrztusił. Corton spojrział mu w oczy i powoli skinął głową.

– Pracowało przy tym – powiedział – kilkanaście ekip. Puszczaliśmy najpierw sondy lotnicze, potem podzielono pustynię na kwadraty i każdy z osobna przeczesywano ultradźwiękami. To nic nie dało. Czujniki ferromagnetyczne też sygnalizowały każdy strzęp żelastwa, zagrzebany w piachu. A jest tego tutaj niemało. Ziemia to jedno wielkie cmentarzysko... Pustynia Libijska nie jest wyjątkiem. Dopiero kiedy dostaliśmy od was wyniki analiz chemicznych ich budulca i materiałów, przestroiliśmy sondy na odpowiednie częstotliwości... – Corton położył otwartą dłoń na zeszyte i wskazał go oczyma. – Nazywał się Williams. Służył w jednostce piechoty zmotoryzowanej ósmej armii libijskiej. Zginął pod Trypolis w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Niedługo po wydarzeniu, które opisał. Rodzina przekazała jego pamiętnik brytyjskiemu Muzeum Broni. Nie doczekał się publikacji ani opracowania. Dlatego pozostał w tym archaicznym kształcie rękopisu.

– Gdyby wiedział – wyszeptała Ann. – Gdyby mógł wiedzieć...

– Nic by mu z tego nie przyszło – odparł Corfcon. – Musiałby wiedzieć to wszystko, co my dzisiaj. Był żołnierzem. Może dobrym żołnierzem. Zapewne nienawidził wojny i marzył o dniu, w którym wróci do domu, o żonie lub o dziewczętach w letnich sukienkach. Nie wrócił. Walczył w dobrej sprawie. Milionom takich jak on całe pokolenia oddawały cześć przed pomnikami nieznanymi żołnierzami na całej kuli ziemskiej.

Jeden z tragicznych paradoksów epoki dezintegracji, segregacji państwowej. Bo przecież dla ludzkości, dla społeczności ziemskiej żadna wojna nie mogła być sprawą dobrą... Tu w piasku, obok, leży tragiczne potwierdzenie tej prawdy. Chodźcie...

Corton wstał i nie patrząc na nikogo z obecnych skierował się do wyjścia. Jedno po drugim, jak zahipnotyzowani, podążyli za nim.

Schodzili powoli, mimo że złoćisty, ziemski piach ruszał spod ich nóg i spływał całymi ławami. Wykop mierzył ze sześć metrów głębokości. Pośrodku...

Dopiero patrząc z dołu można było ocenić prawdziwe rozmiary konstrukcji. Z pewnością przewyższała najcięższy z czołgów, budowanych w okresie wojen światowych. Był to prostopadłościan o lekko zaokrąglonych konturach. Jego powłoka srebrzyła się w słońcu, jakby pokryta matowym szronem. Zbliżając się zwalniali odruchowo, okrążyli bryłę z trzech stron zacieśniającą się spiralą, wreszcie stanęli, jakby niepewni, w odległości półtora metra od chropawej ściany.

Tuż nad powierzchnią pustyni, u dołu kwadratowej płaszczyny, ziała szeroka, czarna wyrwa o postrzępionych brzegach. Poza tym w litej caliźnie bryły nie sposób było wpatrzeć zarysów jakiegokolwiek klapy czy włazu. Chyba że coś takiego znajdowało się pod spodem, w ścianie, na której spoczywała konstrukcja, napierając na nią całym ciężarem swoich co najmniej kilkudziesięciu ton. Chociaż, jeżeli statek pozostał w pozycji, w jakiej dosięgnął go pocisk... Spojrzenia Ann i Piotra powędrowały w stronę profesora. Odgadł widać zawarte w nich pytanie, bo pokiwał przecząco głową.

– Nie ma nic... nic... – powtórzył. – Prześwielaliśmy to na wszystkie strony, opukiwali, byli tu przecież i chemicy, i fotonicy, i atomiści, robili cuda, wszystko na nic. Tylko ten wyszarpany lej, ale tam nie wsadzicie nawet głowy. Oczywiście, coś musi być. Trudno przypuścić, by umieli przenikać przez taką skorupę jak przez wodę. Muszą chyba mieć jakieś aparaty, emitory, które powodują liniowe zmiany w strukturze materii, polaryzują ją w pewien szczególny sposób. Czyli, inaczej mówiąc, za każdym razem kreślą na ścianie zarys drzwi czy włazu, uchylają albo wyjmują cały taki płat, a potem, po wstawieniu na poprzednie miejsce, przywracają mu nuklearną spoiwość z otoczeniem. Tak przynajmniej mówili specjaliści. Nie umieli sobie tego inaczej wytłumaczyć.

– Oni tu wrócą – powiedziała półgłosem, jakby do siebie, Ann.

– Specjaliści? – zdziwił się Corton. – Nie. Tutaj zrobiono już wszystko, co było do zrobienia. Dlatego zostaliśmy sami, z Pawłem. Czekaliśmy na was. A co do statku... jutro przyleci po niego ekipa transportowa. Zabiorą go do Instytutu Lotnictwa w Madrasie. Tam dopiero wezmą się do niego na serio. A tu... – zawahał się. – My z doktorem Kulskim też jutro wyjeżdżamy. Zostanie pustynia i... – nie skończył.

– Czy coś już wiadomo o napędzie? – spytał Piotr. – Silniki powinny być w dobrym stanie.

– Silniki – Corton spojrzał niepewnie na Kulskiego. – To nie są właściwe silniki. W każdym razie nie w naszym rozumieniu tego słowa. Raczej wzmacniacze.

– Wzmacniacze?

– Technicy przypuszczają, że kondensują kwanty wiązki promieniowania, emitowane z miejsca startu – wyjaśnił Kulski. – Że odpychają się jakby od już rozpędzonych cząstek. W ten sposób mogą nawet osiągać szybkości podświetlne. Ale – rozłożył ręce – my z profesorem jesteśmy laikami. Poza tym rentgen... wiecie, jak to jest. Widać niby całe wnętrze, a jednak to nie to. Są tam elementy nieprzenikalne, nie dające żadnego echa. Nawet konstruktorzy i fotonicy nie kwapili się z hipotezami. Analizowali, kiwali głowami, wreszcie powiedzieli, że bez zespołów neuraksa centralnego laboratorium nie dadzą rady, i odlecieli. Tym bardziej my... Co ci jest? – zwrócił się nagle do Ann, pochwycając jej spojrzenie. Przysłuchiwała się ich rozmowie, wodząc od jednego do drugiego nieprzytomnym, jakby bezgranicznie zdumionym wzrokiem. Zagadnięta, drgnęła i potrząsnęła głową.

– Nic... – szepnęła. – Pytałam, czy oni wrócą...

– Nie wrócą, Ann – odezwał się łagodnie, jak do dziecka, Corton. – Będą go badać w Madrasie. Mówiliśmy właśnie...

– Ann nie chodziło o specjalistów, profesorze – przerwał szorstko Potton. – Miała na myśli załogę statku. Tych, którzy go zbudowali...

Zapadła cisza. Po dobrej chwili Corton podszedł do Ann i



serdecznym gestem położył dłoń na jej ramieniu.

– Miejmy nadzieję, że wrócą – w jego głosie zabrzmiał ciepły ton – miejmy nadzieję... – powtórzył. – Ale na razie nikt nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Zrobimy wszystko, co do nas należy, i będziemy... czekać.

– Czekać – podchwycił z goryczą Kulski. – Czekać...

– Może nie tylko... – Piotr urwał i zamyślił się. Ann stała chwilę bez ruchu, patrząc mu w oczy, wreszcie powiedziała:

– Nie wiem, o czym myślisz... Ale nawet gdyby się nam udało nawiązać z nimi kontakt, jak wytłumaczymy to... tę pomyłkę?

– Pomyłkę?... – powtórzył jak echo Kulski. – Kiedy wrócą, może być za późno na tłumaczenia.

– Ten znowu swoje – powiedział miękko Corton. – Przestań się już zadrećcać. Pawle. Trzeba wam wiedzieć – zwrócił się do pozostałych – że analiza psychologiczna statku wykazała szereg cech wspólnych obu naszym rasom. A przecież my nie interweniowalibyśmy w sprawy obcej cywilizacji, gdyby w czasie wyprawy badawczej jedna z naszych rakiet uległa wypadkowi... nawet zagładzie.

– A jeżeli obok cech wspólnych wyjdą na jaw różnice? Jeżeli te ostatnie będą dotyczyć między innymi kategorii odpowiedzialności i kary? Odwetu? Co wtedy? – rzekł Kulski. Potton spojrział na niego z aprobatą.

– Sto czterdzieści lat – mruknął po chwili Corton, mierząc spojrzeniem przestrzeń ponad garbami wydm. – Niemal półtora wieku. Istoty, które tak potrafią sobie radzić z astronawigacją, nie mogą być ignorantami w naukach społecznych. Muszą dobrze znać ogólne prawa dynamiki społecznej ewolucji. Wezmą pod uwagę fakt, że w okresie półtora wieku rasa zamieszkująca naszą planetę rozwinęła w sobie jakościowe nowe cechy...

– Wezmą albo i nie – bąknął Piotr. – Nie gniewaj się, profesorze – dodał – ale sto czterdzieści lat to w kategoriach kosmicznych zaledwie drobny ułamek sekundy.

– Sam nas tego uczyłeś – podchwycił Kulski, zwracając się do Cortona. – Ludzkość dość beztrzesko poczyna sobie z czasem. Okres jednego wieku wystarcza nam, by anulować wszelkie

możliwe rachunki. W euforii przeobrażeń, jakie przeszła zbiorowość ziemską w ostatnim pięćdziesięcioleciu, rozgrzeszyliśmy wszystko i wszystkich, którzy żyli przed naszą epoką. Sklasyfikowaliśmy ich winy wobec współczesnych, ale nie pomyśleliśmy o winach wobec nas, siebie, mnie, przyszłych pokoleń. Zapewne, kto mógł przypuścić, że okażą się jeszcze... aktualne. A co, jeśli nie mieliśmy do tego prawa? Czujemy się tutaj panami, gospodarujemy na naszym globie i w całym systemie jak średniowieczni monarchowie, ba, sięgamy do gwiazd. A jeżeli razem z całą naszą nadętą cywilizacją jesteśmy tylko naroślą, atomem jakiejś szerszej, nie zintegrowanej jeszcze do końca społeczności?

– Dziewiętnastowieczna hipoteza, Pawle... – przerwał łagodnie Corton.

– Tak? A to tutaj, to także hipoteza? Więc już nie jedna rasa władców kosmosu, tylko dwie, prawda? Ile ich trzeba, żeby stworzyły społeczność, o jakiej mówię, profesorze... A jeśli tak, to czy pokolenia popełniające zbrodnicze błędy, opóźniające postęp swojej cywilizacji a tym samym zbiorowości świadomego istnienia w ogóle, mają odpowiadać wyłącznie przed swoimi sukcesorami z własnego szczepu, własnej rasy? Czymże jest dla nas czas, współczesność... Einstein, tak. Ale historia? Współczesność jest kategorią umowną. Rozumiemy ją w sposób dla nas najwygodniejszy i... najbezpieczniejszy. Co będzie, jeśli rachunku zażąda nie nasza ziemską współczesność z jej łagodnymi, dobrotliwymi prawami – ale współczesność w ogóle? Kto wtedy będzie płacił? Co powiemy tym, którzy tutaj wrócą upomnieć się o swój strzaskany statek i zamordowanego przy pierwszej próbie kontaktu towarzysza? Ze to nie my, tylko ci, co przed nami? Więc nie ludzie? – spytają. Ludzie – odpowiemy – ale inni. Więc jak? Nie widzicie, że to chowanie głowy w piasek? Dziecinada? Sto czterdzieści lat. Rzeczywiście! Człowiek żyje przeciętnie sto dwadzieścia lat. Nasi dziadkowie mieli jeszcze mniej czasu dla siebie, znacznie mniej. A któż nam zaręczy, że konstruktorzy i piloci tego tutaj statku nie żyją po trzysta, czterysta, pięćset lat?! Że nie przylecą tutaj ci sami, właśnie ci, którzy już raz lądowali na Ziemi? I że, jeśli zażądają

rachunku, to zażądają go od pokolenia w ich oczach bezpośrednio odpowiedzialnego za to, co się stało?

W głosie młodego historyka brzmiało rozżalenie, narastające, gorzkie, widać było, że nie może zgryźć w sobie ponurego, zakrzepłego wbrew jego woli buntu przeciw temu, co się stało, wobec czego byli bezradni, a co tak dotkliwie raniło jego wiarę w głęboką logikę historii. Zakończył tonem niemal płaczliwej skargi.

Stali w milczeniu, jakby nasłuchując, czy gdzieś z pustyni nie wrócą odbite od obłych grzbietów wydm jego ostatnie słowa, rzucane gorączkowo pytania, na które nie było odpowiedzi. Po dobrej chwili Corton poruszył się niecierpliwie, obrzucił Pawła krótkim spojrzeniem, była w nim jakby niechęć, ale i współczucie – i nic nie mówiąc zaczął się piąć piaszczystym osypiskiem, tym samym, łagodniejszym od innych zboczem nasypu, którym sprowadził ich do wykopu. Patrzyli chwilę na jego przygarbione plecy, wreszcie gęsiego, ospale, jak na puszczone w zwolnionym tempie filmie, podążyli w jego ślady.

Kiedy walcowaty grzbiet nasypu przesłonił już za ich plecami przeciwną ścianę wykopu, profesor zatrzymał się nagle i odwracając do nich profilem powiedział:

– Dziś jest, jeśli się nie mylę, piątek. W poniedziałek rano, wszyscy jak tu jesteśmy, mamy być u profesora Bo Lorena w Neapolu. Thorson i Potton otrzymają ostatnie instrukcje przed startem...

Z mlecznych kuł klimatyzatorów biło falami ciepło, rozpraszające obcość ogromnej hali, stwarzające intymne zacisze i dające pogodne schronienie myślom. Leżeli na wznak, błędząc szeroko otwartymi oczyma po gwiazdozbiorach pastelowych ogników i świateł, pełgających pod dalekim, niewidocznym stropem, ciasno przytuleni do siebie, ukryci w kokpicie raketowego fotela jak w łodzi o wysokich burtach. W pewnej chwili, nie przerywając milczenia, poruszył nieznacznie głowę, tak by móc widzieć jej twarz, zaznaczony w półmroku najcieńszą kreską profil. Nie czuł już dotyku jej włosów, nie czuł w ogóle ramienia, w którego zgięciu spoczywała jej głowa,

odkrył, że to sprawia mu radość, że takie zatracenie świadomości granic ich ciał ma jakąś głęboką, nie znaną mu dotąd wartość.

– Dlaczego czekaliśmy tak długo? – powiedział cicho, nieoczekiwanie dla siebie samego. Było w tym więcej z afirmacji chwili, olśnienia jej aż bolesnym urokiem, aniżeli z pytania dotyczącego przeszłości. Zwróciła ku niemu twarz. Patrzyła przez chwilę, jakby czekając, zanim pojęła, że to było wszystko, właśnie to i tylko to, co miał teraz do powiedzenia. Uniosła się lekko, odrywając od niego, poczuł nagle delikatne muśnięcie na włosach, szło w dół, owiodła palcami jego czoło, brwi, skronie, w niepowtarzalnym kobiecym geście przywierając wreszcie otwartą dłonią do policzka. Objął wąski przegub tej dłoni, rozwarł palce, powoli jakby odnajdując zapamiętaną z dzieciństwa ścieżkę powędrował wzdłuż jej ramienia, zatrzymał się w zakłębieniu obojczyka, poszedł dalej, okrążając czubkami palców piersi, domyślając się raczej dotyku ich szczytów niż czując go stwardniałym wnętrzem dłoni, aż znieruchomiał pochwycawszy szybkie drganie skóry w miejscu, gdzie biło serce. Nagle zabrała rękę z jego twarzy i poruszyła się, jakby niecierpliwie.

– Boję się, że nie czekaliśmy dość długo – powiedziała, odwracając głowę. Milczał dłuższą chwilę.

– Dlaczego... – szepnął – pokochałem cię... to musiało być tysiąc lat temu...

– Mnie? Naprawdę mnie? – słowa te były skierowane jakby do niej samej, jakby jego obecność była czymś drugorzędnym i nieważnym wobec tej obecności, którą chowała wyłącznie dla siebie, która stanowiła prawdziwą treść jej dialogu z własnymi myślami.

– Czy przypadkiem nie pokochałeś we mnie tego, co pozostało tam, za polem startowym? Czy twoje uczucie nie oznacza po prostu tego, że tutaj jestem, że w ogóle można mnie pokochać? Gdybyś mógł mi szczerze odpowiedzieć... nie, nie możesz, bo nie masz żadnej skali... bo ja jestem tutaj dla ciebie po prostu... – szukała chwilę porównania – po prostu... soczewką...

Nie odpowiedział. Milczał chwilę wpatrując się w nią badawczo, jakby chcąc rozgryźć prawdziwe znaczenie tego, co powiedziała. W końcu przewrócił się na bok i przygarnął ją ciasno, oboma ramionami.

– Leno – powiedział pełnym głosem – zostaw to wszystko. Jeszcze mnie nie kochasz. W każdym razie nie

tak jak ja... Ale to nic. Pokochasz mnie. Bo jesteś dla mnie czymś jednym jedynym wśród wszystkich i wszystkiego, o czym mogę pomyśleć. Wśród tego, co było, czego doświadczyłem, co robię w tej chwili i o czym marzę... – urwał.

Poruszył kilkakrotnie wargami, jakby utwierdzając się w przekonaniu o prawdziwości tego, co powiedział. Nagle drgnął. W jego spojrzeniu zamigotała szczerza irytacja.

– Dlaczego soczewką?! – rzucił.

Patrzyła na niego chwilę, zdumiona i zaskoczona i niespodziewanie parsknęła śmiechem. Śmiała się serdecznie, beztrudnie, w jednej chwili wrócili do świata faktów, w którym ich miłość objawiła nagle swą rzeczywistą, namacalną postać, jako coś niepowtarzalnie pięknego wprawdzie, ale przecież nie jedyne w świadomości nieskończonego istnienia.

– Oczywiście, że soczewką – zdołała wreszcie wykrztusić. – Skupiam wiązki twoich myśli o Marsie i o Ziemi, jak soczewka zawieszona w połowie drogi między tymi ciałami niebieskimi. Chyba nikt nie miał jeszcze takiej podróży poślubnej, jak myślisz?

– W podróż poślubną polecimy na Wenus – burknął, na pół tylko udobruchany. – Chmury, upał i te śmieszne porosty... bez żadnych podziemnych korytarzy, emitorów, plujących płaszczynek... Co ci jest? – spytał nagle, spostrzegłszy, że posmutniała i zrobiła ruch, jakby chciała odsunąć się od niego.

– Nic... – szepnęła. – Pomyślałam o n i c h... To straszne, Andrzeju. Przecież właściwie powinniśmy im być wdzięczni. Pierwsi, którzy odnaleźli naszą rasę w nieskończonym wszechświecie. Dzięki nim, my dwoje... A jednak Piotr myśli o nich jak o naszych wrogach. Ziemia gotuje się do odparcia najazdu. Uczni wymyślają jakieś szyfry...

a wiesz, co leży u podstaw tej całej wrogości, a w każdym

razie nieufności? – upokorzenie...

– Upokorzenie? Jak to rozumiesz?

Ujęła w obie ręce jego dłoń, wracając do poprzedniej pozycji.

– Ta wiadomość, wczoraj rano... o znalezieniu ich statku. Wiesz, co poczułam w pierwszej chwili? Wstyd. Pomyślałam... nie śmiej się... pomyślałam, że trzeba ich przeprosić. Dziecinada? prawda? Przeprosić! Równie dobrze Costez, ten geograf z Madrytu, mógłby teraz wyrazić, w imieniu Hiszpanów ubolewanie w związku z zagładą kultury Inków. Pomyśl, gdzieś w kosmosie jest grób pierwszej istoty spoza układu, która wylądowała na Ziemi. Tak jakby wpadła w jaskinię pełną dzikich zwierząt. Upokorzenie to jeszcze bardzo blade słowo... A przecież człowiek marzył od stuleci o takiej chwili... Cóż za paradoksalny bezsens!

– Bezsens, zgoda. Ale nie paradoksalny. Niestety nie. Jest w tym dużo ponurej logiki... Wiesz co, nie mówmy o nich.

Milczała. Po chwili poruszyła głowę, wtulając się głębiej w zgięcie jego ramienia.

– A co do wdzięczności – podjął wreszcie – mam nadzieję, że nie będziemy mieć okazji do złożenia im czołobitności za gościnę...

– Masz nadzieję?

– Uhm. W każdym razie nie teraz. Ty nie? – potrząsnęła delikatnie jej głowę.

Świat, jakim żył od wczoraj, nie pozwalał mu szczerze przejmować się czymkolwiek dłużej niż kilka minut.

– Nie wiem... – wyszeptwała.

– Prawda – powiedział z udaną powagą – ty jesteś specjalistką od kontaktów. Tracisz pierwszą okazję sprawdzenia swoich kwalifikacji, cybernetyku... Zresztą, jesteś kobietą...

Zmrzyła go badawczym, niemal niechętnym spojrzeniem. – Cóż to ma do rzeczy? – spytała.

– Ma! – zaśmiał się. – Wiesz równie dobrze jak i ja, kiedy ostatecznie przyjęto zasadę załóg mieszanych. Chodzi o te drobne różnice... och, nie złość się, myślę o psychice, mentalności... Od dawna wiadano, że jesteśmy trochę inni,

przy całej integracji płci, ale dopiero kiedy...? poczekaj... chyba trzydzieści lat temu zdołano te różnice usystematyzować. Harder, prawda? On pierwszy rzucił myśl wykorzystania rozpiętości psychicznej kobiet i mężczyzn dla sprawy kontaktów galaktycznych. Może się przecież zdarzyć, że umysłowość istot, z jakimi przyjdzie nam się dogadywać, będzie bliższa waszej niż męskiej. To daje po prostu dodatkową szansę.

– O ile wiem – mruknęła po chwili, przeciągając się – Harderowi nie chodziło tylko o to...

– Nie tylko – przystał, patrząc na nią z zagadkowym uśmiechem. – Bo są jeszcze te inne różnice... Wiesz, jak patrzono przedtem na sprawy płci... to znaczy na to, jak jest między kobietami a mężczyznami...

– Ale chyba mniej o tym mówiono – spojrzała na niego przekornie.

Zamilkł. Poczula niecierpliwe drgnięcie jego dłoni.

– No to o co jeszcze chodziło?... – szepnęła. Nie odpowiedział. Uniósł się lekko na łokciach i powiódł wzrokiem po jej włosach, skrcających do połowy delikatny profil smukłej szyi z mocnym łukiem napiętego ścięgna, nagich ramionach, jakby pobłyskujących w cieniu, jaki rzucała jego głowa...

– Właśnie o to – powiedział lekko zachrypłym głosem.

– Powiedz, że to wszystko nieprawda... – mruknęła jakiś czas później, już zasypiając.

– To prawda – odrzekł natychmiast. – Jesteśmy my, ty i ja, i są oni. Nasza przeszłość i terażniejszość, i to, co będzie. Nie trzeba się tego bać. Pomyśl, ile przed nami lotów, pracy i miłości. Jutro rano... a, zapomniałem ci powiedzieć – tam, w rogu hali, gdzie wtedy bluznęło na mnie taką wichurą, tam coś jest. Echo ultradźwiękowe, na podstawie którego korygowałem szkic podziemi, wykazało tam podwójne odbicie, jakby za ścianą była jeszcze jakaś komora albo krótki korytarz. Pójdziemy tam zaraz rano, dobrze?

Nie odpowiedziała.

– Pójdziemy?

Odwróciła twarz, przylegając policzkiem do jego ramienia i

mruknęła coś niezrozumiale.

– Dobranoc, kochanie – szepnęła.

## ROZDZIAŁ VIII

– Darujcie nam te dwa dni zwłoki – mówił Bo Loren, segregując perforowane arkusze folii, szkice programów, zaścielające nerkowaty blat biurka – trochę się to przeciągnęło. Ale dzięki tym czterdziestu ośmiu godzinom możemy sobie przed waszym startem powiedzieć wszystko... niemal wszystko.

Wyprostował się z trudem, przemknął spojrzeniem po utkwionych w sobie oczach Ann i Piotra, następnie, jakby nie dostrzegając ich wyrazu, wyszedł na środek gabinetu, zatrzymał się, myśleli, że zacznie mówić, ale on skinął tylko kilkakrotnie głową, po czym ruszył dalej ku wysokiej, przezroczystej ścianie, wyrastającej z soczystej zieleni krzewów otaczających pokój niskim żywopłotem.

Czekali z zapartym tchem. Wiedzieli już, że w niedzielę marsjańska baza przekazała Zespołowi meldunek szczególnej wagi, poinformował ich o tym automatyczny portier, kiedy w poniedziałek rano, jak było umówione, zameldowali się w sekretariacie Rady. To, że na ich spotkanie nie wyszedł żaden człowiek, jak również fakt, że nie wyznaczono nowego terminu wizyty, każąc im po prostu czekać w nadmorskich pawilonach gościnnych, dało im dużo do myślenia, i we wtorek, późnym wieczorem, został nieoczekiwanie wezwany do Lorena profesor Corton, który dotychczas dotrzymywał im towarzystwa, Kulski zaszył się w jakiś kąt ze swoją czarną walizeczką, "katalogiem faktów", jak ją nazywał, natomiast Whiten mruknąwszy raz tylko pod nosem: "w razie czego jestem na plaży" wsadził pod pachę nieco zdezelowany rower podwodny, zabrał aparat tlenowy i tyle go widzieli.

Dopiero teraz, kilka godzin po zaplanowanym terminie startu, spotkali się w gabinecie Sekretarza, wysuniętej z masywu gmachu, jakby zawieszanej na wysokości dwudziestu ośmiu pięter szklanej bryle. Meldunek przyszedł w niedzielę o



czwartej po południu. Od tego czasu Bo Loren i kierownik Zespołu Koordynacyjnego Programu Marsjańskiego, Sakadze, nie opuszczali kabiny rozrządowej systemu neuraksów, zainstalowanych we wszystkich ośrodkach astronautycznych na obu półkach. Nad pancernymi drzwiami w podziemiach neapolitańskiego pałacu płonęło dniem i nocą czerwone światło. Ludzie pracujący na dolnych kondygnacjach chodzili mimo woli na palcach. Micci, lekarz ośrodka, który wbrew wyraźnemu zakazowi połączył się fonoptyką z kabiną neuraksów, chcąc skłonić uczonych do zjedzenia obiadu i najkrótszego choćby odpoczynku, został niezbyt uprzejmie poproszony o wyłączenie aparatu.

Cztery pary oczu śledziły z nie ukrywanym niepokojem każde poruszenie Sekretarza. Nie sposób było odgadnąć, o czym myśli, krążąc bez słowa z założonymi do tyłu rękami, nie widzieli nawet rysów jego twarzy. Na tle słonecznej panoramy morza i wybrzeży sylwetka profesora rysowała się jedną, wyciętą ostrymi konturami, mroczną ruchomą plamą.

Corton pochwycił w pewnej chwili niepewne, jakby zniechęcone spojrzenie swojego asystenta i uśmiechnął się.

– Będiesz miał nowy temat do rozmyślań, Pawle – powiedział. Kulski drgnął. Czyżby... ale pogodny ton Cortona przeczył ponurym podejrzeniom, jakie przemknęły przez wyobraźnię młodego historyka. Bo Loren stanął nagle jak wryty, jakby słowa, które przerwały wreszcie nabrzmiewającą ciszę gabinetu, zdjęły z niego jakiś obezwładniający urok. Powiódł spojrzeniem po twarzach obecnych, wyprostował się i przemówił, niezwykle u niego oficjalnym, nawet uroczystym tonem:

– Zredagowaliśmy komunikat – jego wzrok zatrzymał się na Półtonie, który odruchowo uniósł głowę i zeszywniał. – Brakuje tylko kilku końcowych wierszy. Wiecie. o co chodzi. Społeczeństwo musi wreszcie poznać prawdę. Rada Astronautyczna Narodów Zjednoczonych postanowiła zlecić ostateczną redakcję komunikatu pierwszym ludziom, którzy wylądowali na Marsie i którzy przynieśli światu wiadomość o przybyszach... Zrobicie to niezwłocznie po powrocie do ich

bazy. Rada zaakceptuje każdą wersję... zakończenia komunikatu, podpisaną przez kierownika wyprawy, doktora Pottona. Decyzja należy do ciebie, Piotrze.

Teraz dopiero, kiedy odszedł od ściany i stanął nad fotelem, w którym siedział Potton, dotykając niemal jego ramienia, ujrzeni twarz Sekretarza. Spierzchnięte wargi, zaciśnięte w wąską linię, zapadłe skronie, głębokie cienie pod oczyma świadczyły o bezsennych nocach i wyczerpaniu.

Minęła chyba minuta, zanim Piotr przełknął ślinę i spytał zdławionym głosem:

– O co chodzi, profesorze?... Loren zaczerpnął głęboko powietrza i przeciągnął ręką po czole.

– O wszystkim poinformuje was kierownik Zespołu Koordynacyjnego – powiedział. – Ja chciałbym tylko prosić, żebyście nie podejmowali decyzji bez konsultacji z historykami. Ostatnie godziny... – zawiesił głos. Zwrócił się do Sakadze, jakby szukając u niego pomocy. – Ostatnie godziny – podchwycił siedzący dwa fotele dalej Corton – spędziliśmy z profesorami na pouczającej pogawędce o... przyszłości. "Więc jednak chodziło o konsultację – przemknęło przez myśl Piotrowi. – Dlaczego właśnie historyk...?"

– Tak – rzucił Bo Loren. Widać było, że mówienie przychodzi mu z trudnością. – Zastanawialiśmy się, jak będzie wyglądał nasz świat po upływie czterech stuleci. Jakie środki techniczne będzie ludzkość w stanie przeciwstawić ewentualnym agresorom i jak będą wyposażone bazy przestrzenne na peryferiach naszego układu... Czy będą zdolne powstrzymać wszystkie dające się pomyśleć statki lub... pociski kosmiczne i nie dopuścić do inwazji Ziemi. A także... – i to chyba ważniejsze – jak pokolenia żyjące w dwudziestym piątym wieku ocenią naszą decyzję, jakkolwiek by ona była...

– Dlaczego w dwudziestym piątym... – wykrztusiła Ann. – Współcześni... świat ma prawo...

– Ma – przerwał spokojnym tonem Sakadze. – Nikt nie kwestionuje praw współczesnych. Tylko że nie oni będą ponosić konsekwencje naszego ewentualnego błędu. Ani my, ani nasze dzieci, ani nawet ich prawnuki. Te konsekwencje

spadną na ludzkość nie wcześniej, niż właśnie za czterysta lat. Gdyby chodziło tylko o współczesnych... gdybyśmy my sami mogli zostać pociągnięci do odpowiedzialności... byłoby łatwiej. Dlatego właśnie Rada postanowiła wam zostawić decyzję. Jesteście ponadczasowi, rozumiecie? Jako pierwsi, którzy zetknęli się z obcą cywilizacją. Emisariusze. Wasze nazwiska będą żywe, kiedy o nas i wszystkich pozostałych członkach Rady zapomną już nawet archeolodzy. Rozpościeracie się nad czasem, jak odwieczne i wieczne idee ludzkości. A więc musicie postanowić, musi przemówić ta częśćka waszej świadomości, która tkwi już w dwudziestym piątym wieku...

Whiten pomyślał w tym momencie, że takie stawianie sprawy jest w gruncie rzeczy wygodne dla członków Rady i ma coś z paradoksu, ale przypomniał sobie, że aby paradoks mógł być paradoksem, musi być osadzony w litym gruncie rzeczywistości i powszechnie uznanej prawdy, i nic nie powiedział. Tak czy owak był mniej "ponadczasowy", jeśli przyjąć klasyfikację Sakadze, od tamtej dwójki. Zresztą, wszyscy zaczęli się już mniej więcej orientować w tym, co zaszło...

– A więc ten meldunek... – zaczął niepewnie Potton. Bo Loren skinął głową, odwrócił się i podjął przerwana wędrówkę po gabinecie.

– Tak. – Mówił powoli, starannie dobierając słowa. – Otrzymaliśmy odpowiedź na ostatnie z pytań, postawionych we wstępnej fazie badań obiektów, wzniesionych przez przybyszów – nazywajmy ich tak dalej – na powierzchni Marsa. W niedzielę rano, według naszej rachuby, oczywiście, córka obecnego tu profesora Sakadze i Batuzow odnaleźli w bezpośrednim sąsiedztwie centralnej hali jeszcze jedno, nie znane dotąd pomieszczenie... mniejsza o szczegóły. Tam jest jeden jedyny pulpit i jeden ekran, liniowy. Przekazuje drogę ich statku. Od punktu zero do... mieliście rację – zwrócił się do Whitena – to jest rzeczywiście w okolicach alfy Psa Małego. No i tak. Nie wymyśliłiśmy sobie tego dwudziestego piątego wieku...

– Mieliśmy daną drogę – przerwał Sakadze. – Też nic pewnego, bo Procjon nie ma planet... Więc mogą lecieć gdzieś

dalej, ale to są już hipotezy. Przyjęliśmy za rzeczywistą drogę po linii prostej łączącej Marsa z konstelacją Psa Małego. Nie znaleźliśmy natomiast szybkości, z jaką poruszają się ich statki. Nie muszę nikogo przekonywać o doniosłości tego problemu. Mając drogę i szybkość wiedzielibyśmy, kiedy możemy się spodziewać ich powrotu. Od początku przypuszczaliśmy, że wykorzystują dla żeglugi wiązki promieni, trzymane jak gdyby samopowtarzającym się tunelowym polem magnetycznym... Dlatego nie rozpraszają się po całej galaktyce. Hipoteza ta okazała się prawdziwa. Otóż określenie szybkości tych promieni, emitowanych z ich wyrzutni, nie nastęczało większych trudności. Jest niewiele mniejsza od prędkości światła... Tylko że to nic nam jeszcze nie mówi... tak jak szybkość wiatru nie jest równoznaczna z szybkością łodzi żaglowej. Chodzi o to, jak statek radzi sobie z oporem fal lub... przestrzeni kosmicznej, jak zostanie ustawiony żagiel, jakie urządzenia, zainstalowane na pokładzie, pomnażają energię rozpedzonych cząstek. Prowizoryczne wyniki badań, prowadzonych w Madrasie, zdają się potwierdzać przypuszczenie, że ich konstruktorzy rozwiązali problem spiętrzenia, że tak to określe, kwantów wymuszonego promieniowania, emitowanego z miejsca startu. Dokładniejsze dane uzyskamy nie wcześniej niż za kilka tygodni. Krótko mówiąc, gdyby nie odkrycie Leny i Batuzowa, się wiedzielibyśmy dalej nic... Nasza sytuacja w ostatnich miesiącach niewiele się różniła od sytuacji średniowiecznego rycerza, wysadzonego z siodła i czekającego w pokorze na dopełnienie się swego przeznaczenia...

"My, ludzie Wschodu..." – Kulskiemu zadzwęczały w pamięci słowa Sakadze, wypowiedziane na wzgórzu pod Samarkandą, w dniu startu Uzbekistanu... Przypomniał sobie wątpliwości, które go wtedy ogarnęły. Nie, nawet jeżeli w podświadomości profesora zwierzały się niekiedy głębokie cienie madraskich kopuł, nawet jeżeli chodne bucharskie noce budziły go powracającym pobrząkiem czangi, był to tylko integralny składnik współczesności tego człowieka należącego sercem i rozumem do społeczności drugiej połowy dwudziestego pierwszego wieku... Wszak współczesność jest

także procesem, złożonym procesem historycznym. Współczesność. Drgnął i bezwiednie przesunął ręką po czole. Przypomniawszy sobie to wszystko, co o niej myślał i mówił tam, w piaszczystym wykopie, który odsłonił statek pierwszych gości mieszkańców Ziemi. Stała mu przed oczami zmęczona, jakby zastygła w wyrazie pobłażliwej ironii twarz Cortona. Rzucił w jego stronę szybkie, podejrzliwe spojrzenie. Profesor siedział jednak, odwrócony do niego bokiem, słuchając z uwagą tego, co mówił Sakadze.

– Na tym ekranie, tam, w sterowni – bo to jest sterownia, to co znaleźli – widać małą, świecącą plamkę. Pośrodku. To oni. Pośrodku ekranu – powtórzył. – Są dokładnie w połowie drogi...

– W połowie drogi... – odezwała się po chwili, jak echo, Ann. Zza ściany dobiegł oddalający się szum ciężkiego raketowca. Tył gmachu Pałacu Astronautów przylegał niemal do płyty miejskiego lotniska.

– Jeżeli odlecieli zaraz po powrocie z Ziemi... – zaczął Potton i nie skończył.

– Przyjmujemy, że tak właśnie było – Loren powiedział to rażącym, niemal pogodnym tonem. "Co mu się stało?" – pomyślał Kulski. Czyżby Sekretarzowi aż tak ciążyła świadomość odpowiedzialności za decyzję, jaka ma być podjęta, że przekazawszy kompetencje Piotrowi nie może opanować odruchu ulgi? Ale czego ma dotyczyć ta decyzja? O czym tu w ogóle można jeszcze zadecydować? Czyżby... ogarnął go nagły chłód. Nie spuszczał niespokojnego wzroku z Lorena. A może tym, co tak dotychczas doskwierało . staremu profesorowi, było po prostu uczucie osamotnienia? Ale w takim razie...

– Przyjmujemy, że tak właśnie było – powtórzył za Lorenem Sakadze. – Ze opuścili układ słoneczny w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim. Jeżeli w ciągu stu czterdziestu lat przelecieli połowę drogi do domu... w każdym razie do bazy, z której startowali, to nie trudno obliczyć, że dotrą do celu w roku, według naszej rachuby, dwa tysiące dwieście dwudziestym. Zakładając nawet, że ewentualna

wyprawa odwetowa wystartuje natychmiast po ich powrocie, ludzkość może się jej spodziewać nie wcześniej niż za czterysta dwadzieścia lat... w roku dwa tysiące pięćset drugim. Oczywiście, trzeba wziąć pod uwagę możliwe odchylenie. Po pierwsze: druga połowa drogi może trwać dłużej. Ze wzrostem odległości efektywność energii emitowanej z miejsca startu maleje... Nieznacznie wprawdzie, ale maleje. Po drugie: w czasie kiedy uczestnicy wyprawy do naszego układu bawili w przestrzeni, ich ziomkowie nie czekali zapewne z założonymi rękami. Musieli osiągnąć znaczny postęp techniki, także techniki lotów przestrzennych. Postęp, który może znacznie skrócić drogę powrotną na Marsa. W żadnym jednak razie nie możemy się ich spodziewać ani my, ani nasze wnuki. To wszystko. Niemal wszystko... – zawiesił głos.

Czekali w napięciu. Sakadze jednak wstał, rzucił przelotne spojrzenie Sekretarzowi i jakby zastanawiając się nad doborem słów, w jakich ma im przedstawić to najważniejsze, zaczął krążyć po gabinecie.

– Dziwne – odezwał się nagle milczący dotychczas Whiten – dlaczego w Marsa nie trafia taki snop promieni, emitowanych z bazy, z której przylecieli... A może uszedł tylko naszej uwagi?

– Na szczęście – burknął Potton.

– Lena i Andrzej mówili o jakimś lądowisku – przypomniała sobie Ann.

– Mogą mieć system łączności, wyprzedzający szybkość lotu ich statków... – zaryzykował Bo Loren. – Tak czy owak mamy teraz czas. Nie musimy się śpieszyć. Opracowaliśmy kompleksowy program badań planety wraz ze wszystkim, co znajduje się na jej powierzchni... i pod nią. To, co zrobiliście tam dotychczas, to był zaledwie zwiad. I to dokonany w warunkach awaryjnych...

– Tak – Potton wyprostował się i spojrzał chmurnie na Sekretarza. – Mamy czas. Opracowaliście program badań. Zredagowaliście komunikat. Więc o co jeszcze chodzi? O czym to my mamy decydować?

– Komunikat nie jest skończony – przypomniał po chwili Sekretarz.

Wstał także i utkwiał wzrok w oparciu fotela, w którym siedział Whiten.

– Krótko mówiąc – ciągnął zdecydowanym tonem. – Pod tym ekranem, obrazującym drogę ich statku, jest pulpit z wyłącznikiem. Zwykłą, czarną rączką, jakich setki znajdziecie w każdej ziemskiej dyspozytorskiej sali. Otóż Lena i Batuzow doszli do wniosku, potwierdzonego następnie wynikami operacji analitycznych, że jest to główny pulpit sterowniczy wyrzutni. Inaczej: przekładając dźwignię można zatrzymać stos i przerwać emisję wiązki promieni. Jeszcze inaczej: w każdej chwili jesteśmy w stanie pozbawić ich statek, zawieszony w przestrzeni, dopływu energii. Złe mówię. Nie w każdej chwili. Teraz. W każdym razie w ciągu najbliższych dni. Potem będzie za późno. Kiedy miną połowę drogi, nic nie będziemy im już w stanie zrobić. Rozumiecie? Kiedy przekroczą tę granicę, przerwa w emisji, a raczej czoło próżni, która zastąpi miotany teraz przez stos strumieni kwantów, dotrze do Procjona już po ich wylądowaniu. Nie trzeba być matematykiem, żeby to obliczyć. Oczywiście nie wiemy, czy unieruchamiając wyrzutnię zniszczymy ich statek wraz z załogą, czy zepchniemy go z trajektorii, skazując na wieczną tułaczkę po galaktyce, czy po prostu opóźnimy tylko ich powrót do bazy. Nawet w tym ostatnim wypadku opóźnienie to dałoby jednak ludzkości quantum czasu, po upływie którego nie musiałyby się lękać żadnej inwazji. Zresztą w takim razie moglibyśmy uprzedzić wyprawę odwetową, lecąc do nich jako pierwsi. Tak. – Loren odnalazł spojrzaniem wzrok Cortona. – To wszystko. A więc?

Chwilę panowało milczenie. Wreszcie Potton uniósł powoli głowę i utkwivszy wzrok w Sekretarzu wstał ociągając się.

– I ja mam... – zaczął.

– Tak. – Bo Loren i Sakadze stali teraz obok siebie. – Właśnie tak – powtórzył Sekretarz. – Zatrzymaliśmy już produkcję zbrojeniową. Postanowiliśmy, że Ziemia dowie się o wszystkim... zgodnie z normami naszej epoki. Wróćcie na Marsa. Staniecie przed pulpitem sterowniczym i... zredagujecie ostatni akapit komunikatu. Przypominam tylko o mojej prośbie. Przed odlotem porozmawiajcie z historykami. I nie

zapominajcie, że z trzech wariantów, jakie przedstawiłem, najprawdopodobniejszy jest pierwszy, to znaczy, że odcinając dopływ energii zabijemy istoty, które odkryły Ziemię... Tak. Tym razem to już naprawdę wszystko.

Za szklaną ścianą ponownie przewalił się stłumiony łoskot raketowca. Ann podniosła się z trudem. Kulski spostrzegł jej utkwione w sobie, szeroko otwarte oczy, wyrażające niemą prośbę. W jej spojrzeniu było jeszcze coś... niemożliwe, nonsens. Nagle podeszła do niego. Poczul na ramieniu delikatny dotyk jej dłoni.

Szli w milczeniu, nie oglądając się za siebie, gdzie ledwo widocznym wiśniowym ognikiem dogasały rozżarzone dysze Uzbekistanu. Był wiatr, rzadkość na tej zbyt spokojnej planecie, której chłodną roślinnością mógł wstrząsnąć tylko umysł istoty rozumnej, istoty, jakiej ta czerwona, wirująca w przestrzeni kula, zbyt szybko wyrzucona na peryferie słonecznej ekosfery, nie potrafiła nigdy sama powołać do życia.

W pewnym momencie Batuzow wysforował się przed pozostałą czwórką, zobaczyli nagle wierzchołek jego białego kasku pod swoimi nogami. Nie wiedząc nawet kiedy, znaleźli się na skraju zagłębienia z wieżyczką, zamykającą wstęp do podziemi.

Milcząc, obserwowali swobodne, śmiałe ruchy Andrzeja. Po instynktownym lęku, jakim napawało ich działanie obcych automatów, nie pozostało śladu. W gestach Batuzowa, kierującego manewrami wieżyczki, była ta sama odruchowa pewność z jaką człowiek pochyla głowę, przestępując próg niskiego pomieszczenia. Obcując na co dzień z automatami, uprzedzającymi, można tak powiedzieć, ich życzenia, wynurzającymi się bezszelestnie z litych zdawałoby się ścian lub materializującymi się nagle przed nimi w próżni, w powietrzu, przyzwyczaili się, on i Lena, traktować je jak własne, ziemskie. Ostatecznie mało kto z ludzi pyta, na jakiej zasadzie działają kuchenne roboty laserowe, jaki to diabeł siedzi w najprostszym fonoptyku czy chociażby podręcznym kalkulatorze. Są, robią swoje i tyle. Stosunek istoty rozumnej do maszyn ukazał nagle swoje nowe, nie znane dotąd ziemskiej socjologii oblicze.



Skąpo oświetlony korytarz, przenikliwe grodzie, zjazd szklaną gondolą, dojście do hali, mogliby przysiąc, że wszystko to zajęło im połowę tego czasu, co kiedyś. Tak skraca się z biegiem lat droga do przyjaciół, do pracy, do ulubionych, często odwiedzanych miejscowości. Kiedy mijali laboratorium, Ann spostrzegła coś, co przez moment przykuło jej uwagę. Fotele Leny i Andrzeja. Zsunięte bokami, z których zdjęto oparcia, stały tuż obok pulpitu centrali komunikacyjnej, pod prowizorycznym daszkiem z jakiejś niemetalowej folii, dającym osłonę przed ostrym światłem reflektorów. "To tak... – pomyślała, zerkając z ukosa na Lenę. – Kulskiemu przybędzie nowy temat do rozmyślań..."

– Poczekajcie chwilę – Batuzow zatrzymał ich nagle ruchem ręki i szybkim krokiem ruszył wzdłuż pulpitu ciągnącego się aż do bocznej ściany hali. Po chwili zniknął za tarczą ostatniego z ekranów.

– Tego nie widzieliście jeszcze – jego głos był stłumiony, dobiegał jakby z wnętrza drewnianej studni. Przypomnieli sobie, że tam właśnie, w wąskim przejściu między potrójnym łukiem ekranów a ścianą znajdował się pulpit "projektora".

Nagle pojaśniało. Z ust Ann wyrwał się mimowolny okrzyk. Wielki, prostokątny płat bocznej płaszczyzny hali rozświetlił się setkami uciekających w perspektywiczną głąb geometrycznych kształtów, pastelową mozaiką setek tysięcy regularnych brył...

– Miasto!

– Ich miasto – dorzucił Whiten.

Nie mogło być wątpliwości. Przed nimi, jak okiem sięgnąć, rozpościerała się panorama, przedstawiająca mrowie malejących w dali strzelistych form, krystalicznych graniastosłupów, leżących i jakby wbitych sztorcem w bladeżłoty grunt, smukłych, odwróconych stożków, oplecionych spiralami napowietrznych wiaduktów.

Lewy dolny róg panoramy przesłaniało bliskie zbocze wzgórza. Na perspektywę nakładały się kosmate, omotane jakąś jasnobrazową siecią konary karłowatego, dzbaniastego drzewa. Niektóre z gałęzi wychylały się ku nim z płaszczyzny ściany. Za wzgórzem, a raczej jego niewidocznym stokiem,

rozciągał się pas nieco ciemniejszej roślinności. Wśród krzewów, przypominających cyprysy, śmigły wysoko w górę wąskie, ślimakowate pręty, podobne do poskręcanych od ciepła świec, zakończone lejkowatymi zgrubieniami. Dalej zaczynało się miasto. Bryła zaskakiwała za bryłą, zdawały się przenikać wzajemnie jak poczęte w wyobraźni elementy geometrii przestrzennej, żadnych okien, otworów, powtarzające się po kres horyzontu gładziny ścian, prostych, załamanych, okrągłych. Obraz był trójwymiarowy, a o odległości, z jakiej go wykonano świadczyło porównanie rozmiarów widocznego na pierwszym planie krzewu z frontowym pasem budowli. Odległość była bardzo znaczna, jeśli tam, na spiętrzonych estakadach i wiaduktach znajdowały się nawet jakieś żywe istoty, nie mogły przekraczać wielkością główki od szpilki. W niektórych miejscach widniały zgęszczenia małych ciemnych punkcików, najsilniejsze powiększenie nie pozwoliłoby jednak ustalić, co to takiego, ani w przybliżeniu chociażby uchwycić zarys jakichś konturów.

– Co to jest? – spytał wreszcie, niezbyt przytomnie, Potton.

Batuzow spojrział na niego z przelotnym uśmiechem.

– Fotografia. Po prostu fotografia. Znaleźliśmy to niedawno. Ten projektor, pamiętacie, rzucający przestrzenny model naszego układu słonecznego z zaznaczoną drogą wiązki promieni, ma niewielką przystawkę. Tak jakby już po zainstalowaniu postanowiono uzupełnić jego program czymś nieprzewidzianym, jakimś drobiazgiem. Musieli czuć się tutaj trochę nieswojo, tak daleko... toteż "powiesili" sobie na ścianie zdjęcie swojego miasta...

Uderzył ich nie tyle życzliwy, niemal serdeczny ton jego głosu, kiedy mówił o osamotnieniu nieznanymi istot, ile to, jak bardzo ludzkie są uczucia, które im przypisywał. "Śmieszne – pomyślała Ann. – To samo robili kiedyś kapitanowie parowców, wyruszając w dalekie rejsy, to samo robią dziś piloci raket. Wieszają w kabinach zdjęcia pięknych dziewcząt, swoich żon, miasta, znajomych ulic..."

– Jakie to ludzkie – powiedziała półgłosem. Potton odwrócił głowę i patrzył na nią przez chwilę przenikliwie, jakby chcąc

dociec prawdziwego sensu jej słów.

– Tak. Bardzo ludzkie – przystał nieoczekiwanie. Ann spojrzała na niego podejrzliwie. Na twarzy Piotra nie było jednak śladu sarkastycznego uśmiešku. Powiedział to poważnym tonem, w którym brzmiało jakby zdumienie. Wydało jej się nagle, że stoi przed nią ktoś zupełnie inny niż ten znany jej aż za dobrze świetny astrofizyk, ale niespokojny, pełen wewnętrznych kontrastów człowiek, którego nieopanowane reakcje tylekroć budziły jej sprzeciw. W ciągu całego lotu zamienili może trzy zdania, Whiten milczał jak zwykle, a on... Ann знаła Pottona dość dobrze, aby odgadnąć, że przyczyną jego wewnętrznej rozterki nie jest świadomość wagi decyzji, jaką ma podjąć... to znaczy, nie tylko ona. W tym upartym milczeniu, w wyrazie jego oczu było coś, czego nigdy dotychczas u niego nie zauważyła, jakiś stłumiony żal, nawet smutek, ale spopielały, matowy, sięgający najgłębszych warstw świadomości.

– Gdzie to jest? – spytał nagle, zwracając się do Batuzowa. Przez twarz Andrzeja przemknął jakby cień, musnął spojrzeniem twarz Leny i odwrócił się.

– Chodźcie – powiedział, kierując się w głąb hali.

Otwór prowadzący do niszy był ukryty za wyłączonym teraz "strażnikiem", jak nazwali automat, który obezwładnił Batuzowa w czasie jego pierwszej, omal nie zakończonej tragiczną katastrofą, bytności w hali. Obrys uchylającej się płyty pozostawał niewidoczny z odległości nawet kilku centymetrów, gdyby nie sondy, nigdy by go na pewno nie znaleziono.

Andrzej wszedł pierwszy. Tuż za nim postępował Potton.

Wejście znajdowało się w połowie najkrótszej ściany niszy, zbudowanej na planie wydłużonego trójkąta. Pośrodku widniał niski, owalny pulpit z tarczą pochyloną w ich stronę. Oczy wszystkich spoczęły błyskawicznie na czarnej dźwigni, grubawym, bananowatym pręcie, zakończonym przezroczystą kulą wielkości małego jabłka. W jej wnętrzu pulsowało jaskrawe, pomarańczowe światło. Tył tarczy pulpitu przechodził w błękitną taśmę ekranu, odwiniętą śmiałym

łukiem pod strop, w którym ginęła. Cała konstrukcja przypominała w rysunku ramię sporego sekstansu. Mniej więcej w połowie łuku ekran obejmowała czarna nasadka czujnika laserowego.

– Poruszyła się – powiedział. Batuzow, podchodząc do stojącego kilka metrów dalej, pod boczną ścianą, pulpitu aparatury czujnika. – Może setną część milimetra, może nieco mniej...

Nacisnął klawisz. W miejscu, gdzie przed chwilą matowiała osłona lufy czujnika, zaślniła na czystej tarczy jasna, perłowa plamka.

– To oni... – powiedziała Sakadze.

Nikt się nie odezwał. W ciszy dobiegało dalekie, zamierające echo basowego dudnienia gorejącego w głębi planety sztucznego słońca. Z hali doleciało nagle najcichsze, śpiewne granie, ledwie uchwytnie, jak bzykanie komara w upalne popołudnie. Przepalała się jakaś świetlówka.

Nie spuszczać wzroku z okrągłej, kulistej plamki, Potton postąpił kilka kroków do przodu. Bananowaty uchwyt znalazł się w zasięgu jego ręki. Przeniósł spojrzenie na świetlistą, pomarańczową gałkę. Pochylił się.

– Co chcesz zrobić, Piotrze...? – wykrztusiła Ann. Odwróciła się gwałtownie.

Potton nie zareagował. Wpatrywał się w pulsującą, jakby wytoczoną w kryształ bryłkę. Trwało to minutę, może dwie. Wreszcie wyprostował się powoli i powiódł wzrokiem po ich twarzach. Nagle w jego oczach odbiło się zdumienie.

– Co wy... – zaczął.

Batuzow i Lena stali, przytuleni do siebie, podobni w swoich azbestowych skafandrach do wykutej w białym marmurze rzeźby, przedstawiającej parę kochanków. Pochwyciwszy jego zdumione spojrzenie Lena zaczerwieniła się gwałtownie i zrobiła ruch, jakby chciała odsunąć się od Andrzeja, ten jednak objął ją mocno ramieniem i przygarnął ciasno. Ann uczuła taką ulgę, jak gdyby w dusznym pomieszczeniu ktoś nagle otworzył na oścież okno. Nieoczekiwanie dla siebie samej uśmiechnęła się do Pottona.

– Chyba ty jeden niczego się jeszcze nie domyśliłeś... – powiedziała.

– Tak. – wyrzekł z głębokim przekonaniem Whiten. Spojrzeli na niego, osłupiali i nagle, jak na komendę, parsknęli śmiechem. Ogarnęło ich jakieś szaleństwo. Zataczali się, chwytając nawzajem za ręce i ramiona, łyzy ciekły guń po twarzach, ściany przechwytywały ich głosy, powtarzając je do najodleglejszych zakamarków podziemi, rozpaczliwie walczyli o zaczerpnięcie odrobiny powietrza.

A Potton stał jak skamieniały, wodząc nieprzytomnym wzrokiem po ich zaczerwienionych, nabrzmiątych twarzach, wreszcie wzruszył nieznacznie ramionami i jakby |przełamując opór warg i policzków uśmiechnął się również. Zrobił ruch jakby chciał podejść do Leny, ale zrezygnował, machnął ręką i nie patrząc już na nich wyszedł do hali. Kiedy wreszcie zdołali się opanować, przynajmniej na tyle, żeby móc udać się za nim, stał, odwrócony bokiem, wpatrzony w pastelową panoramę miasta zbudowanego na jakiejś nieskończenie dalekiej planecie przez istoty, które jako pierwsze w pozornej martwocie wszechświata odnalazły ziemian. Zwrócił ku nim twarz, na której nie było już śladu uśmiechu.

– Gdyby nie historycy... – zaczął.

Spowaźnieli natychmiast, czekając co powie. On jednak stał chwilę bez ruchu, jakby niezmiernie zmęczony, wreszcie odwrócił się powoli, sięgnął po kask i bez słowa jął go mocować do twardej, uwierającej kryzy.

"...będzie mogła ludzkość ocenić za czterysta lat. Przygotujemy się na ich powrót. Zrobimy wszystko, aby zyskać w nich dobrych sąsiadów i przyjaciół. Jesteśmy pewni, że wzbogaci to o niewymierne wartości obie nasze cywilizacje. Mamy prawo tak sądzić. Dają nam to prawo nasze idee i doświadczenia współgospodarzy kosmosu, a utwierdza je decyzja, podjęta przez załogę Kopernika, która jako pierwsza w dziejach ludzkości zetknęła się w przestrzeni z bratnią rasą istot rozumnych. W imieniu Rady Astronautycznej Narodów Zjednoczonych komunikat podpisali..."

Kulski wyłączył aparat i zamyślił się. Od chwili rozstania z

Półtonem, po ich ostatniej rozmowie, był pewien, że tak właśnie brzmieć będzie ten komunikat. Był pewien, a jednak...

Wyprostował się, i zaczerpnął głęboko powietrza. Wstał zamasyżuje, odepchnięty gwałtownie fotel poleciał do tyłu, trącąc kwadratowy barek. Zadzźwięczało szkło. Paweł spojrzał mimo woli na pękate kubki i wywiniętą smakowicie wargę przysadzystego dzbanka. Za pół godziny przyjdą Corton i Sakadze. Chciałby ich zatrzymać u siebie, pomimo że ojciec Leny z tajemniczą miną zapraszał na uroczysty "kawalerski", jak się wyraził, wieczór. Otrzymał podobno jakąś wiadomość.... Kulski spochmurniał nagle. Przed oczami stanęła mu jak żywa smagła twarz Ann Thorson. "Spotkamy się jeszcze?" – spytała, żegnając go, kilkanaście minut przed startem. Cóż za nonsens. Oczywiście, że się spotkają. Jest przecież członkiem Zespołu Programu Marsjańskiego, historykiem, opracowuje całą dokumentację... Nie raz i nie dziesięć razy będą się musieli spotykać na obradach sekcji, konsultacjach. Wzruszył ramionami i skierował się w stronę barku. Zrobił kilka kroków i zatrzymał się znowu, jakby tknięty jakimś podejrzeniem. Jego dłoń bezwiednie powędrowała do czoła...

Ann miała rację. Kulski znalazł nowy temat do rozmyślań.

...Ann Thorson usiłowała balansować, uginając nogi w kolanach, ale ściągnięta potężną siłą runęła na podłogę, pokrytą w tym miejscu jedynie cienką warstwą pianolitu. Zdążyła wyrzucić przed siebie ramiona i unieść nieco głowę, kiedy statkiem targnęła nowa seria wstrząsów. Potton, który rozluźnił uchwyty swojego fotela chcąc przyjąć jej z pomocą – poleciał do przodu, odbił się od ściany tuż pod głównym ekranem neuraksa i pochwywszy poręcz siedzenia Batuzowa, zawisł w powietrzu. Jego nogi opisały szeroki łuk, trafiając po drodze w prawy burt Leny Sakadze. Twarz Leny skurczyła się z bólu, ale jej krzyk zginął w piekielnym jazgocie czujników i zgrzycie powłoki. Mogła się zdawać, że jakieś gigantyczne kleszcze drą na wąskie pasy cały korpus rakiety."

W dobie wypraw kosmicznych powieść Bohdana Peteckiego o fantastycznej wyprawie w roku 2000 na Marsa, Wenus i poza układ słoneczny czyta się jak historie najbardziej prawdopodobnej.

